

JAN MUR

# DZIENNIK INTERNOWANEGO

(GRUDZIEŃ 1981 - GRUDZIEŃ 1982)

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1985



# **DZIENNIK INTERNOWANEGO**

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 405

ISBN 2-7168-0066-9

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

JAN MUR

# DZIENNIK INTERNOWANEGO

(GRUDZIEŃ 1981 - GRUDZIEŃ 1982)

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1985



## W S T Ę P

*Jedyna, instynktowna obrona — pamięć, zapis, próba apelacji do Trybunału Przyszłości, nadzieja na sprawiedliwy sąd... Może złudna, może ślady tak splącze czas i następne wydarzenia, że ten głos zaginie wśród wielu innych racji. Ale przynajmniej nie rozsypie się w mojej głowie, nie rozwodni w kolejnych wątpleniach, zostanie jako coś konkretnego, czemu będę mógł się przypatrzeć, czego nie powinienem zapomnieć. Był taki czas...*

*„Dziennik internowanego” składa się z fragmentów codziennego zapisu, prowadzonego w obozie dla internowanych w Strzebielinku koło Żarnowca w województwie gdańskim, a później kontynuowanego „na wolności” oraz z grypsów przesyłanych z obozu. Jego materiały są codzienne doznania, wydarzenia, strzępy lektur, relacje i wiadomości docierające rozmaitymi drogami do obozu. Są też w nim ślady obozowej twórczości literackiej. Do „Dziennika” dołączony jest „Aneks” zawierający dokumenty, oświadczenia, listy otwarte, materiały prokuratorskie a także próbki grafiki obozowej, wiersze, pieśni, zdjęcia.*

*Sądzę, że w okresie od wprowadzenia stanu wojennego takich zapisów powstało wiele; kiedyś, w sumie, złożą się na pełną dokumentację tego szczególnego okresu, przelotemu.*

J.M.

Gdańsk, styczeń 1983 r.





## PROLOG

### *Relacja dziennikarza*

*Gdańsk, ul. Grunwaldzka 114, IV piętro, pokój posiedzeń Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” — 10 grudnia 1981 roku, godz. 10.00.*

Opóźnia się rozpoczęcie obrad Prezydium Komisji Krajowej. Antoni Tokarczuk, sekretarz Prezydium, zapowiada konferencję prasową z udziałem Lecha Wałęsy. Jeszcze go nie ma. Tokarczuk z urzędu rozpoczyna obrady. Idą opornie. Dopuszczona do udziału w obradach Prezydium ekipa TV BIPS nie ma co kręcić. Pakuje sprzęt i wychodzi. Zaraz po tym na IV piętro wbiega Wałęsa. Wraz z nim na małą salkę wciskają się dziennikarze, ale po potwierdzeniu, że konferencja prasowa odbędzie się później — przechodzą do sąsiedniej sali.

Prezydium wznawia obrady. Po zapoznaniu się z sytuacją w poszczególnych regionach pojawia się propozycja „strajku czynnego” jako reakcji Związku na impas w kwestii generalnych porozumień z rządem. Strajk czynny oznacza w praktyce przejście zarządu gospodarką na terenie kilkunastu województw kraju. Koncepcję tę jako wypracowaną przez region łódzki przedstawia, posługując się dużą mapą ścienną, Andrzej Słowik — przewodniczący tego regionu. Plan przewiduje selektywne kontynuowanie produkcji żywności. Dalsza dyskusja ujawnia mnogość powiązań kooperacyjnych, które należałoby utrzymać, a nawet udoskonalić, by ten plan pokazowej akcji, „jak pracuje 'Solidarność'” — dał pożądane efekty. Wałęsa nie wydaje się przekonany. Słowik nalega, argumentując zmęczeniem i zniechęceniem ludzi, którzy chcieliby wreszcie coś zrobić. Coś zrozumiałego dla wszystkich, pożytecznego, normalnego. Doszli do tego wniosku w Łodzi po

przedyskutowaniu wszystkich możliwości działania. Pole manewru Związku wraz z rezygnacją ze spektakularnych akcji protestacyjnych, wobec impasu w sprawach dostępu do telewizji oraz koncepcji generalnej reformy gospodarczej, nagle skurczyło się do minimum. Wyczuwając tę sytuację Łódź gwałtownie forsuje koncepcję pozytywistycznego — w ich mniemaniu — działania, przekładając pewne hasła ustrojowe na język praktyki: oto ludzie pracy, ludzie zawiedzeni co do kompetencji i dobrej woli władzy, wobec pogłębiającego się kryzysu gospodarczego — biorą sprawy produkcji w swoje ręce.

Dramatycznie przemawia mecenas Władysław Siła-Nowicki — doradca Związku. Tłumaczy, że jest to projekt akcji bez precedensu w świecie. Zwraca uwagę na zbyt wielkie ryzyko, które w przypadku fiaska może wystawić Związek na krytykę społeczną. Mówi o idealistycznym podejściu do skomplikowanej rzeczywistości gospodarczej. Słowik nie ustępuje; uprzedza, że swój projekt ponownie przedstawi na jutrzejszej Komisji Krajowej.

Wałęsa, przybyły do Gdańska wprost z prowadzonych w Warszawie rozmów z przedstawicielami episkopatu, wyraźnie nie chce żadnych szybkich i radykalnych rozwiązań. Daje do zrozumienia, że zakończył się czas błyskawicznych, efektownych sukcesów. Kreśli szeroką koncepcję umocnienia Związku. Porozumiewawcza linia Wałęsy — w sumie dojrzała, zmierzająca do całościowych przemian wszystkich warstw społecznych, łącznie z elitą władzy, nie współbrzmi z cząstkowymi propozycjami przedstawianymi przez poszczególne regiony.

Posiedzenie Prezydium, które miało ustalić strategię i najważniejsze tematy na jutrzejszą krajówkę, nie kończy się wiążącymi ustaleniami.

Wreszcie zapowiedziana konferencja prasowa. Wałęsie — widać to — bardzo na niej zależy. Uprzedzając pytania rozpoczyna od wyjaśnień i jakby usprawiedliwień sformułowań radomskich, będących od kilku dni przyczyną ataków środków masowego przekazu na Związek.

Mówi: przekażcie to dokładnie — nas trzeba zrozumieć — kiedy my mówimy „konfrontacja”, „targanie po szczękach” — to nie oznacza przecież walki w sensie dosłownym. Nie mamy czołgów i nie chcemy ich. Nasze słowa są proste i choć brzmią brutalnie, niech ta władza patrzy na nasze intencje, nie łapie za słowa...

## *Ostatnie dwa dni, ostatnie godziny...*

Posiedzenie Komisji Krajowej w Stoczni Gdańskiej (11-12 grudnia) to dwa dni milczenia Wałęsy. Dojrzewający od wielu miesięcy zasadniczy konflikt domagał się jakiegoś załatwienia. Były dwie możliwości — wycofać się z ostrego stanowiska zajętego przez Związek w Radomiu, bądź poprzeć je i sformułować jasny ciąg posunięć mający zrealizować wszystkie blokowane do-tychczas przez władzę, a oczekiwane przez społeczeństwo przemiany, będące konsekwencją Sierpnia. Obrady potoczyły się w kierunku podtrzymania stanowiska radomskiego, mimo iż grupa doradców Związku próbowała powstrzymać tę tendencję, grożącą w aktualnej sytuacji konfrontacją z władzą. Przed godziną 22.00 drugiego dnia obrad podjęto zasadniczą uchwałę w tej sprawie. Wydarzenia jednak toczyły się już poza historyczną salą BHP Stoczni Gdańskiej.

## *Relacja pracownika Zarządu Regionu Gdańsk*

Około godziny 17.00 usłyszeliśmy z odbiornika przestrojonego na częstotliwość używaną przez milicję w Trójmieście rozkaz: „Wszyscy zjeżdżać do bazy. Zatrzymanych pozostawić — obojętnie gdzie. Wszyscy wracać do bazy”. Od tego momentu prowadziliśmy regularny nasłuch nagrywany na magnetofon. Około godziny 19.00 zaczęliśmy odbierać meldunki nadawane do „bazy” przez jednostki milicyjne o kryptonimach: Karpaty, Rysy, Himalaje, Tatry, Pieniny... Po 22.00 „baza” zarządziła: „Zbiórka na ulicy Kartuskiej”. W międzyczasie nadjechała od strony Gdyni kolumna bud milicyjnych. Było ich około 60. Równocześnie jedna z komórek związkowych ze Słupska przekazała informację o posuwaniu się w kierunku Gdańska dużej kolumny ZOMO (Zmotoryzowane Odwoły Milicji Obywatelskiej). Fakt przejazdu tej kolumny potwierdził przygodny taksówkarz, który dotarł z tą informacją do stoczni. Około godziny 23.00 do budynku Zarządu Regionu przyjechał Konrad Maruszyk, wiceprzewodniczący regionu z informacją, że dzwonił do wojewody, ale go nie zastał. Zadzwonił więc do wojewódzkiego komendanta MO pułkownika Jerzego Andrzejewskiego i spytał, dlaczego na mieście jest tyle milicji. Komendant oświadczył, że prowadzona jest akcja „trzy pierścienie”. Wtedy miał zapytać: który pierścień jest dla „Solidarności”? Odpowiedzi nie otrzymał.

Około północy zaczęliśmy nadawać teleksem informację do

innych regionów o wyłączeniu telefonów. Z trzech działających teleksów pracował już tylko jeden. Poprosiliśmy o przysłanie karetki pogotowia z gdańskiej służby zdrowia, by móc bez obaw wyjechać na miasto. Pojechaliśmy karetką w stronę Przymorza. Równocześnie inna grupa zajęła taksówką aż do pętli przy ulicy Kartuskiej. Informacje się potwierdzały: w różnych punktach miasta gromadziły się oddziały milicyjne w pełnym wyposażeniu szturmowym.

W regionie odebraliśmy kolejny meldunek milicyjny: „001 — zabarykadował się. Ma dwa duże psy”. Odpowiedź brzmiała: „Wyważyć drzwi”. Kiedy usłyszeliśmy informację o psach, zorientowaliśmy się, że chodzi o jednego z naszych kolegów, pracownika Zarządu Regionu mieszkającego w pobliżu. Poszliśmy na ulicę Sobótki, ażeby sprawdzić dane z nasłuchu. Potwierdziły się. Już z daleka usłyszeliśmy ujadanie psów Karola Krementowskiego, a ludzie w okolicznych domach tłukli czymś o parapety. Jak się potem okazało, psy uratowały Karola. Zdołał uciec z kotła.

### *Relacja I — pracownika Komisji Krajowej*

Na bieżąco informowaliśmy poszczególnych członków obradującej w stoczni krajówki o grupowaniu się i przemieszczeniach oddziałów milicyjnych w Gdańsku. Około godz. 23.00 nadeszła wiadomość o próbach arestowań ludzi z kręgu Ruchu Młodej Polski. Odcinano stopniowo połączenia telefoniczne i teleksowe. Stacje benzynowe informowały o zakazie sprzedaży benzyny. Czuliśmy, że wokół nas dzieje się coś niezwykłego. Dziennikarze obserwujący obrady spekulowali na ten temat. Komisja Krajowa chciała jednak za wszelką cenę zakończyć posiedzenie. Było późno. Po podjęciu i przegłosowaniu zasadniczej uchwały określającej stanowisko Związku wobec sytuacji w kraju wszystkie tematy już skracano. Nie zrobiły na obecnych wrażenia kularowe informacje o koncentracji sił milicyjnych ani oficjalnie odczytany list prymasa Józefa Glempa do Wałęsy, apelujący o umiar i cierpliwość. Około godz. 24.00, kończąc obrady, Wałęsa poinformował o przerwaniu łączności oraz o zatrzymaniu. Nie wydał jednak żadnych poleceń. Wszyscy ruszyli do wyjścia. Stocznia nie była zablokowana. Większość członków krajówki dotarła do swoich hoteli. Część udała się bezpośrednio samochodami do swoich regionów, niektórzy poszli na dworzec kolejowy. Wraz z kolegami udaliśmy się fiatem do siedziby Zarządu Regionu i Komisji Krajowej. Było tu kilkanaście osób pozostałych na normalnych noc-

nych dyżurach. Mnożyły się doniesienia o kolejnych aresztowaniach w mieście. Zatrzymano według tych informacji Annę Walentynowicz i Leszka Kaczyńskiego. Około godziny 1.00 pojechałem na Zaspę do Lecha Wałęsy, aby poinformować go o tych faktach, koledzy zaś w tej samej sprawie udali się do hotelu „Monopol” w Gdańsku, gdzie nocowali ludzie z Komisji Krajowej. U Lecha byłem jeszcze raz około godz. 2.00. Powiedział: „Nie wpadać w panikę, zachować spokój i czekać do rana. Teraz trudno jest ocenić zaistniałą sytuację”. Podobnie zareagowali członkowie Komisji Krajowej. Wracając wysłuchaliśmy w radio dziennika radiowego. Był krótki, jakieś trzy minuty tekstu — o froncie porozumienia narodowego, który jakoby miał się cieszyć poparciem. W parę minut później pod budynek regionu zajechały budy milicyjne, z których wysypali się ZOMO-wcy i obstawili gmach. Włączyliśmy reflektor teatralny na balkonie, którym oświetliliśmy atakujących oraz głośniki. Ktoś z naszych wołał na całą dzielnicę: „Polacy! Jesteśmy atakowani przez milicję! Wzywamy pomocy!”.

Trwało to krótko; odcięto nam dopływ prądu. Wezwanie powtarzaliśmy przez ręczną tubę. Za chwilę na górze było niebiesko od mundurów milicyjnych. Nie stawialiśmy oporu. Zabrano nam dowody osobiste. Któryś z towarzyszących milicji cywili oznajmił, że od północy obowiązuje w Polsce stan wojenny, a władzę przejęło wojsko. Sprowadzono nas na dół i załadowano do budy stojącej przed budynkiem. Zawieziono nas na komisariat MO w Pruszczu Gdańskim.

## *Relacja II — pracownika Komisji Krajowej*

Około 4.00 w nocy wprowadzono nas do pokoju-świetlicy. Stoły ustawione w podkowę, na ścianach zdjęcia z życia milicji i ORMO (Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej) na terenie województwa gdańskiego oraz powiatu Pruszcz Gdański. Sztandary. Przy drzwiach stał jeden milicjant, a za stołami siedziało dwóch. W rogu telewizor. Byliśmy bardzo zmęczeni, czas się dłużył. Położyłem głowę na stole i zasnąłem. Budziłem się co chwila. Ciągłe wywoływali nas na przesłuchania. Każdy wracający szczegółowo opowiadał, czego chcieli i o co pytali. Wkrótce zorientowaliśmy się, że spisują tylko dane personalne i pytają, co się robiło w biurze Zarządu Regionu. Zaczęliśmy nawiązywać pierwsze kontakty z pilnującymi nas milicjantami. Potwierdzili, że o północy ogłoszono stan wojenny. Co dalej — nie wiadomo.

Najbardziej gadatliwy był sierżant. Wymieniliśmy najpierw zdawkowe uwagi, że sytuacja jest niepewna itp., a potem gadaliśmy już bardziej „ideologicznie”.

— Ja tam już nikomu nie wierzę — mówił sierżant — powiedzcie panowie, jak to było właściwie w tym Radomiu? Wziął od nas gazetki, mówiąc, że je zbiera. Ktoś mu wytłumaczył, że jak się puszcza taśmę przez radio, to można tak dobrać fragmenty, że zaraz zmieni się cały sens. Pokiwał głową. W tym czasie część z nas była już po drugim przesłuchaniu. Było ono bardziej zindywidualizowane. Jednych straszili, innym dawali do zrozumienia, że mogą szybko wyjść na wolność. Był tylko jeden warunek — podpisanie oświadczenia treści zdaje się takiej: oświadczam, że zaniecham działalności przeciwko interesom PRL i zobowiązuję się do przestrzegania porządku prawnego. Data i miejsce na podpis. W tym krótkim tekście były co najmniej dwie pułapki: słowo „zaniecham” oznaczało, że przedtem taką działalność się prowadziło. Po drugie zaś „zobowiązywać” się do przestrzegania prawa w sytuacji, gdy byle dekret może zawiesić poszczególne artykuły konstytucji, nie mówiąc już o kodeksie karnym czy innych ustawach regulujących porządek prawny państwa — było szaleństwem. Z naszej grupy odmówili wszyscy z wyjątkiem jednego, zresztą starszego człowieka, który natychmiast, ostentacyjnie został na naszych oczach zwolniony do domu.

Mnie przesłuchiwał młody ubek, prawie rówieśnik. Zaproponował podpisanie, twierdząc, że właściwie nie ma do mnie żadnych zastrzeżeń. Tylko — pan rozumie — musimy się zabezpieczyć — i wyciągnął spod swoich notatek czysty blankiet oświadczenia. Odmówiłem. Kręcił głową z udanym zatroskaniem. — Pan niepotrzebnie utrudnia, komplikuje swoją sytuację. To tylko formalność, ja natomiast muszę to mieć na piśmie, pan rozumie, takie są wymogi i przepisy. Kiedy powtórnie odmówiłem, zapytał co zamierzam robić po wyjściu na wolność. Powiedziałem, że zamierzam spotkać się z rodziną, a potem — poszukać sobie pracy. Zachowywał się wobec mnie rutynowo, ale bardzo kurtuazyjnie. Wygłaszał krótkie przemówienia o błędnej polityce „Solidarności”, o skomplikowanej sytuacji w kraju, a każdą taką wypowiedź kończył pytaniem — prawda? Milczałem. Powiedział wreszcie, że o ile nie podpiszę oświadczenia, zostanę prawdopodobnie internowany. Na jak długo — nie wiadomo. Tydzień, miesiąc, trzy...

Siedzieliśmy znów w naszej świetlicy. O godz. 11.00 włączyliśmy telewizor. Spiker w mundurze zapowiedział przemówienie gen. Wojciecha Jaruzelskiego — przewodniczącego Wojskowej

Rady Ocalenia Narodowego (WRON). Najpierw był hymn, potem „pełne troski i goryczy” słowa o proklamowaniu stanu wojennego. Po Jaruzelskim była przerwa, program wznowiono o godz. 14.20. Dwaj s....syni z dziennika w mundurach z odznakami „Wzorowy żołnierz” czytali na przemian rozporządzenia szczegółowe. Wprowadzono godzinę milicyjną, zawieszono działalność związków zawodowych, zniesiono artykuły konstytucji traktujące o nietykalności cielesnej oraz swobodach obywatelskich, zmilitaryzowano niektóre gałęzie gospodarki, przerwano połączenia telekomunikacyjne, wprowadzono sądownictwo wojskowe i powszechne doraźne. Wojna, stan wojenny, tylko kto tu jest wrogiem — czy my, bezbronni, czy załogi zakładów pracy, społeczeństwo? Jeszcze ciągle nie było wiadomo, jak się naród zachowa. Przecież to czas szczególny, 11 rocznica Grudnia 1970 i do świąt już niewiele czasu.

Musieli bardzo się bać. Tylko po jednym programie w radio i telewizji, zerwane wszystkie połączenia telekomunikacyjne, zawieszono prawie wszystkie gazety i pisma, cenzura korespondencji i powszechne, usankcjonowany dekretem podsłuch telefoniczny.

Niedziela upływała, zbliżał się normalny dzień pracy — co będzie? Czy oni rzeczywiście liczyli na jakieś poparcie społeczeństwa, czy tylko na strach i terror? Jakie przewidywali zakończenie, jak wyobrażali sobie wyjście z tego surrealistycznego stanu wojny ze społeczeństwem? W oświadczeniach, dekreтах i postanowieniach nie było żadnego konkretnego programu pozytywnego. Ogólny wydzźwięk był taki, że ogranicza się maksymalnie swobody obywatelskie, narusza wszelkie mechanizmy demokracji, wprowadza się system rządów autokratycznych po to, aby zaprowadzić „porządek, ład i spokój”. Z chwilą, gdy to nastąpi swobody będą stopniowo przywracane. Równocześnie WRON-a deklaruwała realizację całego pakietu reform. W tej sytuacji sprzeczności dialektyki wydawały się być żelazną logiką.

Pod wieczór milicjanci podzielili się z nami suchym chlebem i kiełbasą, potem sprowadzili nas po kolei do kantyny na bigos. We włączonym przez cały czas telewizorze migały wojskowe obrazki. Po głównym wydaniu dziennika puszczono film „Jarzębina czerwona” — wojna, strzelanina. Na film poszochodzili się milicjanci — wszyscy bladzi, zmęczeni, wściekli. Rozmawiając między sobą stwierdziliśmy, że specjalnie ich tak męczą, żeby rozbudzić w nich agresję. Powiedziałem to zresztą potem głośno, a jeden z milicjantów skwapliwie potwierdził: judzą skurwysyny, judzą ciągle. Podczas pobytu w areszcie można było wyraźnie

zauważyć podziały między nimi: milicjanci ze szkół — młodzi, wysocy, trochę bezosobowi; ZOMO-wcy — najbardziej przypominający automaty i milczący; cywilni ubecy — wzbudzający niechęć u mundurowych. Najłatwiej było nawiązać kontakt ze zwykłymi milicjantami: stanowili grupę najbardziej zindywidualizowaną. Po filmie położyliśmy się wszyscy na podłodze, przykrywając się płaszczami. Nie zdążyliśmy zasnąć — około godziny 1.00 w nocy kazali nam przygotować się do wyjazdu. Był już poniedziałek. Po dwóch godzinach jazdy budą, około 4.00 rano 14 grudnia byliśmy w Strzebielinku.



W tym samym czasie trwały aresztowania członków Komisji Krajowej, ekspertów i działaczy „Solidarności”.

*Zatrzymanie Lecha Wałęsy.* Po godzinie 2.00 w nocy do mieszkania Wałęsy przybyli I Sekretarz KW PZPR Tadeusz Fiszbach i wojewoda gdański Jerzy Kołodziejski. W rozmowie przekazali propozycję udania się natychmiast na rozmowy z generałem Wojciechem Jaruzelskim do Warszawy. Wałęsa odrzucił tę propozycję, gdyż warunkiem — jak sformułował — wstępnym powinno być uwolnienie wszystkich zatrzymanych. Z tym żądaniem obaj przedstawiciele władzy odjechali, aby je przekazać dalej. W międzyczasie pod drzwiami mieszkania państwa Wałęsów przybyła specjalna grupa „bojowa”, wyposażona w łomy, i zażądała wpuszczenia do mieszkania. W wyniku pertraktacji ustalono, że zostaną oni wpuszczeni dopiero po powrocie wysłanników. Około godziny 3.00 przybyli ponownie Fiszbach, Kołodziejski i major dowodzący grupą specjalną. Fiszbach i Kołodziejski rozmawiali z Lechem, natomiast major uspokajał bardzo podenerwowaną panią Wałęsową, będącą w zaawansowanej ciąży. Wałęsie nie pozostawiono żadnego wyboru; zszedł do czekającego nań samochodu. Rano zawieziono go samolotem do Warszawy. Tam dowiedział się, że jest internowany. Decyzję o internowaniu, z numerem kolejnym 182, wręczono mu 26 stycznia 1982 roku.

### *Relacja III — członka Komisji Krajowej*

Około 2.00 w nocy w pokoju hotelu „Grand” w Sopocie, gdzie nocowałem, zadzwonił telefon z informacją: „milicja”. Wyrząłem przez okno wychodzące na front budynku. Ujrzałem



scenę z filmu: padający śnieg, drzewa, gęsty kordon milicji, a na podjeździe rząd polowych samochodów wojskowych i milicyjnych bud. Koledzy, mający okna wychodzące na plażę, widzieli kordony milicji ciągnące się aż do morza, ubrane w surrealistyczne kostiumy z hełmami i tarczami. Milicja była również w całym budynku. Do mojego pokoju weszli po pół godzinie wraz z dwoma cywilami. Po sprawdzeniu dowodów każdego z nas skuwano kajdankami i wyprowadzano w asyście dwóch ZOMO-wców. Budy stały przy samych schodach. Wszyscy z krajówki, których widziałem byli skuci, reszta — nie. W budzie posadzono nas pięciu w ten sposób, że obok każdego z nas siedziało dwóch milicjantów. Nie przedstawiono nam ani nakazu internowania, ani też aresztowania. Zresztą nikt z nas o to nie pytał, gdyż zdawaliśmy sobie sprawę z tego, co się dzieje.

Przewieziono nas do koszar ZOMO w Gdańsku przy ulicy Kartuskiej. Tam sprowadzono nas do sali w piwnicy. Stało tam już kilkanaście osób: Rulewski, Sobieraj, ktoś z Radomia... Co chwilę dowożono nowe transporty. Ustawiano wszystkich pod ścianami na przemian z ZOMO-wcami uzbrojonymi w krótką broń i granatniki. Tam też nas rozkuto. Po kolei wzywano i wyprowadzano z sali. Zabroniono rozmów, ale mimo tego wymienialiśmy uwagi. Po jakimś czasie przywieziono kobiety.

Mnie wezwano do pokoju, gdzie było paru ubeków. Spytali się, co mam przy sobie; miałem statut i jakieś papiery związane ze sprawami, które prowadziłem w Związku. Nie zainteresowali się tym. Nie wiedzieli właściwie, co mają dalej ze mną zrobić. O nic nie pytali. Po paru minutach, w czasie których wymieniali głównie uwagi między sobą, spytali mnie: co z tego wyniknie? — Zobaczmy w poniedziałek — odpowiedziałem. Odniosłem wrażenie, że byli bardziej przestraszeni samą akcją, niż my. Kilkakrotnie mówili, że nie wiedzą o co chodzi, zostali bowiem alarmowo ściągnięci do tutejszych koszar. Była to inna grupa niż ta, która nas zatrzymywała w hotelu. Z dużej sali, gdzie się znalazłem, później wyprowadzono nas do czekających bud. Wśród około 20 osób, które jechały razem ze mną byli m.in. Kuroń, Rulewski, Sobieraj, Jaworski, Onyszkiewicz. Nie mówiono nam dokąd jedziemy.

Przeżyliśmy moment trudny do opowiedzenia, gdy cała kolumna zatrzymała się w lesie. Dopiero po chwili zniknęły natarczywe skojarzenia, kiedy z okrzyków konwojentów zorientowałem się, że po prostu zmylili drogę. Polne drogi zawiąło: buda zakopywała się kilkakrotnie w kopnym śniegu.

Do Strzebielinka przyjechaliśmy około południa. Był 13 grudnia.



Podobnie przebiegały zatrzymania dokonane wśród pozostałych członków KK w gdańskim hotelu „Monopol”. Aresztowania uniknęli przede wszystkim ci, którzy mimo późnej pory zdecydowali się wprost ze stoczni udać na dworzec kolejowy lub własnym samochodem ruszyli w drogę powrotną do swych regionów. Niektórzy z oczekujących na opóźnione w tym dniu pociągi obserwowali z dworca akcję na hotel „Monopol”.

Przez całą noc trwały aresztowania w Trójmieście. Miały rozmaity przebieg i dramaturgię. Niejednokrotnie tzw. grupy operacyjne usiłowały dostać się do poszczególnych domów czy mieszkań podstępem. Najczęstsze „chwyt” to „wizyta kolegi z pracy z ważną wiadomością dla męża”, lub „telegram”. W przypadku, gdy podstęp został rozszyfrowany, wywalano drzwi od mieszkań i bez względu na zastaną wewnątrz sytuację rodzinną zabierano figurującą na wykazie Komendy Wojewódzkiej MO osobę. Zdarzały się przypadki pozostawiania bez opieki w pustym mieszkaniu kilkuletnich dzieci. Do pomocy włączali się wtedy sąsiedzi, zaniepokojeni brutalnym przebiegiem akcji, zabierając pozostawione na łasce losu dzieci do siebie. Znane są przypadki szoków i poronień u kobiet. Nie wszystkim przedstawiano akty internowania, większość nie była informowana, dokąd się ich zabiera. W kajdanki zakuwano lub nie, bez reguły. Zatrzymanych przed godziną 3.00 w nocy w Gdańsku odwożono najczęściej na punkt zborny w Pruszczu Gdańskim, skąd po paru godzinach trafiali do Strzebielinka. Pierwszym więźniem obozu był dr Leszek Kaczyński, prawnik, pracownik naukowy Uniwersytetu Gdańskiego, doradca Związku.

## Z DZIENNIKA

*13 grudnia 1983 roku, niedziela*

A więc jestem w więzieniu. Za co? Jakie to przestępstwo popełniłem? Leżę na łóżku i stale zadaję sobie te pytania. O to samo pytają moi współtowarzysze niedoli. Nie, tego nie można zapomnieć. Trzeba to wszystko opisać. Ale nie z jakiejś tam oddali, a codziennie. Coś na kształt dziennika. Rozmowa z samym sobą. Musi ona zastąpić oddalenie od najbliższych. Na jak długo? Trzeba najpierw uporządkować chronologię wydarzeń.

Po północy wracam z krajówki do domu. W drodze zastanawiam się, czy gdzieś nie zniknąć. Zadaję sobie jednak pytanie — dlaczego się boję? Ostatecznie posiedzę sobie najwyżej po raz pierwszy przez 48 godzin w areszcie. Z pewnością chodzi o postraszanie ludzi związanych ze Związkiem. W końcu nie można rządzić tym społeczeństwem bez słuchania jego głosu. Do końca przełamuję się, nie widząc po drodze jakiegoś specjalnego ruchu milicji. W domu mamy gości. Już jednak śpią. Ze spokojem zjadam więc spóźnioną kolację. Po dwóch dniach przysłuchiwania się obradom krajówki jestem bardzo zmęczony. Zасыpiam natychmiast. Budzi mnie dzwonek u drzwi. Na pytanie — kto tam? słyszę: milicja. Rzeczywiście, przez wziernik widzę trzech mundurowych i jednego cywila. Odsyłam ich do rana. Od razu próbują wyważyć drzwi. Otwieram. Wpadają do przedpokoju i ciasno mnie otaczają. Najpierw są agresywni, później trochę się uspokajają. Żądam nakazu aresztowania; w odpowiedzi cywil, który, jak się zorientowałem, jest szefem całej tej akcji mówi mi, że zatrzymany jestem na podstawie jakiegoś nieznanego art. 42. Precyzuje przy tym, że nie jestem aresztowany, ale internowany. Pokazuje mi decyzję o internowaniu. Czytam w niej, że mam być

w Strzebiellinku lub w Czarnem. Ubieram się, łykam trochę mleka, żona daje mi kawałek chleba, szczoteczkę i pastę do zębów. Wszystko inne cywil każe zostawić. Zegarek wsuwam jednak do kieszeni. Przerażone dzieci i żona patrzą, jak mnie wprowadzają.

Wieźli mnie samego w zimnej „nysce”, najpierw przez miasto, po drodze minęliśmy siedzibę regionu — stało tam pełno milicjantów — potem skręciliśmy na Słowackiego. Odruchowo spojrziałem na zegarek — dochodziła 4.00. Podczas jazdy młody milicjant próbował nawiązać rozmowę. Miałem wrażenie, że jedziemy na lotnisko. Odprężyłem się, gdy zjeżdżaliśmy na obwodnicę trójmiejską. Myślałem, że jedziemy do Wejherowa. Zostaje ono jednak z boku, wjechaliśmy w jakieś lasy, przy drodze mignęła nazwa Piaśnica\*. Po dwóch godzinach jazdy, z błędzeniem, zakopywaniem się w śniegu, podjechaliśmy pod wysoki mur. Przy wejściu napis: Zakład Karny Oddział Zewnętrzny Więzienia w Wejherowie w Strzebiellinku. Dookoła wysoki szary mur, na rogach wieżyczki strażnicze, reflektory, karabiny. Mój „opiekun” prowadzi mnie do jakiejś sali. Robią mi zdjęcia z trzech stron, biorą odciski wszystkich palców i obu dłoni. Każą to podpisać. Jestem oszołomiony. Czekając na kolejne wydarzenia, a później zdawanie rzeczy do depozytu (wszystko co tylko miałem przy sobie, w tym też zegarek) spotykam znajome twarze. Nie pamiętam już, czyje. Wreszcie wyprowadzają na dziedziniec otoczony wysokim ogrodzeniem z siatki, zakończonej rzędami drutów kolczastych. Za siatką 5 parterowych pawilonów, złączonych korytarzem. W oknach kraty. W dyżurce dostaję przydział do swojej celi. Po drodze jeszcze lekarz. Pyta mnie — skąd się znamy? Nie mogę sobie przypomnieć. Klawisz prowadzi mnie długim korytarzem, po którego obu stronach rozmieszczone są cele. Jest ich 12. Korytarz zaczyna i kończy się kratą sięgającą sufitu. Szczęka klucz, za chwilę zamykają się za mną grube, obite blachą czy też całe żelazne drzwi. Rząd ośmiu piętrowych łóżek na ścianie, w której umieszczone są dwa okratowane okna. Najpierw pomyślałem, że jestem tu sam, ale zobaczyłem kolegę, z którym rozmawiałem w stoczni zaledwie przed paroma godzinami. Zrobiło się raźniej. Cella zapełniała się szybko. Do wieczora mieliśmy komplet: 16 osób, istna wieża Babel — robotnicy, inżynier, nauczyciel, prawnik, dziennikarz, uczeń i rozmaici funkcyjni działacze Związku. Przez okno widać wprowadzane kobiety. Rozpoznajemy Grażynę Przybylską-Wendt i Alicję Ma-

---

\* Miejsce masowych egzekucji Polaków jesienią 1939 roku.

tuszewską, obie z Prezydium Komisji Krajowej. Jest Wiśniewska z działu interwencji, Krystyna Pieńkowska z „Solidarności” nauczycielskiej, Halina Winiarska, aktorka z teatru „Wybrzeże”, Joanna Gwiazda, Joanna Wojciechowicz, filigranowa Alina Pieńkowska. Pierwszy posiłek w południe — herbata. Później grochówka. Nakrycie, jeśli tak można powiedzieć, stanowią dwie aluminiowe miski, kubek i łyżka. Naczynia myje się w zlewie, który zamontowany jest wraz z kiblem w rogu celi i oddzielony od reszty „apartamentu” przepierzeniem.

*14, 15, 16 grudnia (poniedziałek, wtorek, środa)*

Powoli przystosowujemy się do nowych warunków. Władza więzienna — jak się z wolna orientujemy — ma kilka kręgów wtajemniczenia. Komendant zakładu karnego w stopniu majora może podejmować decyzje w sprawach papieru toaletowego, zaopatrzenia w papierosy, szczoteczki do zębów, ilości przysługujących na celę taboretów. Pozostałe sprawy, takie jak obowiązujący nas regulamin, wynikający z niego nasz status, przyjmowanie odwołań od decyzji o internowaniu — należą do tzw. pełnomocnika d/s internowanych komendanta wojewódzkiego MO. Dociera opinia, że jest bojaźliwy, żąda pisania podań w każdej sprawie do komendanta wojewódzkiego, sam unika jak ognia jakiegokolwiek samodzielnej decyzji. Komuś się przedstawił: kapitan magister Maciuk. Okazuje się, że jest to znany w kręgach młodzieży z Ruchu Młodej Polski ubek, przeprowadzający uprzednio osobiście rewizje w mieszkaniach. Nowa funkcja oznacza z pewnością awans. Pilnujący nas na co dzień klawisze też podlegają dodatkowej hierarchii. Widać to podczas spacerów. Z cel wypuszczają nas klawisze, na dziedzińcu natomiast nie mają nic do gadania. ZOMO-wcy decydują o tym, jak mamy się poruszać (jest kilka wytyczonych kółek spacerowych) i jak długo ma trwać spacer. Sprawa ta staje się z miejsca powodem konfliktów. Raz spacer trwa 15 minut, raz pół godziny, z regulaminowych przepisów wynika, że miałby trwać godzinę. Wygląda na to, że ZOMO-wcy skracają go na własną rękę.

Pierwszy spacer mieliśmy w poniedziałek. Wyszliśmy wszyscy. Klawisze i ZOMO-wcy wskazali nam okrąg, po którym wolno nam było się poruszać. Mogliśmy biegać, obrzucać się śnieżkami, spacerować — co kto chciał. Nie wolno było tylko zbliżyć się do kolegów biegnących po przeciwnej stronie placu. Krzyczeliśmy wobec tego do siebie — trochę wymieniając informacje, ale prze-

de wszystkim dodając sobie otuchy. Pilnujący nas ZOMO-wcy udawali, że tego nie słyszą. Widać było, że nie mają jasności dyrektyw, jak się do nas odnosić.

Pierwsze zadanie, jakie sobie postawiliśmy, to zrobienie spisu wszystkich zamkniętych w Strzebielinku. Dzięki kontaktom na spacerach, przez judasza, dzięki grypsom zostawianym na spacerniku oraz wrzucanym przez okna w krótkim czasie zorientowaliśmy się, że zamknięta jest z nami duża grupa członków Komisji Krajowej, a ponadto działacze związkowi różnych szczebli z województwa gdańskiego i słupskiego. Razem ponad 200 osób. Bardzo szybko zaczęły rodzić się plany ominięcia więziennych rygorów, uzyskania możliwości kontaktowania się z innymi celami, zorganizowania sobie życia możliwie najbardziej wolnego. Różne pomysły jak przetrwać, jak nie zmięknąć, jak nie dać się sprzedać. Już we wtorek sporządzona została nasza lista żądań i dostarczona do komendy obozu. Nikt z nas nie chciał poddać się reżimowi zakładu karnego. Pierwszy większy konflikt powstał drugiego dnia wieczorem, kiedy klawisz kazał nam wynieść przed drzwi celi ułożone w kostkę na ławce płaszcze. Zaprotestowaliśmy:

— Nie jesteśmy skazani, nie obowiązuje więc nas regulamin więzienny. Żądamy poinformowania nas o naszym statusie, chcemy regulaminu dla internowanych. Dopóki to nie zostanie spełnione, nie podporządkujemy się żadnym rygorom.

Klawisz próbował perswazji, ale gubił się w argumentach. Z jednej strony był naszym strażnikiem, z drugiej — nie mógł nam nic zrobić.

— Proszę panów, taki jest tu zwyczaj, zawsze tak było...

Następnego dnia dyżurny klawisz wieczorem zadał tylko retoryczne pytanie: płaszczy nie oddajecie? — Nie. I zamknął drzwi.

Trzeciego dnia przyszedł szef klawiszy, komendant zakładu, czarny major. Stał w drzwiach celi, za nim kilku funkcjonariuszy.

— Panowie — mówił major ze słodkim uśmiechem — proszę nam nie utrudniać. Jesteście bardzo trudną celą, dlatego tak zaraz sztorcem... I ręką podsunął ławkę do drzwi.

Powtórzyliśmy nasze argumenty, dodając, że wystawianie płaszczy jest niepotrzebną represją. Używamy ich do okrycia się. W celach jest zimno i wilgotno. Major słuchał z uśmiechem na twarzy, stopniowo jednak poważniał. Zaangażował ryzykownie swój autorytet — był przecież w towarzystwie podległych mu klawiszy. W pewnym momencie nie wytrzymał, przerwał nasz wywód, mówiąc sucho: To co? Nie wystawiacie? — Nie. — No to

dziękuję. Zapamiętam to sobie. I odwróciwszy się, trzasnął drzwiami celi.

Zajście z majorem wzburzyło nas jednak. Rozgorzała dyskusja, czy słusznie zrobiliśmy upierając się przy sprawie w końcu nie tak istotnej.

— Ja nie wiem, mówi J., osobiście mógłbym oddać. Granica mojego oporu jest zupełnie gdzie indziej. Płaszcz chyba nie są godne takich awantur.

Byłem innego zdania. Walka o płaszcze, pierwsza wygrana walka w tym obozie, miała duże znaczenie psychologiczne. Wywołana jednak incydentem z majorem dyskusja ujawniła bardzo charakterystyczną różnicę stanowisk. Mieszkańcy celi, nastawieni najpierw na „nie oddamy nawet guzika”, gdy komendant wyszedł trzaskając drzwiami — co było przecież tylko czystym chwytem klawiszowskiej pedagogiki — zaczęli się wahać. Pojawiły się głosy, że takie zadrażnianie stosunków jest bezsensowne, że w końcu co to takiego — wystawianie płaszczy — że, zobaczycie, oni nam teraz pokażą... W końcu większość postanowiła, że o ile naza-jutrz znowu uprą się przy tych płaszcach — oddamy je bez oporu. Istotnie, następnego dnia poproszeni przez klawisza ułożyliśmy je na ławce i wystawiliśmy na korytarz. Rano płaszcze nam oddano, ale zatrzymano... ławkę, którą zastąpiono taboretami. Walczyliśmy o płaszcze i poddaliśmy się, a oni o ławkę, która pozostawiona w celi — jak to się okazało w sąsiednim pawilonie — doskonale nadawała się na taran do wyważania drzwi. Na tym temat płaszczy się zakończył.

To był jeden z frontów. Równolegle walczyliśmy o siebie, poprzez wiele drobniejszych działań. Ujawniały się pozytywne w tej sytuacji talenty. Zaczęło się o malowania plakatów, które następnie naklejaliśmy na drzwi celi. Najwięcej ich powstało z okazji zbliżającej się rocznicy Grudnia. Przygotowaliśmy się zresztą do zorganizowania manifestacji podczas spaceru w dniu 16 grudnia. Mieliśmy stanąć pośrodku dziedzińca i odśpiewać hymn „Boże coś Polskę” i balladę o Janku Wiśniewskim. Podczas śpiewu mieliśmy trzymać plakaty: „Oby nigdy więcej do nas nie strzelano”, „Grudzień 70 — pamiętamy”. Ich symbolika plastyczna opierała się na motywach religijno-patriotycznych. Na jednym wymalowany został Pomnik Poległych Stoczniovców. Później okazało się, że bardzo podobne scenariusze przygotowały bez porozumienia ze sobą inne cele. Nie wiedząc o tym, zaczęliśmy przez nasz obozowy „telefon”, czyli rurę od kaloryfera, wywoływać kolejno cele i przez okno komunikować im nasze plany. Usłyszeli to zapewne klawisze i donieśli komendantowi, który wieczorem prze-

mówił do nas przez głośnik, zwany u nas kołchoźnikiem, oznajmiając, że wszelkie manifestacje z plakatami są zakazane i na mocy prawa wojennego podlegają surowym karom więzienia. Informacja ta w więziennej celi mimo wszystko zabrzmiała humorystycznie. Ostatecznie komendant po rozmowach w kilku celach zgodził się na uczczenie rocznicy poprzez odśpiewanie pieśni religijnych. Nie chcieliśmy jednak stanąć w tym dniu na placu z pustymi rękami. Zdecydowaliśmy się na zrobienie flagi biało-czerwonej. Był to niemały problem techniczny. Janusz w pewnym momencie zdjął swetr i ściągnął swój biały podkoszulek. Wydarliśmy z niego w miarę regularną formę prostokąta i dolną część podkolorowaliśmy na czerwono ogryzkiem kredki znalezionej w szafce po więźniach. Do flagi dowiązaliśmy po obu stronach sznurki, tak, by każdy z naszej 16-tki mógł ją trzymać. Kiedy nastąpiła nasza kolej na spacer, skupiliśmy się w kole, a otwierając je rozwinieliśmy flagę i stanęliśmy w szeregu twarzą do rzędu pawilonów, z których obserwowali nas nasi koledzy. Po minucie ciszy odśpiewaliśmy wraz z kolegami z obu pawilonów hymn i „Boże coś Polskę”. ZOMO-wcy i klawisze różnie reagowali. Część dyskretnie usunęła się na bok, niektórzy prowokacyjnie świdrowali nas wzrokiem, paląc papierosy i nie reagując na słowa hymnu. Czuliśmy się z każdą zwrotką mocniejsi i oni też to czuli.

Wieczory w celi zeszyły nam na urzędzaniu naszego pomieszczenia. Z listew oderwanych od stołów zbiliśmy krzyż. Chrystusa upletliśmy z pakunkowego konopnego sznura. Poniżej przymocowaliśmy zdjęcie papieża. Pod krzyżem na ścianie zawisła nasza flaga z kawałkiem kiru. O godzinie 21.00 przy otwartych oknach obu zajmowanych przez nas pawilonów wszystkie cele odśpiewały „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Za poległych w Grudniu 1970 odmówiliśmy „Ojcie Nasz”, „Zdrowaś Mario” i „Wieczne Odpoczywanie”.

Po zgaszeniu światła o 21.00 powracaliśmy do analiz i dyskusji nad tym co się zdarzyło. Czy mogliśmy coś jeszcze zrobić, by uniknąć katastrofy, czy strategia Związku i taktyka ostatnich posunięć była bez zarzutu...

Były to analizy bezlitosne, również dla nas samych. Wyhodziliśmy z założenia, że brutalna, ślepa siła, którą zastosowano przeciwko Związkowi nie rozgrzesza błędów, jeśli zostały popełnione.

Niektórzy twierdzą, że jednym z takich błędów było polityczne obciążenie formującego się Związku działaczami dawnej opozycji, szczególnie z KOR-u. Już w czasie sierpniowego strajku część z nich podobno podjęła zobowiązanie, że wycofa się z działalności



w ramach nowego Związku. Najbardziej ofiarni z nich wydawali się to rozumieć, mówiąc, że kolejnym krokiem dla dobra sprawy powinno być „wstąpienie na stos”, by podejrzliwej władzy nie dawać argumentów do ręki. Sprawa dawnych działaczy nie była łatwa. Mieli oni niewątpliwe moralne prawo do działania w nowych warunkach. Przed Sierpniem olbrzymia większość tzw. przyzwoitych ludzi nie miała odwagi, by wyrazić własną opinię, wielu nawet nie zadawało sobie trudu analizy świata, w którym przyszło im żyć. Ot, żyli życiem na wpół świadomym, gromadząc skrętnie drobne życiowe osiągnięcia, ciuając, trochę kręcąc, trochę kombinując, trochę siebie okłamując, unikając odpowiedzi na pytania dzieci, odpychając je od siebie, jeśli swą dociekliwością sprawiały kłopot. Tamci — zdecydowali się na postawę, którą pieczętowali własnymi ofiarami: zdecydowali się też ujawnić publicznie odruch moralny — własną ocenę postępowania władzy. Zaproponowali społeczeństwu postawę aktywną, ukazali „nagość króla”, której inni dla własnej wygody widzieć nie chcieli. Jakież to ludzkie, że gdy nadszedł czas, zawahali się przed odsunięciem się w cień... Nie było też łatwo ich usunąć, czy zaproponować im odejście. Kto miał to zrobić?

A zresztą — „Solidarność” nie kierowała się wtedy racjami politycznymi czy taktycznymi. Polska wydawała nam się krajem, w którym zmieścimy się wszyscy ze swoimi poglądami. Liczyły się intencje, stawiano przede wszystkim moralne wymagania, a niemoralnie byłoby odsuwać tych, którzy byli u początku i przygotowywali nową perspektywę, gdy część z nas jeszcze była w letargu. A jednak — w konkretnym układzie posierpniowych miesięcy czuło się nieraz kłopotliwą obecność tych ludzi. Nieraz samą swoją obecnością wpływali na poglądy innych, wyraźnie je radykalizując, podcinając wpływy umiarkowanych, gotowych na kompromis. Może trzeba było wstać, odzłałować i walczyć o wyprowadzenie ich ze Związku? Bo przecież mieliśmy w rękę tak cudowną rzecz, wspaniałe narzędzie zmiany tego wszystkiego w Polsce, czego od wojny oczekiwały kolejne pokolenia. Naszemu pokoleniu, które osiągnęło próg dojrzałości zawodowej i politycznej — udało się wyartykułować te oczekiwania, zapisać je w umowach gdańskich. Gdzie więc tkwił błąd?

To prawda, że od Sierpnia 1980 roku ubecja przystąpiła do sporządzania list proskrypcyjnych, obserwowano i śledzono poczynania najaktywniejszych z nas, wprowadzano do Związku prowokatorów. To wszystko prawda. Ale nas było 10 milionów i drugie tyle było z nami. A jednak sam Związek też jakby się podzielił. Wyraźna była linia Wałęsy, od pewnego czasu z trudem

torująca sobie drogę w związkowych dokumentach i oświadczeniach. Rósł nurt żywiołowy, sycący się kolejnymi krótkimi spięciami powodowanymi rozmaitymi prowokacyjnymi posunięciami władzy, która panicznie broniła swego monopolu i nie dowierzała za grosz społecznej dojrzałości narodu, obrażając go w swym oficjalnym dzienniku telewizyjnym, najbardziej zniechęconej audycji propagandowej. Stąd ten amok sięgnięcia do telewizji, zatkania tej gęby doprowadzającej do szału robotników rano przystępujących do pracy w stoczni, zabierającej ludziom spokój i obrażającej ich poczucie sprawiedliwości i godności.

Wracam myślą do I Zjazdu „Solidarności” w gdańskiej Olivii. Druga tura rozpoczęła się od kwestii dopuszczenia telewizji na Zjazd. Pierwszym symptomatycznym chyba błędem Wałęsy było pójście za głosem części delegatów stawiających sprawę bezkompromisowo: albo telewizja będzie w części sprawozdawczej w rękach Związku odbywającego Zjazd, albo nie będzie jej wcale. Z drugiej strony barykady trwały intensywne przetargi co do kształtu i składu ekip sprawozdawczych. Stało na tym, że w składach tych mieli wziąć udział członkowie „Solidarności” z telewizji. Uznając ich udział za niewielką gwarancję zabezpieczającą przed manipulacją propagandową — Wałęsa przy aplauzie wielkiej części sali ogłosił: Zjazd obejdzie się bez telewizji! Spontaniczna owacja sali zagłuszyła głosy niepokoju wielu dziennikarzy i obserwatorów, zdających sobie sprawę, że oto stworzono niebezpieczny precedens — „Solidarność”, która od czasu swych narodzin była otwarta zarówno dla prasy, jak i radia i telewizji, niezależnie od intencji ich dysponentów, mocna siłą argumentów i wiarą w ludzi przekazujących te treści społeczeństwu — ta „Solidarność” oto zamiast otwartej gry przechodzi do utarczek bezpośrednich. Do walki nie na racje moralne, co było jej największą siłą, ale na licytowanie się siłą argumentów natury administracyjnej. To było niebezpieczne *novum*, środek z arsenału przeciwnika, wytrenowanego w tej konkurencji do perfekcji. Tak grając, można było tylko przegrać. Przegrać nie tylko fragmenty transmisji Zjazdu dla wielomilionowej rzeszy związkowców, choćby okrojone, niepełne, już skomentowane i z pewnością przekłamane, ale także sprawę nieporównanie ważniejszą — świadomość społecznej kontroli wystąpienia poszczególnych delegatów. Z chwilą, gdy kocioł zjazdowy odciął się od relacji telewizyjnych, przestał funkcjonować układ kontrolny nad wypowiedziami ludzi będących reprezentantami swych środowisk. „Hulać dusza, piekła nie ma” — zaczęła się licytacja, kto radykalniej sformułuje postulaty programowe, przy jedynej widowni, jaką stanowić mieli dla siebie sami delegaci. Również

delegat gdańskiego środowiska telewizyjno-radiowego, bez dodatkowych konsultacji i wahań, głosował za wyeliminowaniem telewizji gdańskiej z sali obrad. Było to stanowisko sprzeczne z rzeczywistym nastawieniem tego środowiska, któremu do tej pory, mimo rozmaitych trudności, udawało się realizować program zyskujący sobie pewien autorytet społeczny; wyraźnie odróżniano telewizję lokalną od krytykowanej telewizji warszawskiej.

Z pewnością chodziło także o podniesienie prestiżu organizującej się telewizji związkowej, dysponującej własnym sprzętem i będącej w stanie kręcić samodzielne materiały, ale ich droga na oficjalną antenę była bardzo niepewna. Było naiwnością sądzić, że stawiając sprawę na ostrzu noża wymusi się jakieś zasadnicze ustępstwa. Telewizja była z pewnością jedną z ostatnich rzeczy, które elita rządząca była skłonna wypuścić z ręki. W tej sytuacji trzeba było brać co się dało i poruszać się w tym niemałym już przecież zakresie samodzielności, jaką udało się wywalczyć.

Zresztą w postawie samych związkowców nie było żelaznej konsekwencji. Kiedy jeden z młodych dziennikarzy telewizji gdańskiej mimo wyraźnego zakazu filmowania obrad nakręcił z ukrytej kamery moment ogłoszenia wyników wyborów na przewodniczącego „Solidarności” i opublikował je w lokalnym programie, ci sami, którzy byli za wyrzuceniem telewizji z hali Olivii, podzielili się w swych ocenach czy dziennikarz postąpił z punktu widzenia społecznego efektu słusznie, czy nie. Sądzę, że większość była, choćby i po cichu, zadowolona. Ale oczywiście, żeby było zgodnie z uchwałą — wydalono go ze Zjazdu. Nie podzielałem wtedy dość powszechnej niestety satysfakcji, że wreszcie Związek sam decyduje o swoich sprawach i wielka machina propagandowa, jaką jest telewizja, musi się z nim liczyć. Właściwą troską winno być w tym momencie poinformowanie społeczeństwa, nie zaś wynik starcia z dyrektoriatem telewizyjnym, działającym z dyspozycji władzy.

Ten rachunek sumienia, że za szybko, że wszystko naraz, że zabrakło może skromności, a na pewno cierpliwości, że nie widziało się ograniczeń i rezerw dobrej woli drugiej strony — wszystko to zakłóca w celi w dodatku radiowa gadzinówka, z której zaraz po „pełnym troski i goryczy” przemówieniu Generała popłynął ryzostok oszczerstw i kłamstw o „Solidarności”. Utwierdza on nas w przekonaniu, że mają rację ci, co twierdzą, że błędy Związku nie były tak istotne, że to władza od momentu podpisania wymuszonych na niej porozumień, zbankrutowana ideowo, tylko szukała momentu rozprawienia się z całym ruchem. Wie-

czorem z kołchoźnika w rogu celi kolejny komunikat WRON o wyciągniętej do społeczeństwa ręce, o porozumieniu... Ktoś gasi głośnik bez słowa.

W trzecim dniu pozwolono nam napisać listy do najbliższych...

*17 grudnia, czwartek*

W rannym dzienniku podano listę internowanych. Jest niekompletna. Uzupełniamy ją głośno. Na listach radiowych nie ma nazwisk kobiet. Nie znamy losu tych, które wywieziono trzy dni temu ze Strzebielinka. Do celi dociera, zamiast żadanego regulaminu dla internowanych, druk pt. „Regulamin tymczasowo aresztowanych”. Jak nas informują — ma obowiązywać w obozie.

Brydzyści z kawałka papieru pakunkowego wycinają talię kart. W celi są też szachy, trwa turniej. W kiblu ktoś pierze podkoszulek i bieliznę, nie zmieniając od przyjazdu. Chodzimy i śpimy w ubraniach, w których zabrano nas z domu.

Wieczorem w dzienniku radiowym podano: w kopalni „Wujek” w Katowicach zginęło 7 osób. Zginęli wczoraj, w samą rocznicę Grudnia. Straszne przygnębienie. Nam ta rocznica, tak pamiętna, mająca własne pomniki, wydawała się nietykalna. Była naszą współczesną relikwią. Mając ją w ręce czuliśmy się bezpieczni. I uderzono właśnie tu. Spodziewamy się najgorszego, wkroczenia Rosjan. Wtedy nasz los byłby przesądzony. Wieczorem modlimy się za poległych. Do okna podchodzą wszyscy, także niewierzący.



Dzisiaj nasza cela odbierała pieniądze z depozytu, przy okazji osobiste drobiazgi. Zegarki — na naszą odpowiedzialność, jak zaznaczył komendant. Nie chce przyjmować skarg, jeśli coś zginie. Zaznacza, że w obozie pozostaje obsługa gospodarcza złożona z kryminalistów. Wypiska. Wypiska to jest szansa na dokupienie do przydziałowego chleba z margaryną na przykład wątrobianki, cebuli, a także jabłek, herbatników, ogórków konserwowych. Co ważniejsze — możemy kupić mydło, proszek do prania, szampon (2 butelki na celę), żyłетки! Informują nas o możliwości złożenia odwołania od decyzji o internowaniu. Wielu z nas, co wychodzi przy okazji na jaw, nawet nie widziało tego dokumentu.

Na ścianie tuż przy pryczy narysowałem sobie kalendarz. Na razie do końca roku. Wigilię i święta Bożego Narodzenia ozna-  
czyłem kółkiem. W głębi duszy mam nadzieję, że może na święta

będę z Wami. Stale myślę o Tobie, o dzieciach. Jak sobie dajecie radę... Czy już wiecie, gdzie jestem. Wysłałem list, ale czy dojdzie?

18 grudnia, piątek

Do południa piszę drugi list do domu. Nie jest to łatwe, gdyż nie można pisać tego, co by się chciało. Nie chcę też ich martwić. Dzisiaj jest duży mróz i dlatego ograniczono nam spacer do 40 minut. ZOMO-wcy, którzy nudzą się i marzną podczas spacerów, jeszcze chcieli go skrócić. W czasie spacerów, jak się zorientowaliśmy, klawisze przeglądają nam cele, czy przypadkiem nie próbujemy wybić w ścianie kanału kontaktowego do sąsiadów. W celi 35, gdzie był Tadeusz Mazowiecki, redaktor naczelny *Tygodnika Solidarność*, doradca związku i Krzysztof Wyszowski, sekretarz redakcji *Tygodnika Solidarność* — przebito dziurę do celi obok. Za karę przeniesiono ich na drugi pawilon, gdzie dotychczas mieszkali tylko kryminaliści.

Po raz pierwszy byliśmy w kaplicy, tj. celi przystosowanej do odprawiania nabożeństw. Na frontowej ścianie za ołtarzem kawałek boazerii, a w niej wmontowany obraz Matki Boskiej Częstochowskiej z reprodukcją autografu prymasa Wyszyńskiego, z boku krucyfiks. Na macie wiszącej obok duże zdjęcie Ojca Świętego. Na ołtarzu-stole dwie świece. Parę rzędów ławek.

Przemebłowaliśmy się. Prycze dotychczas zasłaniające okna przesunęliśmy na przeciwległą ścianę. Podczas wieczornego liczenia klawisz oznajmił, że jest to regulaminowo zabronione. Przemeblowania można robić po uzyskaniu zgody komendanta. Nie zareagowaliśmy na to. Mamy lepszą wentylację w całym pomieszczeniu, a połowa z nas pali. Ustala się nasz dzienny harmonogram w porannym ożywieniu, wyczekiwanym spacerze, w południe następuje spokój. Niektórzy śpią, inni czytają jakieś książki z więziennej biblioteki, grają w szachy, piszą listy, uczą się wzajemnie języków. Z zapasów pochodzących z wypiski próbujemy przygotować coś strawnego do jedzenia. Najczęściej jest to chleb z margaryną i cebulą. Jedzenie jest tu okropne. Poza ranną zupą, dwa pozostałe posiłki — też zupy, jeśli w ogóle można je tak nazwać — są wręcz obrzydliwe. Dzienna stawka żywieniowa wynosi 25 zł i komendant twierdzi, że nie jest w stanie nic lepszego za to zrobić.

Z kołchoźnika, nazywanego też nocnikiem, na przemian z marszami wojskowymi płyną kolejne wydania dzienników. Podają

treść oświadczeń działaczy Związku, tzw. odcinających się od dotychczasowej linii „Solidarności”. Najwięcej komentarzy wywołuje oświadczenie Zdzisława Rozwałaka, przewodniczącego Zarządu Regionu Wielkopolska, i Wojciecha Zierkego, przewodniczącego Zarządu Regionu w Słupsku. Uważamy te wystąpienia za ich osobistą klęskę, zdradę naszych wspólnych ideałów. Ktoś kto był w stoczni w sierpniu 1980 roku i pamięta o co nam wtedy szło nie może uczestniczyć w tym ich propagandowym szwindlu. Kim więc byli ci nasi koledzy? Skąd wzięli się chętni do brudnej roboty w radio? W cyklu prezentującym tzw. prawdziwy obraz „Solidarności” czołową rolę odgrywa nieznany dotychczas, sepleniący redaktor. Poziom fałszu tych wywodów kojarzy się z najgorszymi wzorcami.

Do celi dotarła informacja o zwolnieniu z obozu Piotrowicza ze Słupska, który podpisał oświadczenie, że nie będzie występował przeciwko konstytucji i kierowniczej roli partii. Podobno zwalniana i innych. Fałę zwolnień działaczy ze Słupska kojarzymy z oświadczeniem Zierkego. Najwidoczniej jest to nagroda za podjęcie współpracy z lokalną WRON-ą.

*19 grudnia, sobota*

Dzisiaj dowiedzieliśmy się, że rafineria gdańska jest otoczona przez wojsko. Podobno robotnicy grożą wysadzeniem w powietrze, gdyby próbowano zdobyć ją szturmem. Dotarły szczegóły o dwudniowych walkach na ulicach Gdańska (16 i 17 grudnia). Niejasna jest również sytuacja w stoczniach i portach Trójmiasta. Mówi się, że stoczniowcy mają pójść do pracy dopiero 21 grudnia. W tym samym dniu ma się zebrać plenum Komitetu Centralnego PZPR.

Oswoiłem się z myślą, że jeszcze długo tu zostaną. Najprzykrzejsze będą święta. Oby tylko moi najbliżsi wytrzymali ten przygniatający ciężar obecnej codzienności.

Po ogłoszeniu przez komendanta komunikatu, że jutro upływa termin odwołań, rozgorzała burzliwa dyskusja. Część uważa, że należy solidarnie nie pisać, żeby w ten sposób pośrednio nie potwierdzać legalności samego uwięzienia nas tutaj. Inni twierdzą, że należy wykorzystać, nawet cynicznie, wszelkie możliwości wyjścia stąd i prowadzenia dalszej działalności. Jak postąpić? Romantycznie czy pozytywistycznie?

Uczymy się czytać między wierszami wrednych dzienników

radiowych. Komunikaty o obowiązujących godzinach policyjnych wyraźnie wskazują na województwa, czy miasta, gdzie trwa opór społeczeństwa.

Grudniowe rocznice przypominają nam o obowiązku oporu wobec stosowanej przemocy; chyba nieświadomie przejmujemy ukształtowaną powojenną tradycję wyznaczoną latami 56, 68, 70, 76 i 80. My zapiszemy rok 81. Nie mamy tu wielkiego pola manewru. Możemy nie pozwolić na uchwycenie nas w więzienny rygor. Jak się zachować? Przypominają się wzorce organizacji życia w oflagach. Są wśród nas tacy, którzy przeżyli jenieckie obozy, niczego nowego nie musimy wymyślać. Pojawia się pomysł zorganizowania poczty obozowej funkcjonującej poza trójstopniową stosowaną wobec nas cenzurą. Najważniejsze wydało nam się zrobienie pieczętek. Odtąd wszędzie szukaliśmy kawałka gumy. Zdobyliśmy ją sposobem. Powiedzieliśmy, że jeden z celi, wzięty nocą z domu, nie zabrał z sobą zimowych butów, przez co nie może wychodzić na spacer. Wkrótce przynieśli nam jakąś parę starych butów, które natychmiast pozbawione zostały obcasów. Gdy pieczęcie były ukończone, tusz zrobiło się z czarnej pasty do butów, innym razem z jodiny lub z wkładów do długopisów. Stemplowaliśmy notatniki, odciski pieczęci na czystych kartkach szły do innych cel, w których także nie próżnowano. Wykorzystywano i inne dostępne materiały, jak na przykład podłogowe, podniszczone linoleum.

System obozowych „telefonów” pozwalał na organizowanie wspólnych akcji, jak np. wieczornego śpiewu czy walenia w drzwi. To ostatnie było kolejnym elementem naszego buntu. Z początku wystarczał jakikolwiek błahy powód, z czasem stanowiska się spolaryzowały. Jedni byli zdania, że należy dążyć do ułożenia sobie dobrych stosunków z klawiszami, w końcu mało winnymi naszemu położeniu, inni natomiast uważali, że co wróg — to wróg i należy być bezwzględny, walić ile wlezie i kiedy tylko się da. Po kilku dniach w naszej celi wygrała linia bardziej umiarkowana.

Walka o przetrwanie polegała przede wszystkim na zachowaniu dobrej kondycji psychicznej. To było najtrudniejsze. Każdy przecież reagował indywidualnie. Znalezienie wspólnej dla wszystkich nadziei było możliwe tylko chwilami. Upływający jednak czas, kolejne dni spędzone w tych samych ścianach, jednakowość tych dni — to wszystko działało bardzo deprymująco. Niektórzy wyraźnie gasną. Brak im humoru, energii, którą przejawiali w pierwszych dniach. Są tacy, którzy przejawiają już teraz wyraźną niechęć do spacerów, potrafią przespać cały dzień.

W Strzebielinku przebywa 31 członków Komisji Krajowej, w tym 6 członków z 14-osobowego prezydium. Ludzie, których zazwyczaj widywałem „w rozpędzie”, w działaniu, z reguły pewnych siebie i prezentowanych przez siebie racji — tu, w trakcie spacerów w Strzebielinku, z bliska — nie wyglądają jak dawniej. Gdybym chciał bawić się w psychologa, mógłbym powiedzieć, że jakby się wstydziło przed nami tego, co się stało, sytuacji w jakiej znaleźliśmy się wszyscy.

I ja odkrywam w sobie jakiś cień pretensji do nich, może irracjonalny, ale jednak. Dawniej, mimo rozmaitych zarzutów do ludzi z kierownictwa, unikało się akcentów krytycznych: „Solidarność” praktycznie bez przerwy uwikłana była w ciężkie starcia. Wielu z tych ludzi pracowało ponad siły, w kolejnych rundach rozmów z reprezentantami władzy różnego szczebla piętrzącymi przed Związkiem kolejne bariery wykruszała się ich odporność psychiczna. Krytykować ich wtedy oznaczało osłabiać Związek. Teraz, kiedy kości zostały rzucone — znowu wahanie — czy można dokładać im za ewentualne błędy? Przecież to my ich wybraliśmy, więc jeśli coś zrobili nie tak, to działali w ramach ryzyka, które niesie ze sobą każde działanie, cóż dopiero tak trudne, jak realizacja przez nikogo jeszcze nie przebytej „trzeciej drogi”, eksperymentu prototypowego w skali świata...

Za oknem na spacerniku przesuwają się wszyscy z pierwszej linii: Antoni Tokarczuk, Karol Modzelewski — wyraźnie ukazujący swój nowy, nieznan w Związku rys współodczuwania, troski o młodszych współtowarzyszy, do których — kiedyś nieco nieprzystępny — jakby chciał się zbliżyć. Jest doświadczonym więźniem, przestrzega przed pochopnym podejmowaniem protestów głodowych. Spokojny Stanisław Wądołowski, wiceprzewodniczący Związku, mniej chyba nerwowy i ruchliwy niż zwykle Jacek Kuroń, doradca, skurczony w sobie Janusz Onyszkiewicz, do Zjazdu rzecznik prasowy „Solidarności”. Szczupła, pochylona sylwetka człowieka odmierzającego biegiem rundy obozowego dziedzińca. Wydaje się być tylko tym zajęty. Może był jakiś rys nonszalancji w jego słynnych „prasówkach” z okresu Zjazdu. Jan Strzelecki — znany socjolog. To on w znanym mi wywiadzie w marcu 1981 roku zastanawiał się głośno, czy „Solidarność” — ta narodowa choinka, na której wszystkie środowiska usiłują zawiesić swoje dotychczas niezrealizowane nadzieje, aspiracje — czy to ukochane przez wszystkich drzewko utrzyma wielki ciężar... W parę miesięcy później w czasie sierpniowych obchodów pierwszej rocznicy powstania „Solidarności” inaczej mówił o tym Lech Wałęsa: — „Solidarność jest jak płynący okręt, a ja, jej prze-



wodniczący, siedzę na dziobie. Dziś mam tylko jedną troskę — żeby ten okręt płynął, żeby się nie roztrzaskał i nie zatonął. A jeśli będzie płynął, to my wszyscy, płynący na jego pokładzie, wszystkie grupy społeczne — powoli będziemy mogli załatwiać ważne dla nas sprawy. Ale ten okręt musi płynąć...”

Klawisze od początku pytają — który to Rulewski? Nie wszystkie twarze są szeroko znane. Jan Rulewski, przewodniczący Zarządu Regionu z siedzibą w Bydgoszczy, ze swoją chłopięcą postawą, z tym samym tonem, którym przemawiał i na Zjeździe, i do milicjantów w komisariacie w Gdańsku. Beztrąsko wypowiadający to, przed czym inni by się wstrzymali, ale czego chętnie słuchają. Nazwiska i sylwetki ludzi Związku ostatniego okresu — Grzegorz Palka z Łodzi, Józef Patyna i Ryszard Błaszczuk, obaj ze Śląska — członkowie prezydium Komisji Krajowej.

*20 grudnia, niedziela*

Dokładnie tydzień temu przyjechałem tutaj. Niedzielę, dzień który tak bardzo lubię, spędzam samotnie, mimo gwaru w celi. Wyłączam się, ale też staram się nie myśleć bez przerwy o Was. Trzeba zamknąć się w sobie. Jest to może niebezpieczne, ale chyba konieczne dla zachowania swojej osobowości. Tu wszystko zmierza do zniszczenia człowieka. Wartownicy, strażnicy, ZOMO, cynizm komendanta i pełnomocnika.

Dzisiaj dotarli pierwsi odwiedzający. Do kolegi z celi 6 przyjechała matka z siostrą. Posterunki ZOMO zatrzymały je jakieś 3 kilometry przed obozem. Dowieziono je gazikiem, pokwitowano odbiór przywiezionych rzeczy i odesłano z powrotem. Nie zobaczyli się nawet, do celi dotarła jedynie kartka wraz z paczką. Innego wezwano do sali widzeń, tam otrzymał rozerwaną paczkę i papierosy. Nie dowiedział się, kto mu ją dostarczył.

Przejmujemy chcąc nie chcąc część więziennej wiedzy. Gromadzone przez więźniów doświadczenie przydaje się tutaj, jeśli mamy urządzić się znośniej. Parę dni temu z judaszów powybijaliśmy grube szybki. Dzięki temu po podniesieniu zewnętrznej klapki ktoś przechodzący korytarzem może skontaktować się z nami lub wrzucić do celi gryps. Okazji nie brak. Każdy przechodzący do kaplicy położonej w końcu III pawilonu ma taką możliwość. Również doprowadzani do lekarza, czy idący według opracowanego grafiku na telewizję czy do tzw. biblioteki korzystają z chwili nieuwagi klawisza, często zaabsorbowanego umówionym wcześniej waleniem w drugim końcu pawilonu.

Dziś wrzucono nam kartkę z tekstem piosenki, których sporo tutaj powstaje. Nie spodobała nam się. Ktoś powiedział — słuchajcie, trzeba powiedzieć sobie jasno — to nie jest tekst, pod którym chciałbym się podpisać.

Rozgorzała dyskusja, jak się ustosunkować do całego tego nurtu w „Solidarności”, który zamiast budowy naszego programu szedł na malowanie „niedźwiedzia”, w doborze argumentów nie dawał żadnej szansy temu z kim walczył, robił więcej szkód Związkowi, niż pożytku, choć było jasne, że zakneblowani od dziesięcioleci ludzie muszą odreagować swoje przymusowe milczenie i narzuconą jednomyślność. W rozmaitych biuletynach pojawiały się karykatury Breżniewa, stanowiące kamień obrazy dla pracowników konsulatów rosyjskich. Wykorzystywała to krajowa propaganda i środki masowego przekazu krajów socjalistycznych. Nie musieli szukać żadnych argumentów, udawało im się nawet pomijać ważne dokumenty i fragmenty powstających programów Związku. Dzięki temu mogli prowadzić polemikę niejako zastępczą, łatwo rozprawiać się ze Związkiem, wprowadzać na tym tle podziały w zdezorientowanej obrocie sprawy części społeczeństwa.

U nas rozstrzygnęliśmy to ze świadomością, że siedząc tutaj ponosimy odpowiedzialność za obraz Związku, jaki ukształtują sobie również nasi nadzorcy, obserwujący nas na co dzień. Ten wysoki próg wymagań wobec siebie nie zawsze był możliwy do spełnienia dla wszystkich. W grę wchodziły jeszcze temperamenty i odcienie przekonań w tej sprawie.

Dziś upływa termin składania odwołań od decyzji o internowaniu. Z początku nikt nie chciał pisać, teraz są dwa wyraźne stanowiska: jedni opowiadają się za korzystaniem — dla zasady — z ograniczonego, ale funkcjonującego przecież prawa, a inni uważają, że nie ma co tworzyć jakichkolwiek pozorów jego istnienia. Postanowiłem napisać odwołanie od decyzji o internowaniu, w której wszystkim postawiono ten sam zarzut: „podejmowania działań o skutkach anarchizujących życie społeczeństwa województwa gdańskiego — na zasadzie artykułu 42 dekretu z dnia 12 grudnia 1981 o ochronie bezpieczeństwa państwa i porządku publicznego w czasie obowiązywania stanu wojennego”. Kiedy już część z nas zdecydowała się na napisanie podań, około 17.00 przyszedł strażnik, który oświadczył, że komendant nie przyjmie naszych odwołań pod nieobecność pełnomocnika. Mimo to postanowiliśmy wręczyć je strażnikowi, a sami sporządziliśmy dokument potwierdzający fakt przekazania tych podań z podpisami wszystkich

mieszkańców celi na wypadek, gdyby komendant próbował nas wymanewrować.

W celi szóstej czterej koledzy rozpoczęli trzydniową głodówkę dla uczczenia pamięci poległych górników z kopalni „Wujek”. Czwarły z głodujących wycofał się po jednym dniu.

Stan obozu na dziś: 197 + 35 więźniów obsługi.

### *21 grudnia, poniedziałek*

W obozie jest jeszcze jedna grupa osób, z którymi na bieżąco utrzymujemy kontakty. Są to lekarze, stanowiący w pewnym sensie również władzę, od nich bowiem zależy m.in. czas spacerów, na ich wnioski wysyła się stąd ludzi do szpitala więziennego. Do lekarza chodzi się. Każdego dnia co najmniej po kilku z każdej celi przewija się przez gabinet. Jest to częściowo wynikiem epidemii przeziębień, spowodowanych wilgocią cel i zastraszająco wzrastającymi dolegliwościami żołądkowymi i sercowymi. Przy okazji można zdobyć przylepiec, papier, tusz do pieczętek, nici, nożyczki. Czekać na wizytę można także wymienić informacje, wywiedzieć się od więźniów kontaktujących się z ekipami remontowymi przyjeżdżającymi z zewnątrz co się dzieje w Trójmieście. Po jakimś czasie każdy z nas zgromadził w swojej szafce pokaźny zapas witamin i leków, syropów na kaszel, tabletek i leków na niestrawność.

Mimo panujących obostrzeń udało mi się przekazać do domu informację, gdzie jestem. Na potwierdzenie dostarczono mi moje charakterystyczne skarpetki z krótką informacją, co słyhać w rodzinie. W tym wojennym szaleństwie mimo terroru nie były to odosobnione przypadki. Docierały wiadomości, na które czekaliśmy nie śpiąc po nocach — o narodzinach dziecka, o losie dzieci pozostawionych w domu samotnie w noc internowania. Podnosiło nas to na duchu i stanowiło pierwsze sygnały o organizowaniu się społeczeństwa.

### *22 grudnia, wtorek*

O 7.00 rano liczący nas klawisz jak zwykle huknął drzwiami na pobudkę. Z kołchoznika leciała właśnie relacja z konferencji Jerzego Urbana, rzecznika prasowego rządu z udziałem kapitana Wiesława Górnickiego, znanego dotąd z roboty dziennikarskiej. Podano, że liczba internowanych wynosi około 5 tysięcy osób;

niektóre już zwolniono. Pozostający w „ośrodkach odosobnienia” mają swobodę poruszania się wewnątrz, możliwość wspólnych zajęć kulturalnych, korespondencji, widzeń z rodzinami itp. Z konferencji wynikało, że przebywamy w ośrodkach czasowych, w których życie reguluje specjalnie opracowany regulamin dla internowanych. W steku kłamstw, jakich wysłuchiwalismy od kilku dni — to kolejne doprowadziło nas do wściekłości. Prawie równocześnie we wszystkich celach rozpoczęło się walenie w drzwi. Klawisze potracili głowy. Wszyscy żądali widzenia z pełnomocnikiem Komendanta Wojewódzkiego MO. Po jakimś czasie klawisz zakomunikował, że od południa komendant zakładu karnego w Strzebielinku będzie chodził po celach i rozmawiał. Jednak około godz. 13.00 przyszedł ponownie i poprosił o delegowanie po dwóch przedstawicieli z celi na rozmowę.

Spisaliśmy szybko wcześniej przedyskutowane postulaty:

„Wobec braku realizacji zgłaszanych przez nas postulatów, ponownie je przypominamy i żądamy:

1. utworzenia komendy spośród internowanych z prawem swobodnego poruszania się po terenie obozu;
2. umożliwienia swobodnego kontaktowania się między celami (zgodnie z oświadczeniem rzecznika prasowego rządu) i swobody poruszania się;
3. stałej opieki duszpasterskiej;
4. umożliwienia nam listownych kontaktów z rodzinami — a w tym:
  - a. zwrotu listów zatrzymanych przez cenzurę,
  - b. określenia, czego pisać nie wolno;
5. zamieszczenia w lokalnej prasie komunikatu — wykazu internowanych wraz z rozmieszczeniem ich w miejscach internowania, po to, by rodziny mogły skorzystać z przyśługującego im prawa do widzeń;
6. spotkania z kompetentnym przedstawicielem władz wojewódzkich celem określenia zasad i terminu internowania;
7. uregulowania spraw socjalno-bytowych zgodnie z powtarzającymi się postulatami wszystkich cel. Strzebielinek, dnia 22. XII. 1981 r.”.

Podobne postulaty przygotowały inne cele.

Znalazłem się w składzie delegacji. Zaprowadzono nas do świetlicy pawilonowej, gdzie czekali już delegaci innych cel. Byli między innymi Karol Modzelewski, członek Komisji Krajowej, Andrzej Sobieraj, przewodniczący Zarządu Regionu z siedzibą w Radomiu, Zdzisław Złotkowski, wiceprzewodniczący Zarządu Regionu w Gdańsku, Lech Dymarski, członek Komisji Krajowej,

Konrad Maruszyk, Stanisław Wądołowski. Za stolikiem usiedli pełnomocnik, kpt. Eugeniusz Maciuk i komendant więzienia, major Franciszek Kaczmarek. Rozmowa żywo przypominała dialog dziada z obrazem. Pełnomocnik powtórzył w zasadzie wszystko to, co już wiedzieliśmy, potwierdzając, że jest surowy zakaz kontaktów między celami. Przedstawiciele cel na różny sposób usiłowali przekonać go, że otwarcie drzwi w celach w ciągu dnia jest normalną praktyką stosowaną w obozach dla internowanych.

— Panie komendancie — bo tak się do niego zwracaliśmy — u nas w celi są dwaj niepalący, starsi ludzie. Ciągłe boli ich głowa od dymu — argumentował ktoś. Inny mówił, że izolacja w celach ludzi, którzy nigdy po pierwsze jeszcze nie siedzieli, po drugie czują się zupełnie niewinni — odbija się bardzo na ich samopoczuciu.

Pełnomocnik wzruszył na to ramionami.

— Takie mam rozkazy. Poczekajmy na regulamin, który jak się dowiedziałem ma dotrzeć do obozu dziś wieczorem. Jutro się panowie z nim zapoznacie i wtedy zobaczymy, jak się tam tę sprawę reguluje, do tego czasu — nie ma mowy.

Było też parę humorystycznych dialogów:

— Czy wolno nas odwiedzać?

— Wolno. Jeden raz w miesiącu, najbliższa rodzina.

— A czy rodziny nasze wiedzą, gdzie jesteście?

— Nie wiem.

— A czy mogą przyjeżdżać rodziny z innych województw? Są tu ludzie ze Śląska, z Polski centralnej.

— Mogą, oczywiście.

— Czy dostaną zezwolenia? Przecież jest zakaz poruszania się po kraju...

— Nie wiem. Mogą nie dostać.

I tak w kółko. Po kilku minutach stało się jasne, że ta rozmowa nic nie da. Zażądaliśmy więc spotkania z kompetentnym przedstawicielem władz wojskowych. Pełnomocnik odpowiedział, że i jemu na tym by zależało, bo ma dość tych pytań i że kontaktował się w tej sprawie ze swoimi przełożonymi, którzy żądanie to odrzucili.

— No, wiecie panowie, mnie obowiązują rozkazy, a nie to, co leci w radio. Wypowiedź rzecznika zawierała poważne nieścisłości. Być może nie był dokładnie poinformowany...

Zażądaliśmy więc sprostowania. Przeszło to bez echa. Ktoś powiedział, że wielu internowanych do tej pory nie dostało do ręki nakazu internowania i siedzą tu po prostu wsadzeni bez żadnej podstawy prawnej. Pełnomocnik wyraził zdziwienie.

— To niemożliwe. Widocznie pozostawili panowie odpisy na miejscu zatrzymania.

Podniósł się tumult.

— To pan nie wie, jak nas zatrzymywano? Nikt nikomu nie pokazywał żadnych nakazów, to było porwanie. Wyważano drzwi i zabierano, jak kto stał. Nikt nie mówił ani dokąd, ani dlaczego.

— Panowie, proszę nie krzyczeć. Zanotowałem sobie tę sprawę i zaraz się nią zajmę...

To właśnie było charakterystyczne. Wszystkie problemy, będące wynikiem ewidentnego bezprawia, czy podstawowych zaniedbań proceduralnych pełnomocnik „sobie notował”. To wszystko co mógł zrobić. A gdy zarzucono mu, że jest maszynką do wykonywania rozkazów i po ludzku nic nie potrafi załatwić — bardzo się oburzył. Wstał i oświadczył:

— Panowie sobie nawet nie zdajecie sprawy, ile dla was robię. Trzeba być ślepym, żeby tego nie widzieć. — Dlaczego? — Nie będę tego panom teraz tłumaczył. Może kiedyś zrozumiecie.

Po części miał chyba rację. Istotnie, od początku naszego pobytu w obozie regulamin, który miał nas obowiązywać, tj. regulamin tymczasowo aresztowanych, nie był przestrzegany zbyt rygorystycznie. Inna rzecz, że było to wygodne dla obu stron, gdyż władze wprawdzie nie zmuszały nas zbyt do regulaminowych rygorów, ale i same nie dopełniały tego, do czego były zobowiązane. Na przykład nie powiadomiły natychmiast naszych rodzin o miejscu naszego pobytu.

Dłuższą podniosłą przemowę wygłosił Andrzej Sobieraj:

— Panie komendancie, nie jesteśmy kryminalistami. Zostaliśmy osadzeni w więzieniu bezprawnie. Jesteśmy związkowcami, Polakami, którzy chcą wyciągnąć kraj z bagna, w jakim utopiła go władza. Pan sobie musi zdać sprawę, że prędzej czy później stąd wyjdziemy i dalej będziemy działać. Pan sobie musi to uświadomić.

Pełnomocnik przyjął tę wypowiedź skinieniem głowy. Na zakończenie powróciła raz jeszcze sprawa listów. Antoni Tokarczuk zapytał, czy jak napisze, że go szlag tutaj trafia, to czy dla cenzury jest to sprawa państwowa czy osobista? Pełnomocnik odpowiedział, że chyba osobista, ale lepiej tego nie pisać. Z kolei Andrzej Gwiazda starał się wytłumaczyć, że ze względów czysto osobistych najważniejsze są dla nas obecnie wiadomości o rozwoju akcji strajkowej w kraju, bo od tego przecież zależy nasze uwolnienie...

Spotkanie trwało blisko godzinę. W końcu zaproponowano, by stało się ono początkiem tradycji. Na to pełnomocnik odpowiedział, że zorganizował je na własną odpowiedzialność i być może poniesie za to konsekwencje. Godzi się jednak spotkać z nami jeszcze raz jutro celem przedyskutowania regulaminu, mającego nadejść dziś wieczorem.

Rozeszliśmy się praktycznie z niczym. Jedyne korzyść to wymiana informacji między przedstawicielami poszczególnych cel. Dowiedzieliśmy się, że z celi 33 zwolniony został wczoraj w nocy dr Jan Strzelecki, doradca Związku. Dzisiaj zaś o 17.20 wyszedł Tadeusz Mazowiecki\*, podobno za wstawiennictwem prymasa Glempa.

Do wszystkich cel dostarczono gryps: „Słuchajcie. Wczoraj przyjechała komisja z Ministerstwa Sprawiedliwości. Przeprowadzili pierwsze rozmowy. Między innymi z Rulewskim. Waszym zadaniem jest zebranie informacji z przesłuchań ludzi z waszej celi i dostarczenie ich pozostałym celom”.

Od paru dni w obozie urzęduje ubecja. Nakłaniają do podpisania deklaracji lojalności. Oprócz podpisywania „lojalek” proponują bez żenady współpracę niektórym kolegom; wychodzą pewnie z założenia, że jest to to samo...

Po raz pierwszy wieczorem byliśmy na telewizji od głównego wydania dziennika do ostatniego. Ponury obraz. Z radia natomiast dowiedzieliśmy się, że w dwóch kopalniach strajkuje ponad dwa tysiące górników, których pod ziemią trzymają... terroryści.

Jeszcze wczoraj, przygotowując postulaty adresowane do pełnomocnika doszliśmy do wniosku, że nasze, choćby nie wiem jak uzasadnione i słuszne żądania, nie mają żadnej szansy realizacji. Nie możemy nawet liczyć na poważne ich potraktowanie i odpowiedź. Doszliśmy do przekonania, że jedyną drogą jest podjęcie głodówki. Uznaliśmy że — ponieważ zbliża się okres świąteczny — podejmiemy solidarnościową akcję ścisłego postu w okresie świąt Bożego Narodzenia począwszy od wigilii.

*23 grudnia, środa*

Dostarczono nam dekret Rady Państwa o stanie wojennym. W południe ponownie zostali wezwani przedstawiciele cel na spotkanie z... komendantem wojewódzkim MO. W tej samej

---

\* W rzeczywistości Mazowiecki nie wyszedł, lecz został przewieziony do obozu w Jaworzcu.

światlicy zebrał się prawie ten sam skład internowanych co wczoraj. Przyszedł tym razem również Jacek Kuroń.

Nasz „gość” okazał się pułkownikiem Ringiem, zastępcą komendanta wojewódzkiej MO. Jak ktoś z zebranych zauważył, to on podpisywał w poprzednich latach większość nakazów aresztowania w sprawach tzw. politycznych. Był to starszy, niewysoki siwy pan o rybich oczkach, którymi świdrował nasze twarze. Gdy brakowało mu argumentów, wpadał w krzyk. Poza tym bardzo się spieszył i ciągle podnosił się do wyjścia, a wraz z nim major Kaczmarek, który usiłował na czas podać mu płaszcz.

Jego mowa była krótka. Prosząc by mu nie przerywano, ze wzrokiem utkwionym w kartkę oznajmił, że na mocy prawa wojennego zakład w Strzebielinku podlega militaryzacji, w związku z czym polecenia naszych przełożonych — od klawisza do komendanta — są dla nas rozkazami. Niesubordynacja będzie surowo karana. Jak wynika z omówionego przez niego regulaminu, nie wolno nam się ze sobą kontaktować. Zostaniemy wypuszczeni, „gdy ustaną przyczyny naszego zatrzymania oraz z chwilą odwołania stanu wojennego”. Oczywiście sprawy tych, którzy się odwołali do Ministra Spraw Wewnętrznych będą rozpatrywane przez specjalną komisję. Na opublikowanie pełnej listy internowanych nie ma co liczyć ani w prasie regionalnej, ani centralnej. Nie podań żadnych motywów tej decyzji. Korespondencja podlega cenzurze, wolno pisać tylko o sprawach osobistych i rodzinnych. Wszystkie sprawy socjalne załatwiają władze ośrodka. Jeżeli są jakieś pytania, to on słucha, tylko krótko.

Od samego początku pułkownik zrobił na nas jak najgorsze wrażenie. Ton i treść jego przemowy pełne były niemaskowanej niechęci. Usiłował nas zastraszyć, zupełnie mu się to jednak nie udało. Wściekał się, gdy reagowaliśmy śmiechem na niektóre jego wypowiedzi. Jeszcze raz powróciła wypowiedź Urbana, listów, wzajemnych kontaktów na terenie obozu oraz sposobu w jaki nas zatrzymywano, z wyłamywaniem drzwi, porywaniami z domów bez żadnych wyjaśnień. Na konkretny zarzut wypowiedziany przez kogoś z nas zareagował: — Pan nam nie będzie dyktował, jak mamy pracować!

Pomimo całego tragizmu takiej wypowiedzi szefa służby bezpieczeństwa na województwo gdańskie, który bez żenady potwierdza bojówkarskie metody swoich podwładnych, sala roześmiała się.

Andrzej Gwiazda próbował coś mówić o bezprawiu, ale Kuroń mu przerwał. — Nie demaskuj czegoś, co wcale nie ma maski.



Zorientowawszy się, że rozmowa nic nie daje, zaczęliśmy gadać między sobą, wykorzystując możliwość porozumienia się przedstawicielei różnych cel. Dyskutowano też na stronie naszą propozycję ścisłego postu na okres świąt. Zdecydowanie przeciwny temu był Karol Modzelewski.

— Nie mogliśmy zrobić nic gorszego, niż podjąć wspólną akcję. Rozwiozą nas, nic nie osiągniemy. Naszym obowiązkiem jest przetrwać, nie dać się sprzedać. Teraz inni działają za nas. Takie samo było zdanie tych, którzy mieli za sobą jakieś doświadczenia więzienne.

Po 20 minutach pułkownik Ring podniósł się i wyszedł. Wyszliśmy zaraz za nim. W celi zreferowaliśmy przebieg rozmowy. Teraz już wszyscy byliśmy przekonani, że dalsze tego typu dyskusje są bez sensu. Zwraçało uwagę na tym spotkaniu zachowanie najbardziej doświadczonych z nas — Kuronia, Modzelewskiego i innych, którzy pudłowali już wcześniej. Domagali się przede wszystkim poprawy warunków socjalnych, sanitarno-higienicznych, z góry wiedząc, że żadne rozmowy „ideologiczne” nie odniosą skutku.

Po południu mieliśmy pierwsze spotkanie z kapelanem, ppłk. Tadeuszem Błońskim, salwatorianinem, proboszczem kościoła garnizonowego z Gdańska-Wrzeszcza. Był wyraźnie zdenerwowany swoją sytuacją, ale też była ona niełatwa. Z jednej strony my, pełni nieufności do wszystkiego, co serwowała nam komenda obozu, z drugiej strony kapelan, jak się potem okazało, również otrzymał ostrzeżenie o grożącym mu sądzie wojennym w przypadku, gdyby przekazał jakieś informacje pochodzące od nas na zewnątrz. Jednocześnie dano mu do zrozumienia, że i wśród internowanych są konfidenci, którzy doniosą o każdym jego fałszywym kroku. My z kolei słyszeliśmy o przygotowywaniu specjalnych grup, mających przenikać do różnych środowisk korzystając z przebrania w sutanny księżowskie pod pozorem niesienia pomocy duszpasterskiej. Musieliśmy dopiero mozolnie przedziierać się przez ten mur wzajemnych podejrzeń, by móc stworzyć sobie jakieś w miarę normalne warunki przyszłych naszych spotkań. W tej atmosferze, w celach, które po kolei odwiedzał kapelan — żądano od niego okazania dokumentu uwierzytelniającego jego posługę kapłańską ze strony władz diecezji. Miał taki dokument, widzieliśmy na własne oczy. Było to jedno ze smutniejszych doświadczeń. Dał o sobie znać klasyczny mechanizm ubecki polegający na sianiu wzajemnych podejrzeń. W kaplicy kapelan udzielił nam zbiorowego absolutorium i rozdał komunię.

Dostaliśmy także opłatki na jutrzejszą wigilię. Jest nadzieja, że przyjedzie jutro i będzie mógł odprawić w kaplicy mszę św. Prosił o modlitewniki oraz o Stary i Nowy Testament. Podobno wybiera się do nas biskup gdański Lech Kaczmarek, a kuria gdańska przygotowuje jakieś paczki.

Wreszcie, po dziesięciu dniach siedzenia, wydano nam więzienną bieliznę (wszystko koloru szaro-burego), koszule i gumowe klapki, za duże o kilka numerów. Znowu nie poszliśmy do kąpieli, podobno zepsuła się pompa hydroforowa. Nie było rady; trzeba było sobie umyć głowę w naszym kiblu. Podgrzewało się wodę maleńką grzałeczką w słoikach po ogórkach i jeden drugiemu pomaga się umyć.

Na naszych wykazach mamy już 180 nazwisk internowanych w Strzebielinku. Okazało się, że są wśród nas również uczniowie szkół średnich i zawodowych, niektórzy mają zaledwie po siedemnaście lat!

*24 grudnia, czwartek*

Wigilia. Jeden z najpiękniejszych dni w roku. Uświadomiłem sobie, że ten i następne dni będą szczególnie trudne dla moich najbliższych. Nigdy w tym czasie nie byłem poza domem; zawsze było to nasze wewnętrzne spotkanie. Czy wytrzymają tę sytuację? Czy nie załamają się? Mnie jest chyba łatwiej znieść ten stan, gdyż w nim uczestniczę na co dzień, jestem weń wpisany wraz z tyloma innymi. Mogę też po zachowaniu komendy i klawiszy wnioskować o ewentualnym naszym losie. Oni natomiast nic nie wiedzą.

Potwierdziły to wczorajsze i dzisiejsze pierwsze spotkania naszych kolegów z najbliższymi. Dowiedzieliśmy się o sytuacji w Trójmieście, o praktycznym wyglądzie stanu wojennego (czołgi, kontrole na ulicy, w tramwajach, autobusach, zasieki na rogatkach, większość zakładów nie pracuje, patrole na mieście). Wbrew zapewnieniom tutejszej komendy nasze listy nie dotarły jeszcze do najbliższych. Oficjalnie nikt nie wie, gdzie jesteśmy. Urząd wojewódzki, miejski i prokurator nie znają nawet nazwisk internowanych. Wszędzie odsyła się, nawet na komendach MO, do ubecji.

Otrzymałaliśmy regulamin internowanych z dnia 20 (cyfra wstawiona odręcznie) grudnia 1981 r. Jest podpisany przez Ministra Sprawiedliwości i Ministra Spraw Wewnętrznych. Wynika zeń,

że mogą z nami robić co zechcą: podlegamy karom dyscyplinarnym, rewizjom, cenzurze, nasze „wykroczenia” mogą być karane aresztem, widzenia jedynie raz w miesiącu i to jedną godzinę, dwie paczki w miesiącu o „wadze nie przekraczającej wraz z opakowaniem 3 kg każda” itd. Właściwie nic nam nie wolno. Miejscami ten regulamin jest znacznie gorszy od regulaminu dla tymczasowo aresztowanych.

Od rana trwały przygotowania do Wigilii. Najpierw kupiliśmy dostarczoną przez komendę choinkę, którą osadziło się w taborecie, podwiązało pod nim puszkę z wodą, później poszła w ruch wytwórnia „ozdób choinkowych”. Darliśmy na mniej więcej równe paski gazety, z których nasi specjaliści składali różnego rodzaju gwiazdki i bombki. Wszystko to wraz z otrzymanymi cukierkami zawisło na świątecznym drzewku. Wieczere wigilijną, na którą składały się dary z domów, rozpoczęliśmy o godz. 16.00. W trakcie jej trwania przyszedł z życzeniami kapelan i komendant mjr Kaczmarek. Przełamaliśmy się z nimi opłatkiem, a także z klawiszem, który im towarzyszył. Komendant i klawisz byli zaskoczeni. Gdy składaliśmy sobie wzajemnie życzenia i dzieliliśmy się opłatkiem, każdy z nas miał łzy w oczach. W obozie tworzyło się coś nowego. Jakaś wzajemna solidarność, poczucie jedności, braterstwa. Jeszcze przed paroma dniami znaczenie tych słów miało posmak wielkiego programu przebudowy naszego społeczeństwa, teraz wróciło do swego pierwotnego, elementarnego znaczenia. Na nowo odkrywaliśmy w sobie człowieka, a nie tylko wielki program polityczny. Tu też, w tych więziennych warunkach, pełniej odczuwaliśmy głębię kołęd. Prześpiewaliśmy wszystkie jakie tylko znaleźliśmy, później sięgnęliśmy do modlitewnika dla dzieci ojca Tymoteusza, dostarczonego przez kapelana. O północy wysłuchaliśmy z kołchoźnika Pasterki. Podniosło nas na duchu orędzie księdza Prymasa.

Napisaaliśmy życzenia dla Lecha: „W wigilijny wieczór łamiąc się opłatkiem, dzieliliśmy się nim z Tobą. Niech ten symbol jedności da Tobie nadzieję, jaką czerpiemy z Narodzin Pańskich i której szczególnie Ty potrzebujesz na ten czas. Wyjdziemy z tego! Internowani — Strzebielinek, Wigilia 1981”. W kopertę z życzeniami włożyliśmy opłatek, którym dzieliliśmy się. Czy uda nam się przekazać te życzenia, czy dotrą do niego?

W wigilijny dzień trwały nadal zwalniania, głównie ze Słup-ska. Wszyscy jednak musieli przejść przez rozmowy z ubecją. Część — przyznaje, że podpisała lojalki, inni mówią, że odrzucili te oświadczenia.

25 grudnia, piątek, pierwszy dzień świąt

Mamy własne radio! Jest to najbardziej prymitywny polski tranzystor, niemniej jednak pozwala nam na odbieranie wszystkich polsko-języcznych zachodnich rozgłośni radiowych. Od razu inny nastrój. Wreszcie wiemy co się dzieje u nas i na świecie. Łątwiej też porządkować informacje od rodzin.

Duże wrażenie zrobiło na nas oświadczenie Reagana na temat Polski oraz prośba ambasadora PRL w Tokio Zdzisława Rurarza o azyl w Stanach Zjednoczonych. Znana nam była jego przychylna postawa wobec delegacji „Solidarności” przebywającej w maju bież. roku w Japonii. Ktoś wysłuchał fragmentu przemówienia, bodajże w Kongresie Stanów Zjednoczonych innego polskiego ambasadora w USA — Romualda Spasowskiego, który także wymówił WRON-ie posłuszeństwo, decydując się na prośbę o azyl. Są to ciężkie ciosy dla reżymu. Świadczą o tym, że nawet ludzie ze ścisłego kręgu władzy nie chcą wziąć kolejnego karkołomnego zakrętu historii w jednym wózku z nową ekipą. Podnosi nas to na duchu. Równocześnie zgłaszam wątpliwości natury czysto ludzkiej — nie mogę zapomnieć, że te słowa wypowiedają ludzie, którym dotychczas przypadała „lepsza część”, o wiele lepsza od przeciętnego polskiego losu, i korzystali z tego chowając pod stoł swoje zastrzeżenia. Teraz, mimo dramatyzmu ich decyzji, co przecież odczuwamy z ich sformułowań — nadal są „do przodu”, nadal są w sytuacji o niebo lepszej niż my. Cena, którą my płacimy, jest rzetelna, ale może nie należy tych sytuacji oceniać w kategoriach moralnych, a raczej w kategoriach efektu politycznego...

Informacje o reakcjach Zachodu są zupełnie inne od tych, które serwuje Polskie Radio, natomiast rodziny przyniosły nam pierwsze wiadomości o Lechu, o tym, że podobno głoduje, że trwają z nim jakieś rozmowy na Rakowieckiej, że kontaktuje się z episkopatem przez księdza Orszulika. Niewiarygodne wydają nam się informacje o jego apelu nawołującym do strajku generalnego. Oceniamy, że wobec miazdzącej wszelki opór społeczeństwa przewagi WRON-y mógłby on się zakończyć klęską. Wydaje nam się, że obecna sytuacja stworzyła potrzebę wypracowania nowych form walki o zapisane w porozumieniach prawa społeczeństwa. Jakich form? — tego jeszcze tutaj nie wiemy.

Docierają do nas niesamowite informacje o tym, że w Gdańsku podczas ostatnich walk ulicznych zginęły 3 osoby, a na Śląsku kilkadziesiąt, wymienia się nawet liczbę 100. We Wrocławiu natomiast na jednym ze stadionów trzyma się aresztowanych pod

namiotami. Również aresztowani po 13 grudnia nie są, tak jak my, „elegancko” doprowadzani do więzień. Niektórzy przechodzą przez milicyjne „ścieżki zdrowia”. Aresztowania obejmują ludzi, którzy działali w małych zakładach i nigdy nie mieli do czynienia z „wielką polityką”. Staje się jasne, że przy tych decyzjach rolę grają osobiste porachunki. Dochodzimy do wniosku, że służby bezpieczeństwa nie mogą obejmować rozeznaniem całych środowisk, w mniejszych instytucjach idą im w sukurs lokalni działacze partyjni i zwykłe szuje, starające się odegrać na swoich dotychczasowych kolegach. Z kolei o nas w Strzebielinku rozsiewa się plotki, że przebywamy w strasznych warunkach, jesteśmy poranieni, mamy połamane ręce, nogi, komuś oberwano uszy itp. Celem całej tej, wyraźnie sterowanej akcji jest zastraszenie rodzin, środowisk, społeczeństwa.

Wrzucono nam drugi numer *Naszej kraty*, redagowanej przez jedną z cel, „gryps powszechny NSZZ Solidarność” z datą 24. XII. Zawiera on pastorałkę i hymn internowanych oraz życzenia od redakcji: „odwagi, wiary w Boga i ludzi”. Mottem jest dwuwiersz: „ponad kratą, murem Ciebie wołamy narodzony królu”. Dowcipnie stwierdzono na końcu grypsu: numer zamknięto 23. XII. 1981 r., redakcję zamknięto 13. XII. 1981 r.

Pojawiło się nowe porzekadło: „WRONa Orła nie pokona”. Na spacerze, korzystając z pięknego śniegu, którego nie brak tej zimy, ulepiliśmy bałwana w rogatywce, a drugiego z wielkimi odstającymi uszami. Było trochę śmiechu i zabawy. Wieczorem ZOMO skrupulatnie rozwalilo te kukły. No i o to nam chodziło...

Czuje się w celi wyraźne odprężenie. To skutek widzenia się z rodzinami i wiadomości, jakie do nas przenikają przez radio. Również msza św., którą odprawił kapelan bardzo nas podniosła na duchu, zwłaszcza gdy trzydziestu chłopów huknęło kolędę. Wyszedł z tego niezły chór. Często dyskutujemy o obecnej pozycji Kościoła. Wszyscy uznają, że bardzo się uaktywnił. Najważniejsze, że wspiera tworzenie się nowej, międzyludzkiej solidarności, solidarności z rodzinami, z których zabrano kogoś do więzienia lub internowano. Księża pomagają, pocieszają, kierują do osób, które mogą pomóc w jakiejś konkretnej sprawie. Organizuje się sieć pomocy i samopomocy materialnej dla rodzin internowanych i przebywających w aresztach. Wczoraj otrzymaliśmy via Kuria Gdańska paczki od kościoła ewangelickiego i rzymsko-katolickiego z Düsseldorfu. W piśmie, które zawierała każda paczka, czytaliśmy: „Kierując się bliskimi stosunkami, jakie nas łączą z Arcybiskupstwem Gdańskim oraz świadomością obecnych trudności

zaopatrzeniowych w Polsce przekazujemy Państwu niniejszą paczkę żywnościową. Paczki, jakie przekazujemy mieszkańcom Gdańska, zostały zakupione z datków probostw oraz mieszkańców Düsseldorfu”.



Kapelan przyniósł trzynaście tajemnic w jednakowych kartonach. Po kolędzie każdy otworzył i wyfrunęły sery, kakao, czekolady, wyturlały się żółte margaryny i oliwy. Jemy już trzeci dzień, jemy. I co kto nas odwiedzi, to mu buch paczkę na wolność.

### *26 grudnia, sobota, drugi dzień świąt*

Wczoraj do późna w nocy śpiewaliśmy najpierw kolędy, a później wszystko co się pamiętało. Od pierwszego dnia świąt nie bierzemy tutejszych posiłków, nie mówimy również, że rozpoczęliśmy nasz ścisły post. Jest to nasza wewnętrzna sprawa. Nie chcemy, aby wokół tego powstała jakakolwiek sensacja.

Dzisiaj znowu w kranie nie ma wody, no i nie ma kąpieli. Odwiedził nas lekarz, który oczywiście popiera nasze żądania w tym zakresie. Wodę dowozi cysterną straż pożarna. Jest zanieczyszczona i zażelaziona.

Czasem do okna podejdzie ktoś ze spacerowiczów, korzystając z chwili nieuwagi ZOMO. Tym razem był u nas Andrzej Gwiazda, po swojemu starając się nam dodać ducha.

Nie ustają dyskusje o sytuacji w kraju i wokół Polski. Wygląda na to, że WRON-a nie pozyska do określonych przez siebie celów społeczeństwa. Ludzie wyraźnie odwracają się od wszelkiej władzy pochodzącej od partii. Na tym tle może dojść do dramatycznej sytuacji — załamania się władzy i interwencji sowieckiej. Wówczas nasze położenie będzie nie do pozazdroszczenia. Jako ludzie „niebezpieczni” okażemy się niewygodni — tak dla WRON-y jak i dla interweniujących z zewnątrz. Co to oznacza — możemy sobie tylko wyobrazić. Co by to miało być? Transport czy na miejscu... Bardziej bojowi uważają, czy należy przygotować się na taką ewentualność. Staramy się zrekonstruować topografię obozu i przyległych terenów. Zastanawiamy się, jak jest w ogóle położony Strzebielinek, dokąd prowadzą lasy przylegające do muru. Myślimy wiele o ewentualnym zachowaniu się klawiszy i ZOMO-wskiej obstawy. Na spacerach niektó-

rzy delikatnie starają się wysondować stan ducha strażników. Patrząc na siebie myślimy, czy będziemy przeciwnikami na śmierć i życie kiedy przyjdzie ten czas...

*27 grudnia, niedziela*

W trakcie odwiedzin okazało się, że po Trójmieście krąży uporczywa plotka o tym, że wielu z internowanych w Strzebielinie jest rannych, wymienia się konkretnie z nazwiska — Tadeusza Mazowieckiego, rzekomo nieżyjącego, nawet przez radio zachodnie wraca ta sprawa w wersji, że torturom poddani zostali Kuroń i Michnik. Plotki te oburzały naszych klawiszy: „Jak to, przecież pan Jacek chodzi zdrow i cały, a pan Mazowiecki żyje...”. Również i nam te rewelacje wyglądają na celową robotę, wiadomo czyją... Nie potwierdzają się informacje z pierwszych dni o setkach zabitych czy przetrzymywanych na stadionach pod namiotami.

Podczas mszy św. kapelan zapowiedział odwiedzin gdańskiego biskupa na Nowy Rok.

Wieczorem z naszego radia wypowiedź Haiga, że Związek Sowiecki jest gotów jak nigdy dotąd do interwencji w Polsce. W dalszej części swoich rozważań zastanawia się, jak należy traktować Jaruzelskiego. Czy jako człowieka, który zdecydował się na wprowadzenie stanu wojennego uprzedzając i blokując możliwość interwencji sowieckiej, a więc z pobudek patriotycznych, czy jako skrupulatnego wykonawcę poleceń Kremla. Haig przyznaje, że nie ma jeszcze w tej sprawie w pełni wyrobionego poglądu, choć przechyla się na stronę tej drugiej oceny.

Agencje podają ważną informację o wizycie arcybiskupa Luigi Poggi w Polsce. W drodze powrotnej do Rzymu przekazał papieżowi telefonicznie z Wiednia informację o wynikach rozmowy z Jaruzelskim, który oświadczył, że: „Polska nie powróci do stanu sprzed sierpnia 1980 roku, ani do stanu sprzed 13 grudnia”. Poggi miał otrzymać informacje, że w Polsce jest około 40 obozów dla internowanych, że będą oni sukcesywnie zwalniani, z nielicznymi wyjątkami.

*29 grudnia, wtorek*

Po południu zaczęto wywoływać z cel członków Komisji Krajowej. W pierwszym rzucie poszli Gwiazda, Onyszkiewicz, Ku-

roń, Sobieraj, Dymarski i Tokarczuk. Za chwilę Król i Kijanka. W następnym rzucie kolejna czwórka z Rulewskim, Wujcem i Modzelewskim. Ogółem mają wywieźć 16 osób. Obstawa do ich eskortowania bardzo liczna, przez okno widać, że są uzbrojeni. Zegnamy ich okrzykami przez otwarte okno. Wszystko wskazuje na to, że władze chcą mieć tzw. politycznych pod ręką.

Dzisiejszy dziennik radiowy o godz. 20.00, a zwłaszcza dobór informacji agencyjnych z takich krajów jak Kuba i Turcja był tak skonstruowany, że równie dobrze pasowały jako komentarz do ekscesów polskiej junty. Brzmiały tak nieprawdopodobnie, że wszyscy porzucili zajęcia i zaczęli się im przysłuchiwać z uwagą. I podobnie jak przed paroma minutami, gdy przerwano reportaż z zakończenia strajku w kopalni „Piaś”, tak i w tym momencie wyłączono nadawanie dziennika. Czy to możliwe, by coś jeszcze „kołatało się” w zmilitaryzowanym radiokomitecie?

31 grudnia, czwartek

Wieczór sylwestrowy upływa nam na przygotowaniach do wspólnej kolacji — nie brak puszek z rybami, konserw, sera, są nawet jakieś soki. O północy złożyliśmy sobie życzenia, a później przy kawie, resztkach ciastek oraz przemyconej butelce szampana i wyborowej siedzieliśmy, jak zwykle dyskutując i śpiewając.

Z wieczorowych dzienników radiowych spisujemy ważniejsze informacje i przekazujemy je niektórym celom. Dochodzimy jednak do wniosku, że tego typu notatki mogą bardzo łatwo wpaść podczas rewizji. Zaczynamy przekazywać je podczas spacerów, albo tym, którzy przychodzą do naszego okna. Wprawdzie ZOMO-wcy stale odganiają, niemniej jednak zawsze udaje się o czymś poinformować.

A jest o czym. Docierają wiadomości o zawiązaniu się komisji charytatywnej przy episkopacie oraz o komitetach obrony internowanych tak w Warszawie, jak i w innych miastach Polski. W Gdańsku powstał również taki komitet. Na jego czele stanął Lech Bądkowski, redaktor naczelny tygodnika *Samorządność*. Natomiast poza granicami kraju takie komitety powstają dzięki inicjatywie znanych Polaków mieszkających od lat na obczyźnie, jak Czesław Miłosz czy Leszek Kołakowski oraz tych, których wojna zaskoczyła za granicą, np. Stanisław Barańczak. Wydarzeniami w Polsce interesują się nie tylko politycy, ale także związkowcy, zwłaszcza w tych krajach, gdzie był Lech Wałęsa. Zresztą wokół Wałęsy trwa nadal zainteresowanie środków ma-



sowego przekazu; ostatnio *Time* ogłosił go „człowiekiem roku 1981”. To wyróżnienie otrzymał już w czasie internowania. Ostatnim więźniem, obdarzonym tym wyróżnieniem był Gandhi w 1930 roku. Pojawiają się apele w obronie „Solidarności”.

Niespodziewana, krótka podróż wicepremiera Mieczysława Rakowskiego do RFN jest nadal w centrum zainteresowania świata politycznego. Wiadomo, że w czasie rozmowy z Hansem D. Genscherem spotkał się on z żądaniem szybkiego zakończenia nienormalnej sytuacji w Polsce oraz uwolnienia wszystkich internowanych i aresztowanych „za kontynuowanie działalności związkowej po 13 grudnia”. Później Rakowski zaprzeczał doniesieniom prasy zachodniej, iż zapewnił stronę niemiecką o szybkim złagodzeniu stanu wojennego. Obecnie kierownictwo polityczne w Polsce nie ma jasnej koncepcji rozwiązania problemu „Solidarności”; jedna grupa zakłada przekształcenie Związku w instytucję całkowicie zależną od partii, druga przewiduje całkowite jego zniszczenie.

Z uwagą wysłuchujemy każdej informacji dotyczącej wypowiedzi papieża i episkopatu Polski. W środę (30. XII), podczas ostatniej audiencji generalnej w tym roku Jan Paweł II w części swego przemówienia wygłoszonego po polsku przytoczył fragment oświadczenia prymasa z 13. XII i poparł stanowisko biskupów polskich, głoszące, że stan wojenny narusza niezbywalne prawa osoby ludzkiej a Kościół zawsze musi się temu sprzeciwiać.

Takie i inne informacje przekazywał nam co wieczór nasz mały prymitywny tranzystor z dowiązanymi na zewnątrz bateriami. Selektywność aparatu zwiększaliśmy kładąc go na kaloryferze. Ponieważ były spore zaniki fal, więc dopiero wielogodzinne słuchanie powtarzanych dzienników z kilku stacji dawało obraz dnia.

Sylwester był też o tyle pamiętny, że po raz drugi od czasu zamknięcia mogliśmy się wykąpać, a raczej wziąć prysznic. Przy okazji otrzymaliśmy nową zmianę ścierek, które służyły nam jako ręczniki. Po dniach spędzonych w brudzie, pod zakurzonymi kocami w podejrzaną plamę, była to wielka ulga.

*1 stycznia, piątek*

Dziś i ja miałem swój dzień odwiedzin. Przyjechali najbliżsi. Dowiedziałem się wreszcie, co się dzieje w domu. Wszystkie dotychczasowe nasze dyskusje w celi na temat ewentualnego podpisywania tzw. lojalek, łącznie z wychodzącym naprzeciw słabszym oświadczeniem Kościoła, że takie podpisanie pod przymusem nie ma mocy wiążącej w sensie prawnym, nie mówiąc już o moral-

nym, wszystkie te spekulacje przecięło zdanie mojego dziecka: ty tatusiu nie podpiszesz żadnych oświadczeń, prawda?

Zdaję sobie sprawę, że nasz pobyt tutaj nie ma realnego końca, zwłaszcza gdy się obserwuje rozwój sytuacji w kraju, szczególnie w Trójmieście. Wiem, że wrócę do zupełnie innego świata, w którym może zabraknąć dla nas miejsca w wymodelowanym od nowa społeczeństwie. Mówi się — chyba nie na darmo — że część z nas może dostać rodzinne paszporty na wyjazd na emigrację. Nie chcę wyjeżdżać, chciałbym tu w Polsce żyć i pracować, ale czy będę mógł? Wiadomo już, że dąży się do tego, byśmy nie mogli wrócić do wykonywanych przez nas zawodów. Nie jest wykluczone, że trzeba będzie zupełnie przekwalifikować się. Niczemu się już nie zdziwię. Raczej zaskoczy mnie sytuacja odwrotna.

*2 stycznia, sobota*

Po południu odbyło się trzecie spotkanie delegatów cel z zastępcą komendanta obozu kapitanem Wojciechem Biegajem. Już po drodze ustaliliśmy, że jedynym celem tego zebrania będzie utworzenie komendy spośród internowanych dla reprezentowania nas wobec władz obozu. Spotkanie zaczęło się jednak od przedstawienia nam wewnętrznego regulaminu obozowego. Zarysował się wyraźny podział zdań — część kolegów, uznając postanowienia regulaminu za zamach na przysługujące tradycyjnie internowanym prawa, nie zważając na formy parlamentarne zarzuciła referującemu, że stosuje się metody przypominające hitlerowskie obozy koncentracyjne. Innym te zarzuty wydały się jednak idące zbyt daleko.

Nie były to proste sprawy i w ich ocenie niestety różniliśmy się między sobą. W obozowym kotle znaleźli się ludzie o rozmaitych doświadczeniach życiowych i zawodach. Była niemała część ludzi legalistycznie nastawionych do istniejących struktur społecznych i państwowych, przywiązanych do nich. Dla nich też było oczywiste, że nawet w warunkach, w jakich się znaleźliśmy, musimy szukać takich rozwiązań, które byłyby do przyjęcia — jak się to mówi — dla obu stron. Niestety system tu obowiązujący nie dawał szans na takie ułożenie współżycia. Dlatego też nie mogli znaleźć oparcia dla swoich, dość idealistycznych, wyobrażeń. Szarpali się sami ze sobą, a także starali się przeciwstawić tym, którzy jasno widzieli obozowe podziały: oni i my. Zasadniczy, nie do rozwiązania był dylemat pierwotny: narzucenie na-

rodowi wojny, której nikt nie potrafił prowadzić i nikt nie potrafił wygrać. Można było tylko mówić o wzajemnych stratach.

Spotkanie poprowadził w dalszym ciągu pełnomocnik Maciuk, krótko oznajmiając, że od dziś będzie bezwzględnie przestrzegany regulamin, zwłaszcza w postanowieniach przewidujących kary: pozbawienie widzeń z rodziną, zakaz korespondencji, osadzenie w osobnych celach itp. Oznajmił, że internowani nie mają prawa do jakiegokolwiek reprezentacji i mogą występować wyłącznie indywidualnie.

### *3 stycznia, niedziela*

Dzisiaj jestem kalifaktorem, tzn. sprzątam celę. Zmyłem podłogę, ubikację, wyczyściłem kibel, wymyłem wspólnie używane naczynia. Zajęło mi to sporo czasu. Był bałagan, bo wczoraj prawie wszyscy urzędowali do trzeciej w nocy. Około północy zbudzili mnie, żeby przekazać informację, że syn Rakowskiego poprosił o azyl w RFN. Trudno o wyraźniejszą ocenę postępowania ojca.

Nowa władza nie ma żadnej wiarygodności w społeczeństwie. Stąd gorączkowe poszukiwania sojuszników, którzy mogliby chociaż pozornie poszerzyć bazę społecznego oddziaływania. W tym też kontekście widzieć należy tworzenie Obywatelskich Komitetów Ocalenia Narodowego, będących niczym innym jak tylko dawnym Frontem Jedności Narodowej, ze zmienionym szyldem. Zresztą sposób ich powoływania wyznacza im pole działania. Władza znowu chce wskrzeszać struktury, które dla społeczeństwa już dawno się przeżyły. Żałosne, że ostatnie półtora roku nauczyło władzę jedynie tego, jak przeciwstawiać się dążeniom społecznym. Z kolei „Solidarność” nie jest bez winy. Oczywiście teraz nie czas, aby kajać się za błędy, niemniej trzeba już obecnie pogłębiać świadomość złożoności przemian, jakie powinny się dokonać w Polsce. Nie można przy tym uciekać od wyraźniejszego postawienia sprawy naszego stosunku do Związku Sowieckiego. Bez bowiem przyzwolenia Kremla na reformy w Polsce, bez uwzględnienia jego geopolitycznych interesów — nie wydaje się, aby droga wybrana w Sierpniu była łatwa. Społeczeństwo polskie nie chce już czekać. Chce samo decydować o swoim losie.

W kraju rozpoczyna się bardzo niebezpieczny okres, zwłaszcza po ogłoszeniu serii podwyżek. Nawet klawisze zastanawiają się, co dalej z tego wyniknie. Nie ma bowiem żadnej zorganizowanej

wanej siły w społeczeństwie, która potrafiłaby przeciwstawić się w warunkach stanu wojennego zapowiadanej drożyznie. Zaczną wydobywać się najgorsze ludzkie cechy, drapieżność w walce o byt, a wraz z tym pogarda dla jakichkolwiek ograniczeń moralnych.

*5 stycznia, wtorek*

Wczoraj otrzymaliśmy dary od prymasowskiego komitetu opieki nad internowanymi. Te dary uzupełniają nasze wyżywienie. Wreszcie przestają nam dokuczać dolegliwości żołądkowe, tak częste przy więziennym jedzeniu.

Ostatniej niedzieli zdarzył się przykry wypadek, gdy podczas mszy jeden z kolegów zemdlął i nie można było go wynieść. Klawisz otworzył kaplicę dopiero po dłuższym waleniu, wówczas też można było zaprowadzić naszego kolegę do lekarza.

Te chwile skupienia w kaplicy pomagają w przeżywaniu naszej szarej codzienności. W takich chwilach jestem bardzo blisko z Wami. Polecam Was Bogu w swoich modlitwach. Dodają mi siły do wytrwania, a czas przecież nieubłaganie płynie. Można nawet zauważyć, że jest to czas niepokoju, ale również głębokiej osobistej refleksji.

W kołchoźniku wyraźnie widoczna jest obowiązująca tendencja propagandowa: idzie ona w kierunku dzielenia społeczeństwa na tle stosunku do „Solidarności”. Najpierw był atak na KOR (Komitet Obrony Robotników), KPN (Konfederację Polski Niepodległej) i NZS (Niezależne Zrzeszenie Studentów), które miały rzekomo sterować całą działalnością Związku i formułować jego program, a w ostatnich dniach wyraźna jest napaść na inteligencję. Atakuje się zwłaszcza tę, która stanowiła bazę doradców i ekspertów Związku. Chodzi o to, by ludziom wbić do głowy przekonanie, że czym innym jest tzw. robotniczy nurt w „Solidarności”, a zupełnie czym innym — wredny, inteligencki. Już teraz sugeruje się, że ten robotniczy winien zająć się „czysto związkowymi” sprawami, takimi jak zasiłki, wczasy, BHP, czyli tzw. dzieleniem marchewki, odcinając się od diabolicznie przedstawianej inteligencji, która „chciała przejść po grzbiecie robotników i sięgnąć po władzę”. Jakby nie było tak, że jedni i drudzy odnaleźli się nawzajem, skupili wokół wspólnej sprawy, nawzajem siebie potrzebując, po raz pierwszy od tylu lat...

Dzisiejszy komunikat o rozwiązaniu NZS-u świadczy, że władze zaczynają się spieszyć. Nie darmo Rakowski w swoich roz-

mowach w RFN mówił, że WRON-a nie ma poparcia żadnej z grup społecznych — robotników, chłopów, inteligencji, młodzieży studiującej, a także Kościoła. Trzeba więc — jak mówił — działać szybko. Stąd niespodziewane próby rozmów z przedstawicielami wszystkich związków zawodowych, w tym również z „Solidarnością”. Nie wiadomo jedynie, kim są ludzie decydujący się na przystąpienie do rozmów. Można przypuszczać, że za wszelką cenę będzie się wyłuskiwać tych, którzy są gotowi do współpracy, z pominięciem dotychczasowych władz Związku. Doprowadzi to do podziałów wewnątrz Związku na tych, którzy dążą do wykorzystania wszelkich możliwości, jakie niesie stan wojenny oraz na tych, którzy nie widzą sensu jakiegokolwiek współpracy z obecnymi władzami. Tym ostatnim pozostanie działanie nielegalne.

*7 stycznia, czwartek*

Dziś od rana dyskutuje się wczorajszą „bombę” z wywiadem telewizyjnym Marka Brunné, ostatniego rzecznika prasowego „Solidarności”. Myślimy podobnie. Dał się wpuścić w kanał. Dał się zastraszyć i przejawiał, nie do wybaczenia na tym stanowisku, polityczną naiwność i brak charakteru. Szkoda więcej słów na jego temat. Żegnaj Marku...

W nocy z wtorku na środę była zamięć śnieżna. Myśleliśmy, że nas zasypie na dobre i na Trzech Króli nie dotrze do nas nasz kapelan. Dotarł.

Przywieziono nowych więźniów, a wśród nich barwną postać — Tadeusza Szczudłowskiego. Mamy więc nowe wiadomości o rozwoju sytuacji w Trójmieście, a także w Stoczni Gdańskiej. Jednocześnie nadal trwa wypuszczanie ludzi ze Słupska, pozostało ich już tylko czterech. Pierwszy raz na spacer wypuszczono cały pawilon. Zima jest przepiękna, obłędnie biała, pyszna. Marzymy o nartach, zjazdach, górach. Poruszamy się na spacerniku po wykopanych w śniegu wąskich drózkach.

Rozmawiamy o sytuacji na uczelniach. Rozwiązanie NZS spowoduje pewnie wepchnięcie części aktywnych studentów w kanał konspiracji. Inni zastraszeni zajmą się studiami i swoją małą stabilizacją. Dla nich ten okres trwał bardzo krótko.

Ostatnio w województwie gdańskim pojawił się zakaz używania prywatnych samochodów. Wiąże się to prawdopodobnie także z zapowiedzianym na jutro rozpoczęciem pracy przez stocz-

niowców. Podobno w trakcie tzw. weryfikacji do wczoraj nie przyjęto do pracy 3 tysięcy ludzi.

Wczoraj wywieziono Staszka Wądołowskiego. Dokąd?

Pojawiły się pogłoski o możliwości większych zwolnień internowanych. Wiadomo już teraz, że przy tej okazji ma nastąpić selekcja także wśród nas: na tych, którzy wyjdą i na tych, którym wytoczy się procesy za tzw. działalność polityczną w Związku. Wracają jak bumerang wpuszczane w różny sposób informacje sugerując, że w każdej celi jest jakiś konfident.

### 8 stycznia, piątek

27 dzień w obozie. Znowu zabrano z obozu czterech z krajówki. Wszyscy są ze Śląska: Ryszard Błaszczyk, Józef Patyna, Jan Łuzny, Michał Mąsior. Jak sądzimy — pojedą albo w pobliże Warszawy, co świadczyłoby o intencji próby rozmów ze Związkiem, albo dla wygody lokalnej ubecji wyładują w pobliżu swoich miejsc zamieszkania i założonych *dossiers*. Coś się w każdym razie dzieje.

Patyna jest pechowcem. Właśnie dziś, po ich wyjeździe była jego żona, która po wielu staraniach wreszcie ustaliła miejsce jego pobytu. Wróciła z niczym.

W celi stabilizacja: przybili nam półki z wieszakami, do obozu wracają chorzy po szpitalnych „kuracjach”. Wygląda na to, że zaniosło się na dłużej... Dopiero teraz potrafimy docenić poziom i staranność opieki, którą dojeżdżający do nas gdańscy lekarze potrafili nam stworzyć, mimo prymitywnych warunków. Opiekę lekarską przejęły służby więzienne.

### 9 stycznia, sobota

Nastroje u nas falują — od nadziei do zwątpienia. Zwracamy szczególną uwagę na działania i wystąpienia Kościoła. Kościół polski ostro przeciwstawia się zarządzeniom junty o zakazie sprawowania funkcji publicznych, jeśli jest się członkiem „Solidarności”. Również homilia prymasa Glempa na Trzech Króli stawia żądanie unormowania obecnej sytuacji: zwolnienia internowanych i rozpoczęcia rozmów z „Solidarnością”. W ostatnich dniach odbyła się konferencja episkopatu, która wydała oświadczenie na temat sytuacji w kraju. Szczegółów brak. Jednocześnie podziemna „Solidarność” oświadczyła, że podejmie rozmowy z

władzami, ale dopiero po zniesieniu stanu wojennego i zwolnieniu internowanych, bez podziału na lepszych i gorszych. Oficjalnie podaje się, że internowano 5.900 osób, z tego nadal pozostaje w „ośrodkach odosobnienia” 5.100. Na zachodzie upowszechnia się nieoficjalne zapewnienia polskich władz, że internowani będą zwalniani z wyjątkiem tych, przeciwko którym toczą się już postępowania karne. Podobno zaproponowano Kościółowi, aby w jednym z klasztorów „internował” Wałęsę; Kościół jednak odrzucił tę propozycję.

Podano do wiadomości, że sekretarze KW Żabiński w Katowicach, „super-beton”, i Fiszbach w Gdańsku, „super-liberał”, złożyli rezygnację z zajmowanych stanowisk.

Obozowy radiowęzeł zakomunikował, że naszym trzem kolegom wymierzono kary za rozmowy w trakcie spaceru z mieszkańcami jednej z cel przez okno. Dwóch otrzymało tzw. „upomnienia na osobności” (!), a jeden karę odosobnienia w zawieszeniu.

Kończą się nam zapasy jedzenia z paczek i domów. Trzeba będzie wrócić do więziennego jadłospisu.

*10 stycznia, niedziela*

Zawsze oczekujemy niedzieli z nadzieją i ożywieniem. W trakcie odwiedzin napływa do obozu porcja wiadomości, która musi wystarczyć na cały tydzień. Oczekujemy też niedzielnych mszy św. (niestety Polskie Radio nie transmituje już mszy św.), w czasie których możemy wysłuchać informacji z działalności Kościoła. Bardziej też włączamy się w sprawę liturgii. Koledzy na zmianę czytają fragmenty lekcji i przygotowują intencje, o które modlimy się w czasie mszy św. Z uwagą wysłuchujemy wszystkich komunikatów episkopatu. Ze szczególną uwagą śledzimy ciąg wypowiedzi naszego papieża. Dziś — jak podały zachodnie agencje radiowe — papież ostro potępił działalność junty. W podobnym tonie wygłosił kazanie prymas Glemp. Jego wczorajsze spotkanie z Jaruzelskim nie wniosło nowych elementów.

Do obozowej kuchni z chełmińskiej diecezji dostarczono transport produktów żywnościowych. Odnotowuję dla porządku: 50 kg cukru, po 2 torebki herbaty holenderskiej na głowę i 50 kg mleka w proszku, które ma wzmocnić nasze poranne zupy mleczne.

Nasza wiara czasem słabnie, nawet wiara w najbliższych. Boimy się, że nasze ślady z wolna „przysypie piach”, powoli

bowiem życie w Polsce „normalizuje się”, ludzie są coraz bardziej zmęczeni, przygnębieni, zajęci zaspokajaniem podstawowych potrzeb życiowych. Coraz mniej miejsca dla nas...

Stan obozu na dziś: 138 internowanych i 33 więźniów. Obstawa składa się z około 30 ZOMO-wców i 24 funkcjonariuszy więziennych oraz pełnomocnika, komendanta, zastępcy i porucznika-kobiety z SB.

*11 stycznia, poniedziałek*

Znowu polityka. Odnotowujemy z oburzeniem bezwstydnym ton wypowiedzi wicepremiera Janusza Obodowskiego na konferencji prasowej dla dziennikarzy zachodnich. Powiedział, że jeśli Reagan odmówi pomocy gospodarczej Polsce, wówczas ciężar reformy zostanie przerzucony na barki społeczeństwa, a władze nie zakończą szybko stanu wojennego. Oto jasne wyłożenie kart. Brawo.

Od czasu do czasu docierają echa działań naszych kolegów, którzy w różny sposób znaleźli się na emigracji. Ostatnio — jak się dowiadujemy przez radio — odrzucili pokusę stworzenia tam emigracyjnego związku „Solidarność”, co mogłoby władzy dać argumenty na rzecz delegalizacji Związku. Widać czują i rozumieją wydarzenia w kraju. Natomiast Zachód ustalił, że dzień 30 stycznia będzie obchodzony jako dzień solidarności z „Solidarnością”.

W obozie trwa akcja dziwnego przemieszczania naszych kolegów. Odbywa się to według dobrego ubeckiego scenariusza. Przychodzi klawisz i każe się pakować wyczytanym z listy ludziom. Pakują wszystkie rzeczy do zdania, żegnają się z kolegami, przygotowują do wyjazdu. Wielu żegna się na dłużej, zostawiając wiadomości dla rodziny. Zastanawiamy się nad ich przyszłym losem. Kiedy już znajdą się na korytarzu, klawisze wskazują im drzwi, często sąsiedniej celi. I jak tu zapomnieć, z kim mamy do czynienia...

*12 stycznia, wtorek*

Podczas rozmów w trakcie spacerów wrócił wątek wczorajszych przemieszczeń ludzi. To co opowiadają o przebiegu tej operacji budzi refleksję nad samym pojęciem słowa — solidarność. Okazuje się, że nie wszędzie „nowi” koledzy, którzy prze-



rzucani byli do innych zamieszkałych i w części zwolnionych przez wypuszczonych na wolność cel byli przyjmowani jak należy. Zdarzały się przypadki, że przy tej okazji przemeblowywano cele, oddając im „gorsze” prycze, gorzej położone i w ogóle zdarzały się przyjęcia niechętne. Jednak rację ma Kościół mówiący o potrzebie przebudowy serc i umysłów, nie tylko o budowie struktur organizacyjnych. Zauważyliśmy, że przejawy wzajemnej niechęci z satysfakcją dyskontują władze obozowe. W ich rachunku sumienia, który pewno prowadzą sami ze sobą odnotowują, że i my nie potrafimy zawsze utrzymać się na wysokim przyzwoitym poziomie moralnym. Oceniam jednak, że i tak przypadkowa, niejednolita środowiskowo grupa ludzi jaką stanowimy potrafi mimo nienormalnych warunków izolacji i zamknięcia wytworzyć rodzinny klimat, o którym wspominał Czesław Miłosz podczas pamiętnej wizyty w Stoczni Gdańskiej. I tu, mimo takich zdarzeń — utrzymuje się wysoka temperatura wzajemnych kontaktów, choć mogłoby być jeszcze lepiej...

Nasza zachłanność na najbliższych, na możliwie najczęstsze kontakty z nimi jest trochę egoistyczna. Okazuje się, że oni, żeby zobaczyć się z nami przez tę godzinę, muszą przejść przez całą kłopotliwą procedurę. Najpierw jest to załatwianie zezwolenia na opuszczenie Trójmiasta. Potem kłopoty komunikacyjne, zwłaszcza na odcinku od Wejherowa do Strzebielinka, położonego na uboczu normalnie uczęszczanych tras. Kursuje tu tylko jeden ranny autobus, przyjeżdżający pod obóz o 8.00 rano. Jest praktycznie niemożliwe skorzystać z niego jadąc tu z Trójmiasta. Jest jeszcze pociąg, ale zatrzymuje się w Rybnie o 3 kilometry od ośrodka. Drogi prowadzące stamtąd są nieprzejezdne, wszędzie wysoki kopny śnieg i zaspasy. Pozostaje taksówka, kosztująca w zależności od długości postoju pod bramą od 500 do 2.000 zł. Jeśli już dotrą do obozu, klawisze z dyżurki trzymają ich godzinami pod bramą w kolejce na widzenie. Bywa, że i po trzy-cztery godziny, co dla małych dzieci jest męczarnią ponad siły.

Z drugiej strony bramy z kolei czeka nas cały zestaw niespodzianek. Wywoływany na widzenie, w zależności od składu dyżurnych klawiszy i ZOMO-wców, dokonuje się rewizji osobistych. Niektórych usiłują przy tej okazji rozbierać. Ludzie różnie na to reagują, w zależności od odporności psychicznej i osobistej wrażliwości. Zdarzają się przypadki zrezygnowania z widzeń z tego powodu.

Tak w Polsce, jak i w naszym obozie zdarzają się tzw. akcje. Polega to na tym, że znienacka burzy się ustalony i przyjęty przez obie strony porządek rzeczy, który w trakcie takiej akcji okazuje

się przestępczy. Od pierwszych dni internowania przyjął się np. zwyczaj indywidualnego przystrajania wewnętrznych drzwi celi. Stanowiły one jakby wizytówkę mieszkańców. Umieszczaliśmy na nich cytaty z *Trybuny Ludu* czy *Żołnierza Wolności*, własne napisy, naklejki reklamujące dawne imprezy związkowe a także własne kompozycje plastyczne. Były to rzeczy rozmaite: od sylwety Pomnika Poległych Stoczniowców począwszy po aktualne gazetki „ścienne”. Oprócz tego stale wzbogacał się wystrój ścian. I oto właśnie wczoraj podczas wieczornego apelu rozpoczęto zdzieranie wszystkich tych kompozycji. Podejrzewamy, że pomysł akcji narodził się „gdzieś wyżej”.

Trwają starania o dotarcie do nas. Ostatnio Józef Duriasz i Jolanta Strzelecka z *Tygodnika Solidarność* byli u Urbana i uzyskali od niego zgodę na organizowanie pomocy dla internowanych dziennikarzy oraz glejt zezwalający na ich odwiedzanie. Z tym właśnie pismem przyjechał do Strzebielinka Duriasz, ale pełnomocnik Maciuk nie zezwolił mu na widzenie nawet z pracownikiem redakcji — Krzysztofem Wyszkwowskim. Jest informacja, że Tadeusz Mazowiecki, redaktor naczelny *Tygodnika Solidarność*, po wywiezieniu od nas przebywa w Jaworzu k. Drawska. Tam też umieszczono część uczestników Kongresu Kultury Polskiej.

13 stycznia, środa

Dochodzi coraz więcej listów od rodzin. Pomyślałem dziś z zazdrością o koledze, który oprócz odwiedzin dostał też list. Potrzebny jest stały kontakt, by nie dać się przywalić obozowym trybem życia. Oddziałowi i cała więzienna struktura jest obliczona na spłaszczanie osobowości, sprowadzanie do poziomu więźnia wdzięcznego za możliwość kąpieli, wyprania czegoś. Narzuca niską, w gruncie rzeczy upokarzającą człowieka hierarchię spraw. Kontakt ze światem wywraca ten porządek i muszą go budować od nowa. Syzyfowa praca. Najbardziej mi żal funkcjonariuszy...

Część drugą dopisuję wskutek szczęśliwego zbiegu okoliczności — dorobiliśmy się w celi lampki nocnej. W związku z tym nie jestem już skazany na wieczorne rozmyślenia po ciemku. Mogę coś czytać no i pisać, choćby listy. Listy zaś są w modzie: dziś cytowano w telewizji listy do Generała. Co parę dni wypada nam oglądanie programu, choć równie dobrze można by poprzestać na czytaniu *Trybuny Ludu* — wprowadzono zwyczaj wzajemnego cytowania i ujednociania poglądów. Gdyby nie kontakt z ludźmi, można by dojść do wniosku, że wszyscy myślą to

samo i tak samo, zgodnie z zaleceniem odgórnym. Jeśli ta jedno-myślność miałyby być punktem docelowym, po którym zostaniemy uznani za jedyne już „odmieńców” i wtedy wypuszczeni — to obawiam się, że przy tym stylu propagandy potrwa to bardzo długo.

U nas stabilizacja — są nawet propozycje ze strony zwierzchnictwa, abyśmy przejęli obowiązki sprzątanania i roznoszenia posiłków w poszczególnych pawilonach. Byłaby to namiastka tego, czego — według władz — domagaliśmy się. Ale my inaczej wyobrażaliśmy sobie naszą komendę obozu. Możemy przejąć te obowiązki, ale wraz z całym pakietem uprawnień. A na to nie ma zgody...

Kolejne zwolnienia z obozu; tym razem wyszło czterech starszych, a wśród nich Henryk Napieralski z KK (Bydgoszcz) i Zdzisław Kobylański, członek prezydium Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980. Zastanawiam się jednak, czy rzeczywiście zostali zwolnieni do domów?

*16 stycznia, sobota*

W ostatnim tygodniu powróciliśmy do trochę zapomnianego zwyczaju śpiewania podczas spaceru. W międzyczasie znacznie wzbogacił się — dzięki talentom śpiewaczym Szczudłowskiego i niebywalej pamięci kilku starszych wiekiem kolegów — nasz repertuar. Doszła stara pieśń powstańcza, która stała się naszym hymnem obozowym:

*O Panie, który jesteś w niebie  
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń.  
Wołamy z wszystkich stron do Ciebie  
O Polskie Orły, Polski Dom.*

*O Boże skrusz ten miecz co siecze kraj  
Do wolnej Polski nam powrócić daj.  
By stał się źródłem nowej siły  
Nasz dom, nasz kraj.*

*O usłysz Panie skargi nasze  
O usłysz nasz tułaczy śpiew.  
Znad Warty, Wisły, Sanu, Bugu  
Męczeńska do Cię woła krew.*

*O Boże...*

Odśpiewaliśmy tę pieśń chórem w kaplicy podczas mszy św., robiąc niemałe wrażenie na naszym kapelanie. Od tej pory, czując siłę pieśni, śpiewaliśmy ją zawsze podczas dni odwiedzin, często ustawiając się całą grupą na wprost bramy obozowej. Jak się zorientowaliśmy — pieśń była znakomicie słyszalna po drugiej stronie muru i dodawała ducha stojącym i czekającym na widzenia. W naszym żelaznym repertuarze z takich okazji były też „Boże coś Polskę” i hymn. Śpiewały po kolei wszystkie grupy spacerowe, tak, że koncert przedłużał się na cały czas trwania widzeń, stanowiąc dodatkową formę łączności z najbliższymi. W czasie widzeń podchodzili oni do okien sali, w której trwały odwiedziny, pozdrawiali nas znakiem V, odpędzani przez klawiszarzy od okien. Obozowe władze usiłowały przerwać nasze śpiewy, m.in. posługując się oddziałem ZOMO-wców, ale na nic się to nie zdało.

ZOMO to zresztą osobny problem w obozie, dla nas będący także fragmentem naszego „frontu ideowego”. ZOMO-wcy zostali od pierwszego dnia zakwaterowani w dwóch pierwszych celach pawilonu pierwszego. Mieszkali w warunkach niewiele odbiegających od naszych, dysponowali jednak osobną kantyną z bufetem i telewizorem. Różniła nas wysokość stawek żywnościowych, stąd też prowadzono dla nich osobną kuchnię. Podobnie jak inne zakłady karne, Strzebielinek prowadził własną hodowlę świń, znakomicie karmionych dzięki paskudnym posiłkom, które w większości lądowały w korytach. W trakcie rozbioru mięsa dla nas przeznaczano ciężkostrawne tłuste ochłapy, a dla ZOMO schaby, karkówki i całą jadalną resztę. Poza tym jadali jak w domu — masło, sardynki, różnego rodzaju konserwy, sery i dżemy. Pamiętna wypowiedź Jerzego Urbana — „rząd się jakoś wyżywi” — obowiązywała tutaj w całej rozciągłości. Dary żywnościowe, które trafiały do obozu poprzez Kościół przejmowano do wspólnej kuchni. Pozwalało to na różne „przerzuty”, szczególnie bardziej atrakcyjnych artykułów, takich jak kawa czy puszki z wieprzowiną. Te ostatnie np. dzielono w ten sposób, że do naszych cel trafiała jedna puszka na dwóch, a ZOMO-wcy dostawali po całej. Ale były to detale, choć irytujące.

Newralgicznym stykiem dwóch światów — internowanych i oddziału ZOMO — były sąsiadujące o ścianę cele w pierwszym pawilonie. Trafiła kosa na kamień. ZOMO-wcy mieli za sąsiadów „grupę śpiewaczą” dysponującą najbogatszym repertuarem pieśni patriotycznych, w tym wielu legionowych. Zadaniem buforowych cel było „utrzymanie wysoko obozowego sztandaru”, demonstrowanie siły ducha i zdecydowanej postawy. Wieczorne

głośne modlitwy i wielogodzinne śpiewy stanowiły jaskrawy kontrast ze stylem bycia ZOMO-wców, którzy po pierwszym okresie mobilizacji ulegali szybkiej demoralizacji w monotonicznych warunkach życia obozowego. Korzystali z nadarzających się okazji, by mimo zakazów zdobyć gdzieś w okolicy piwo, wino lub wódkę. Stale dochodziło do spięć. Ci, którzy mieli z nimi do czynienia na co dzień skarżyli się, że ZOMO-wcy zachowują się wobec nich ordynarnie i prowokacyjnie. Hałasują do późna w nocy, docinają wychodzącym na spacer internowanym. Tylko z początku stanowili dla nas jednolitą grupę. Z upływem czasu indywidualizowaliśmy ich; tylko mundur nadawał im pozory monolitu.

Wczoraj mieliśmy „wypiskę”: można było zakupić porcjowaną kaszankę, salceson, smalec, masło, cebulę, herbatę, zapalki i papierosy, łącznie za sumę 420 zł. Cały smalec przetopiliśmy w misce, dodając do niego cebulę i ostatnie 3 jabłka. Kuchenkę wypożyczyli nam więźniowie z obsługi, którzy byli tu już nieźle zagospodarowani. Prawie wszyscy z nich byli recydywistami i umieli znakomicie poruszać się w więziennym świecie. Nie było dla nich problemów nie do załatwienia. Kuchenka elektryczna przypominała krzesło elektryczne, a w każdym razie była równie groźna w użyciu. Na odwróconym żelaznym taborecie na wątej izolacji rozpięta była straszliwa spirala grożąca w każdej chwili porażeniem. Podobnie ryzykowną konstrukcją stanowiła otrzymana od nich grzałka elektryczna, tzw. betoniara, która gotowała wodę w dużym słoiku w ciągu minuty. Były to dwa brzeszczoty od piłki do żelaza przedzielone sznurkiem. Po ich włączeniu przysała światło w całym pawilonie. Rozpoczęliśmy z nimi skomplikowane pertraktacje dla doposażenia naszej celi w dodatkowe „punkty świetlne”. Cella pokryła się pajęczyną połączeń elektrycznych prowadzących do nocnych lampek zrobionych ze starych puszek. Nie wnikalismy w to, skąd biorą takie reglamentowane w obozie towary jak oprawki i żarówki. W każdym razie oddziałowy klawisz trzeciego pawilonu codziennie kłął, że ktoś wykręca mu żarówkę z jego dyżurki. W końcu przestał zwracać na to uwagę — siedział po ciemku lub wychodził do dyżurki w łączniku między pawilonami, gdzie cała nocna zmiana klawiszy różniła w pokera.

*19 stycznia, wtorek*

Po rozpoczęciu pracy przez stocznie i duże zakłady w Trójmieście zapanował względny spokój. Pozwoliło to służbom bez-

pieczeństwa dokończyć akcji internowania ludzi, którzy w grudniu uniknęli zatrzymania. W ten właśnie sposób zostali wprost z przesłuchań zabrani nasi nowi koledzy. Wśród nich dwaj dziennikarze, którzy powiększyli sporą już listę ludzi z tej branży. Mamy tu dziennikarzy radia, telewizji, prasy związkowej i katolickiej, a także sporą grupę zatrudnionych w agendach informacyjnych „Solidarności”.

Porównujemy docierające do nas fragmenty zeznań byłych ambasadorów PRL Spasowskiego i Rurarza składane przed amerykańską komisją senacką z naszymi ustaleniami. Przynajmniej w części dotyczącej od dawna już istniejących planów rozprawienia się z „Solidarnością” — potwierdzałyby się. Na wielu aktach internowania figurują stare, nieaktualne nieraz od pół roku adresy, zakłady pracy. Oznaczałoby to, że listy proskrypcyjne przygotowane zostały już w okresie strajku sierpniowego 1980 roku. Tak więc końcowy fragment filmu Wajdy „Człowiek z żelaza”, który tak oburzał partyjnych widzów rzekomo niesprawdliwą oceną intencji władz (była to scena, gdy odjeżdżający spod stoczni ubek rzuca przez szybę samochodu pogroźkę: jeszcze się policzymy) sprawdził się ponad oczekiwania.

Z pobieżnej analizy wynika, że na pierwszym miejscu list znaleźli się ludzie z dawnej opozycji, na drugim aktywni działacze strajkowi, na trzecim reprezentanci władz związkowych i eksperci, a dalej dziennikarze i w ogóle ludzie w jakikolwiek sposób tworzący obraz „Solidarności”.

## *22 stycznia, piątek*

Bezruch w jakim się znaleźliśmy pogrąża niektórych w głęboką frustrację i stwarza doskonałe warunki do rozwoju wszelkiego rodzaju chorób. Najpierw były nerwice serca i żołądka, a po jakimś czasie zaczęły się dolegliwości reumatyczne.

Od samego początku naszego pobytu w obozie zdawaliśmy sobie sprawę z potrzeby zorganizowania jakichś zajęć sportowych. Nie było to łatwe. Cele, w których mieszkało najpierw po 16, później po 10-13 osób, ograniczone powierzchnią 10×6 kroków z osmioma piętrowymi łózkami, taboretami i stołami — nie nadawały się na ćwiczenia sportowe.

Z początku z uśmiechkiem patrzono na tych, którzy bez względu na pogodę biegali po kilkanaście okrążeń na naszym spacerniku, później zaczęto się do nich przyłączać. Z pewnością nie

było warunków do prawdziwego biegania, niemniej ta godzina spaceru tak intensywnie spędzona stanowiła doskonały relaks psychiczny. Byli tacy, którzy potrafili przebiec nawet 10 km, tj. 50 kółek spacernika. Jednak tego typu zajęcia nie były dostępne dla wszystkich, stąd w celi do stałych elementów dnia należały ćwiczenia chwytów obronnych, przysiady, pompki, przeciąganie się na ręce. Wyciągało się też materace z łóżek i ćwiczyło przewroty oraz niektóre z układów jogi. Brakowało jednak miejsca.

Chcieliśmy przejąć na te potrzeby niezamieszkałe cele w trzecim i drugim pawilonie. Udało się uzyskać zgodę na przystosowanie do tego jednej z cel. Następnego dnia władze obozowe zabroniły korzystania z tej celi, gdyż możemy odnieść kontuzje, a w ogóle do wszelkich ćwiczeń potrzebny jest... instruktor. Okazało się natomiast, że uprzątnięta cela znakomicie przydała się ZOMO-wcom, którzy wstawili do niej stół ping-pongowy. Wreszcie po wielu rozmowach udało się odzyskać tę celę. Możemy grać w ping-ponga, ale według specjalnego grafiku. Dla każdej celi wypada po pół godziny.

#### *24 stycznia, niedziela*

Wczoraj odbyły się w obozie wielkie porządki. Więźniowie zostali zagonieni do odśnieżania dziedzińca i przekopywania w metrowym prawie śniegu drogi od bramy pod wejście do pawilonów. Pomagaliśmy im w tej pracy. Od więźniów dowiedzieliśmy się, że na niedzielę spodziewana jest wizyta biskupa gdańskiego.

Z rana wysłuchaliśmy radiowej mszy św. (poprzednia była w Wigilię i 16 bm.) z homilią prymasa. Słowa prymasa rozlegały się także na placu spacerowym z głośników wystawionych do okien cel, tak że ci, którym według grafiku przypadł ranny spacer mogli ich wysłuchać. Od pierwszych chwil stanu wojennego z napięciem i uwagą oczekujemy słów prymasa. Nie znamy go przecież zbyt długo. Przyszedł po swoim wielkim poprzedniku, Stefanie Wyszyńskim, którego zabrakło w najtrudniejszej chwili. Boimy się, czy sprostą tak wielkim oczekiwaniom z naszej strony. Tym razem jego słowa brzmią na szczęście, jakby były kontynuacją słów Tamtego. Jest zatroskanie, jest sprzeciw i jest nadzieja. Czujemy się częścią tego Kościoła przemawiającego do nas takimi słowami...

W obozie trwa wielkie święto — przyjechał do nas biskup sufragan gdański Kazimierz Kluz z młodzieńczym i pełnym energii księdzem Stanisławem Dułakiem, znanym ze strajkowych mszy św. w Stoczni Gdańskiej. Wspólnie z naszym kapelanem odprawili w sumie trzy msze św. dla obu pawilonów i dla więźniów. W czasie homilii powiedział nam, że starania o pozwolenie na odwiedzenie nas trwały 40 dni. Po nabożeństwach przeszedł po prawie wszystkich celach — rozmawialiśmy o stanowisku Kościoła Powszechnego i Polskiego wobec aktualnej sytuacji. Wyjaśniał pewne elementy strategii w działaniach Kościoła: Kościół polski — działa dla społeczeństwa, powszechny — podjął się ukazywania złożoności sprawy polskiej na płaszczyźnie międzynarodowej. Zaangażowanie Jana Pawła II jest ogromne: modlitwy w czasie śródogodowych audiencji, przypomnienie znaczenia Polski dla pokoju europejskiego, roli „Solidarności”, o której mówi: „Solidarność należy do współczesnego dziedzictwa ludzi pracy w mojej ojczyźnie... Składałem je w skarbcu doświadczeń ludzi pracy na całym świecie. Jest to część powszechnego dobra, sprawiedliwości i pokoju”.

25 stycznia, poniedziałek

Dziś zbiera się na pierwszej od czasu wprowadzenia stanu wojennego sesji sejm, wobec którego społeczeństwo już wyraziło swoje *votum* nieufności. To w jego „obronie” między innymi wprowadzono stan wojenny. Czego więc możemy się po nim spodziewać? A może wydarzy się cud. Już raz sejm nas zaskoczył, gdy tuż przed drugą turą Zjazdu „Solidarności” potrafił zająć samodzielne stanowisko, dzielące odczucia społeczne, w sprawie samorządów pracowniczych.

Po obozie zaczynają krążyć podziemne wydawnictwa — biuletyny, ulotki, apele przetrucane z zewnątrz. Dotarł do nas 8 numer gdańskiego biuletynu, który publikuje pełną listę nazwisk internowanych w Strzebielinku. Podobno listy te znane są także za granicą — we Francji, skąd rozchodzą się dalsze przedruki.

Mówi się, że Andrzej Gwiazda uciekł z Białołęki, przez krótki czas ukrywał się w Gdańsku, ale podobno wpadł. Natomiast niedoścignionym wzorem konspiratora jest Bogdan Borusewicz. Krążą legendy o jego ucieczce w grudniu z kotła, z którego miał się wydostać uciekając przez dach. Uciekał — jak mówią — w piżamie, a milicja próbowała do niego strzelać, kiedy zniknął



w pobliskim lesie. Zaczyna się kryminał. Nie wszyscy aprobują ten styl. Wielu z nas uważa, że należy podjąć próbę działalności w ramach legalnych struktur i możliwości perswazji. W krótkim czasie w obozie powstaje projekt pisma adresowanego do sejmowej komisji sprawiedliwości, ale przebieg sesji sejmowej, szczególnie cyniczne wystąpienie posła Janusza Przymanowskiego, pozbawia ten projekt wszelkiego sensu. Z przemówienia Jaruzelskiego również wynika niedwuznacznie, że w jego ojczyźnie zabraknie dla nas miejsca: powiedział, że nie będzie się stawiać przeszkód tym z internowanych, którzy zechcą na stałe wyjechać za granicę. Oznacza to potwierdzenie wcześniejszej, wydawało nam się wtedy — nieprawdopodobnej — plotki o deportacjach. Głos Karola Małcużyńskiego został zakrzyczany, a okłaski sali niedwuznacznie wskazywały, że jest to sejm posłuszny juncie.

Podczas kiedy my żyliśmy wielkimi problemami polskiego parlamentaryzmu, klawisze prowadzili swoją małą politykę w stonsunku do internowanych. Dziś właśnie uznali, że wypalamy za dużo prądu naszymi nocnymi lampkami i grzałkami, które służyły nam do parzenia herbaty i zgodnie z zarządzeniem komendanta równo o godz. 22.00 wyłączyli dopływ prądu na pawilony. Zrobiła się awantura. Przymanowski, deportacje i jeszcze ten prąd... Zaczęliśmy walenie w drzwi. Pusty długi korytarz wytwarza tak straszny rezonans, że strażnik nie ma prawa wytrzymać siedząc w dyżurce. Także i my odczuwamy dotkliwie ten łomot. Walka jest więc w pewnym sensie sportowa i decyduje, kto dłużej wytrzyma. Sposób jest pewnie poniżej godności, ale uwięzionym niewiele więcej zostaje do dyspozycji. Krótko mówiąc, nasz „automat” zaskoczył i prąd włączono.

*26 stycznia, wtorek*

I jak tu nie wierzyć w najprostsze rozwiązania: pointą wczorajszego walenia było dzisiejsze spotkanie z władzami obozu — majorem Kaczmarkiem i kapitanem Biegajem, na którym zapadła decyzja, że prądu wyłączać się nie będzie i lampki świecą od dziś legalnie. Wczorajszy łomot pobudził wszystkie rodziny funkcjonariuszy więziennych mieszkające w sąsiadującym z obozem bloku, nazywanym przez nas fortepianem, a major był w nocy ściągany do obozu z Wejherowa, by osobiście zadecydować o włączeniu prądu.

Dzisiaj z naszej celi wezwano paru ludzi na przesłuchania.

Stałą nitką przetykającą wątek obozowego życia są regularne przesłuchania, czyli tzw. rozmowy prowadzone przez ubeków. Nie są to ludzie zbyt obowiązkowi. Zjawiają się nieregularnie, czasem przed, czasem po południu, czasem przed wieczorem, kiedy już nikt by się ich nie spodziewał. Zasiadają z reguły w świetlicy pawilonowej i rozkładają jakieś papiery, spod których w pewnym momencie wyciągają „lojalkę”, kiedy uznają, że nadszedł właściwy czas. Nasi klawisze mrugając do nas mówią — już są — a my rozumiemy, o co chodzi.

Niektórzy pracują rutynowo, odwalając punkt po punkcie według zaleceń listy pytań i kwestii do poruszenia z delikwentem. Ale są wśród nich i ludzie ambitni, dający niedwuznacznie do zrozumienia, że tak naprawdę ten kraj tylko im zawdzięcza, że jeszcze do tej pory nie rozdrapali go partyjni karierowicze, ładujący pod koniec życia gdzieś na Zachodzie, czy *lobby* żydowskie obsadzające nadal kluczowe stanowiska w państwie. Według niektórych z nich Jaruzelski jest marionetką — i, tak między nami — musimy wspólnie rozglądać się za siłami, które wyciągną ten kraj z bagna. Dają do zrozumienia, że najprostszą drogą naprawy Rzeczypospolitej byłaby współpraca z nimi, a poszukiwanie samodzielnych dróg budowy społeczeństwa jest stratą czasu: oni wszystko kontrolują, wszystko wiedzą i jeśli nie podejmie się propozycji — będzie się miało kłopoty. O „Solidarności” mówią tak, jakby jej już nie było. — Według oceny jednego z ubeków rząd zniszczy Związek poprzez demokratyzację kraju i wzrost dobrobytu — wtedy nikomu Związek nie będzie potrzebny. W kwestiach politycznych rozróżniali prawdziwych Polaków, do których sami siebie zaliczali, i żydokomunę, która na nieszczęście tworzy nurt liberalny w partii, a więc nie mogą się zgodzić na kierunek proponowanych przezeń reform. To powoduje sytuację patową we władzach. Po wygłoszeniu swych obłądnych poglądów odjeżdżali przeważnie z niczym, choć formuły „lojalek” były stale udoskonalane, przypominając w końcu pigułkę do przełknięcia nawet dla dziecka. Ale dla nas liczyło się jeszcze to, komu podpisujemy podsuwane cyrografy, a tego oni już zrozumieć nie mogli...

Nowością w wypowiedziach ubeków był ton politycznej odpowiedzialności za kraj. Eksponowali go, stwarzając sobie iluzję, że są czymś więcej niż miotłą w rękach dysponentów. Faktem jest, że jeszcze nigdy dotąd Służba Bezpieczeństwa nie dysponowała taką pełnią władzy jak w tygodniach stanu wojennego po 13 grudnia. Wydawali się kontrolować wszystko, łącznie z ludzkimi myślami, organizując na wielką skalę podsłuchy, kontrole

listów i rozmów, infiltrując środowiska zawodowe, współpracując z kapusiami chętnymi do pozbycia się konkurencji w swoim otoczeniu zawodowym. Niestety przygasa w tym kontekście gwiazda sekretarza gdańskiego komitetu partii Tadeusza Fiszbacha, który w pierwszym dniu stanu wojennego, gdy jeszcze być może spodziewał się przedłużyć swoją kadencję — osobiście dysponował internowanie działaczy niewygodnych w środowiskach, gdzie groziły strajki. Tak, że współpracowników bezpieki na każdym szczeblu od stoczni i ośrodka telewizji poczynając a na komitecie wojewódzkim kończąc — nie brakło. Nie darmo ubecy rozpoczynający kolejne rozmowy witani byli w pawilonach śpiewem: „nierozłączne siostry dwie — partia i SB!”.

Choć kreowali się na samodzielną siłę polityczną — nikt jakoś nie palił się do stworzenia wraz z nimi partnerskiego „nowego ładu”. Zresztą mieli innych jeszcze pretendentów do władzy — kadrę wojskowych. A już są następni, trochę z nieprawego łoża — grono starych, zawiedzionych ortodoksyjnych działaczy partyjnych. Ideologiczne pitekantry, których reanimacji już nikt się nie spodziewał. Nieudani docenci, wiekowi byli korespondenci komsomolskich pism, dziwni „działacze kulturalni” z Gdyni — wszystko to, jak wynikało z łam lokalnej prasy, pcha się do władzy na grandę.

Z wizyt należy jeszcze odnotować — jedynie dla porządku — przyjazd komisji więziennictwa, która miała przyjmować nasze uwagi dotyczące spraw socjalnych. Istotnie byli w jednej z cel i szybko zrezygnowali z dalszych odwiedzin.

*27 stycznia, środa*

Dzisiaj przywieziono czterech nowych ze Słupska. Dziwni są ci nowi. Jak wynika z naszego wywiadu, są tzw. złotymi młodzieńcami i do tej pory trudnili się głównie handlem walutą. W zamian, widocznie, wypuszczono z obozu kolejną partię internowanych, wśród nich — byłego reprezentanta Polski w boksie Tadeusza Krużę z Tczewa.

*30 stycznia, czwartek*

Opracowano ostateczną wersję naszego listu do papieża. Jak sądzimy, nasze dotychczasowe doświadczenia i szczerze próby, by

zbudować w sobie pewien ład moralny dają nam prawo odezwania się do Niego.

„Nasz Ukochany Ojciec Święty!

Kraj ciągle przenika wiara, że niemożliwe jest kłamstwo o nas na tak wielką skalę. Do Polski przez granice i kraty dociera Twój głos i modlitwa. Są one dla nas wielką pociechą. Dziękujemy Ci za świadectwo prawdy o nas — przed światem.

Ty wiesz, że kierowała nami wielka nadzieja na lepsze życie w naszej Ojczyźnie. Wielu zapłaciło za nią najwyższą cenę.

Z obozu w Strzebielinku k. Żarnowca zza krat kierujemy do Ciebie nasze myśli i modlitwy — nie zapominaj o nas wszystkich, o tych, których pozbawiono wolności i tych wystawionych na jeszcze cięższe próby. Niech Cię Bóg obdarzy wielką siłą, byś mógł wesprzeć nas i pomóc nam wrócić na drogę nadziei.

Łącząc się z Tobą w modlitwie pragniemy Ci przekazać wolę naszego narodu powtórzenia Twej pielgrzymki do Ojczyzny w sierpniu 1982 roku.

Strzebielinek, 30 stycznia 1982 r.

*INTERNOWANI”.*

Ze względów technicznych list podpisało tylko kilkudziesięciu kolegów, z reszty podpisów zrezygnowano, bojąc się wpadki.

Dziś światowy dzień solidarności z „Solidarnością”. Chciałoby się unieść w górę i zobaczyć: ile świec zapłonęło w naszym kraju, a ile na świecie? Przy zgaszonym świetle wystawiliśmy o godz. 22.00 do okien płonące świeczki, specjalnie ściągane już od dawna na ten cel, a także pochodnie z gazet. Nad obozem polecał śpiew wszystkich cel — nasz hymn i „Boże coś Polskę”. W rewanzu wyłączają nam światło.

Do późna w nocy słuchamy informacji zachodnich rozgłośni o przebiegu tego dnia na świecie.

*2 lutego, wtorek*

Przecinając trwające od dłuższego czasu dyskusje nad celowością, skutecznością i ewentualnym terminem głódówki trzy cele trzeciego pawilonu rozpoczęły ją dziś z rana. Zaczęło się wręczeniem klawiszom asystującym przy roznoszeniu śniadania oświadczeń indywidualnych. Różne podawano tam motywy decyzji. Były bardzo konkretne — jak domaganie się zwolnienia z obozu chorych, których stan zdrowia był groźny, pojawiał się także motyw solidarności z uwięzionymi i skazanymi, jak również ogólnie tylko wyrażony protest przeciwko temu wszystkiemu, co

zrobiono ze społeczeństwem poczynając od 13 grudnia. Akcja głodowa — jak zaczyna się krystalizować — będzie przebiegała przez obóz falowo: jedne cele rozpoczną wcześniej, inne w trakcie się dołączają. Myślimy o głodówce 7-dniowej, by nie doprowadzić u słabszych do nieodwracalnych zmian fizjologicznych. Jak słyszymy, fala głodówek ma objąć wszystkie obozy w Polsce. Będzie to zupełnie nowa dla nas forma łączności ze sobą.

Na drugim biegunie wydarzeń — ukazał się wywiad ministra sprawiedliwości Sylwestra Zawadzkiego na temat warunków internowania i zasad ewentualnego zwalniania. Obywatel minister uważa, że jest rzeczą zupełnie normalną, by inny obywatel, uwięziony bez jakiegokolwiek oficjalnie sformułowanego zarzutu złożył podesłanemu z komendy ubekowi oświadczenie, w którym sam siebie ma oskarżyć, obiecać poprawę i wyrzec się wszelkiej aktywności. Tak partyjny partner zakończył swój dialog z najpoważniejszą reprezentacją narodu...

Początek głodówki zablokował możliwość wyjazdów chorych kolegów do szpitala w pobliskim Wejherowie. Po wyjeździe wysoko kwalifikowanych lekarzy trójmiejskich więzienna obsługa medyczna nie gwarantowała właściwej opieki lekarskiej, a co istotniejsze — nie chciała podejmować ważniejszych decyzji co do wyboru sposobu leczenia. Lekarze obozowi zaczęli coraz szerzej korzystać z możliwości podsyłania chorych na konsultacje i zabiegi do Wejherowa, a dla nas powstała możliwość zaczerpnięcia oddechu choćby poprzez relacje wracających do obozu kolegów — jak też wygląda świat pozaobozowy w drugim miesiącu wojny. Chorych wożono z całym rytuałem więziennym okratowaną karetką-„żukiem” z ZOMO-wską obstawą w ilości 5-6 mundurowych na dwóch chorych. Były to pierwsze okazje do bezpośredniego i bardziej prywatnego kontaktu z ludźmi z formacji ZOMO. Przy bliższym poznaniu, kiedy zostawali w karetku sam na sam, klęli stan wojenny i narzekali na swój los, tłumacząc się, że do milicji trafili szukając dobrego zarobku i możliwości szybkiego otrzymania mieszkania. Wielu z nich — jak mówili — nie spodziewało się takiego obrotu sprawy i nie przewidywało, że będą wykorzystani do rozbijania „Solidarności”. Te krótkie minuty szczerości szybko im przechodziły, kiedy znajdowali się w pełnym składzie eskorty z dowódcą konwoju, przy którym nie było mowy o takim tonie. Niemniej zdarzało się, że sami — zainteresowani zakupami w Wejherowie — zabierali ze sobą internowanego, czasem umożliwiając zatelefonowanie do domu lub nawet odwiedzenie kogoś ze znajomych, jeśli akurat mieszkał gdzieś po drodze. Trzeba przyznać, że tego nikt z nas się nie spodziewał

i po pierwszych relacjach chorych trochę innym okiem spojrzeliśmy na swoich stróżów.

ZOMO-wcy wyjazdy z obozu traktowali jako możliwość zdobycia po drodze alkoholu i nawiązania w okolicznych wioskach jakichś kontaktów z pannami sklepowymi. Najwyraźniej starali się kreować siebie na kowboi albo na gliny z filmów amerykańskich. Zgrabne mundury, kabury noszone nisko, prawie na udzie, polowe kurtki... Zaczynał grać mechanizm *apartheid*'u, w którym oni byli władcami, uprzywilejowanymi, ponad prawem. Nowa sytuacja stwarzała układ, który uderzał im do głowy. Czuliśmy ten ich zawrót głowy i w obozie podczas spacerów okazywaliśmy im pogardę jako sługosom i naganiaczom więziennym. Na tym ambijonalnym tle wybuchały najczęstsze spory. Rzecz w tym, że w obozie nie działała psychoza strachu i cały ich rynsztunek był nieprzydatny. Walkę prowadziliśmy na płaszczyźnie moralnej, a w tej dziedzinie nie mieli wiele do powiedzenia.

Podczas kolejnego transportu do szpitala, w drodze powrotnej, w którymś z okolicznych barów przedawkowali tanie wino i dowódca konwoju, ryżawy blondyn z tendencją do naciśnienia, paskudny zresztą typ — spił się na sztywno. Ponieważ wypadł przy wysiadaniu z karetki z objawami „choroby morskiej”, nie udało im się zatuszować całej sprawy. Komenda obozu postanowiła wyświetlić zajście i przeprowadzić śledztwo. W tym celu przesłuchano chorych, którzy byli konwojowani, licząc na wzajemną niechęć. Znowu jednak spotkał ich zawód — internowani odmówili jakiegokolwiek współpracy, wychodząc z założenia, że morale ZOMO jest poza zasięgiem naszych zmartwień. Powiedziano majorowi, żeby radził sobie sam.

### *5 lutego, piątek*

Przed chwilą zakończyła się nocna awantura. Z celi 33 zabrano na 6 dni odosobnienia — co jest karą — 17-letniego chłopaka, narwańca z grupy „plakaciarzy” z Zarządu Regionu. Jest ostry, „musi się potwierdzać” na każdy krok, w sumie łatwy do sprowokowania. W czasie spaceru podszedł do otwartego okna jednej z cel, by porozmawiać. Odpędzany przez ZOMO-wców, coś im odpalił. Ci napisali raport-donos, w wyniku którego major podjął decyzję o karze. Pewnie nie miał na to ochoty — Artur Pisarski, zwany „małolatem”, wzbudzał w starszych wiekiem uczucia ojcowskie. Ale major znalazł się pomiędzy młotem a kowadłem. Młodzi ZOMO-wcy, którzy nie podzielali senty-

mentów majora, postawili sprawę na ostrzu noża. Jedna z cel podjęła negocjacje z tzw. wychowawcą, któremu proponowano odroczenie kary dla Artura na czas jego głodówki. Upływał czwarty dzień głodówki i dodatkowa kara samotności była zbyt wielkim obciążeniem dla młodego chłopaka. Wychowawca uznał te argumenty, ale nie mógł zmienić decyzji majora, który był nieobecny. Artura zabrano do izolatki. Trzeci pawilon natychmiast rozpoczął protest, waląc w drzwi celi czym popadło. Za chwilę dołączyliśmy się do akcji całym obozem. Walenie trwało już dwie godziny, z 15-minutowymi przerwami. Wreszcie ustaliliśmy, tym bardziej, że duża część kolegów głodowała już kolejny dzień, było też sporo chorych. Przez radiowęzeł obozowy leciały komunikaty ostrzegające nas przed akcją ZOMO i konsekwencjami wynikającymi z zarządzeń stanu wojennego. Głośnik krzyczał: „Internowani, czy opłaci się wam skórka za wyprawkę?”. Było to trochę śmieszne, a trochę ponure, tym bardziej, że na korytarze pawilonów wpuszczono uzbrojonych ZOMO-wców. Starcie było tuż. Waleniem chcieliśmy wesprzeć samotnie siedzącego Artura. Ten młody chłopak o słabych nerwach jest tak łatwym łupem, że jest właściwie bezbronny. Prawie każda jego reakcja może podpadać pod jakiś dekret. Aż strach o niego.

Jest już dobrze po północy, więc zaczął się dla mnie i kilkadziesięciu kolegów kolejny dzień głodówki. Nigdy nie przypuszczałem, że przyjdzie mi w ten sposób upominać się o moje podstawowe prawa. A jednak SYSTEM znalazł sposób, żeby mnie, zwykłego człowieka, kierującego się raczej racjonalnym osądem spraw, ludzi i sytuacji, zakwalifikować jako przeciwnika „anarchistę”, poprzez agresywną propagandę oskarżyć i zmusić do takiej nieracjonalnej, ale jedynej dostępnej mi obrony. Chyba, żebym się stał bierną kukłą, wyciąganą z domu, więziona, „internowana”, karmiona i czekająca, kiedy właściciele mojej przyszłości uznają, że można mnie wypuścić.

Takie postępowanie z człowiekiem musi, jeśli dotyczy kogoś reagującego normalnie, po prostu musi, jak po sznurku, doprowadzić do takich wyborów i takich sytuacji. Oczywiście nie mam złudzeń, że dla nich jest to rzecz śmieszna i bez znaczenia, chyba, żeby zdarzył się kłopot w postaci jakichś komplikacji medycznych. Jak mówi komendant więzienia mjr Kaczmarek — sobie przede wszystkim robimy krzywdę. A jednak, żeby odzyskać szacunek dla siebie, trzeba było tak postąpić. To dialektyka zastosowanej wobec społeczeństwa przemocy, na którą nie ma alternatywy. Jak w starym porzekadle: kto sieje wiatr...

Taki długi pobyt tutaj, gwałtownie zaczęty w dramatycznych

okolicznościach, uruchamia cały cykl ludzkich postaw. Ci słabsi, *outsider'zy* — naraz okazują się mocni, mądrzy. Krzykacze gdzieś przepadają, opuszcza ich aktywność, następują dziesiątki przewartościowań i nowych wyborów. Buduje się zupełnie nowa świadomość. Odcedzona z emocji, z widocznymi wstecz błędami, wyostrzona na nowe informacje, pełna samowiedzy. To jest korzyść. Ten uniwersytet więzienny, studia doktoranckie, następujące po sierpniowym dyplomie. Władza mnie kształci na specjalistę. Sam bym tego wyboru pewnie nie dokonał.

*7 lutego, niedziela*

Wizyta biskupa chełmińskiego Mariana Przykuckiego w towarzystwie księży diecezji i naszego kapelana jest kolejnym potwierdzeniem zaangażowania Kościoła w nasze sprawy. W czasie mszy św. biskup przypomniał nam, że czas odosobnienia jest okazją do wewnętrznej odnowy. Tu możemy i powinniśmy skupić się również na sprawach ostatecznego celu życia człowieka. Nie można tego czasu, w jakimś sensie „darowanego” nam — zmarnować. Słowa te ukazują nam jakąś nową perspektywę i zmieniają optykę spojrzenia na codzienne sprawy. Diecezja chełmińska, co było widoczne, czuła się w obowiązku otoczyć nas wszechstronną opieką. Mimo formalnie sprawowanej opieki ze strony kurii gdańskiej, właśnie z Pelplina docierały do nas dary w postaci indywidualnych paczek żywnościowych. Obóz w Strzebielinku położony jest na terenie diecezji koszalińskiej, ale sami internowani pochodzą głównie z Trójmiasta, podzielonego między diecezję gdańską i chełmińską. W okresie głódówki właśnie jesteśmy najlepiej zaopatrzeni w żywność, tak że większość paczek w czasie widzeń przekazujemy rodzinom.

Dał o sobie znać również holenderski Czerwony Krzyż, dostarczając nam paczki ze środkami sanitarno-higienicznymi.

*9 lutego, wtorek*

Dotarł do nas dokument internowania Lecha Wałęsy z jego odręcznym komentarzem:

„Oryginału nie podpisałem. Wręczono mi 26. 01. 1982 r. o godzinie 15.00, a więc metodą stopniowej eliminacji. Nie zdziwię się, kiedy zaczną przypisywać mi różne niedorzeczności. Oczywiście sfabrykowane z podstawieniem fałszywych świadków włącznie. Oszukano całą opinię publiczną tak naszą,



jak i światową tym, że nie jestem internowany, a pismo wystawione jest 12. 12. 1981 r., wręczone 26. 01. 1982 r. Należałoby tym przykładem pokazać wiarygodność poczynania i publicznie ogłosić, o co bardzo proszę. Ten partner nigdy nie był i nie będzie uczciwy. Dlatego ani kroku do tyłu, nie można dać nikogo eliminować, bo to jest metoda. Proszę ten przykład publicznie pokazać.

(—) *WAŁĘSA, 27. 01. 1982*".

List ten ukazał się na łamach francuskiego *Le Monde*'u i wywołał reakcję władz w postaci pozbawienia Wałęsy możliwości kontaktowania się z odwiedzającymi go dotychczas księżmi. Zakazem objęto księdza Alojzego Orszulika, który odprawiał u niego niedzielną mszę św., oraz księdza Henryka Jankowskiego z Gdańska.

Wczoraj zawieszono wreszcie Arturowi wykonywanie kary odosobnienia.

Na tle udziału w głódówce powstają kolejne zatargi z komendą. W niedzielę jeden z kolegów, Józek Wyszyński, niemłody schorowany człowiek z poważnym uszkodzeniem nerek, będący w trakcie 7 dnia głódówki otrzymał od klawisza informację o oczekującej go żonie, która miała przekazać mu w czasie widzenia ważną dokumentację chorobową potrzebną dla lekarza więziennego. Ponieważ był mocno osłabiony, do sali widzeń chcieli doprowadzić go dwaj koledzy. Klawisz nie umiejący podjąć decyzji skontaktował się w tej sprawie z majorem, który — jak przekazano do celi — miał powiedzieć: albo internowany zmobilizuje się i pójdzie na widzenie sam, albo widzenie odbieramy. Trzeba wiedzieć, jak czeka się przez cały miesiąc na możliwość spotkania z najbliższymi, by zrozumieć reakcję na takie orzeczenie. W celi Wyszyńskiego zawrzało, zagrożono protestem, zażądano przybycia majora. Przyszedł do celi by oznajmić, że żona już została odprawiona do domu. Tak karze się za akcję nie mieszczącą się w regulaminach więziennych. „Troska” o głodujących była zresztą bardzo specyficzna. Były dni, w których w obozie nie było obsady lekarskiej, a wielu czuło się już bardzo kiepsko.

Ważnym efektem naszej akcji głodowej było wzrastające poczucie więzi i przewycięzania narosłych przez tygodnie ciągłego przebywania ze sobą wzajemnych drobnych urazów. Złączeni wspólnym wysiłkiem, postanowieniem, które podjęliśmy i w którym prawie wszyscy wytrwali, stawaliśmy się dla siebie troskliwi, uważni, rozumiejący. Zdobywaliśmy też poczucie siły moralnej i świadomość zasadniczych celów, o które występowaliśmy jako „Solidarność”. Była to czysto przeprowadzona akcja, tym bardziej

atakowana i kwestionowana przez komendę, sugerującą, że wielu z kolegów potajemnie dożywiało się na boku. Była to nieprawda. Ci nieliczni, którzy postanowili przerwać głodówkę byli przenieszeni do innych cel „z urzędu”, bądź na własną prośbę, by nie demobilizować pozostałych kolegów. Nie mieliśmy o to do nich żalu, choć sami dbaliśmy, by nie jedli nam pod nosem, bo to jednak wznagało dotkliwość głodu. Piliśmy tylko herbatę lub wodę.

Po siedmiu dniach głodowania pierwsza grupa o północy przerwała akcję. To bardzo dziwnie wracać do jedzenia. Zaczyna się od sucharka, maczanego w wodzie. Przeważnie — co sprawdzono na lekarskiej wadze — głodujący chudli w tempie 1 kg dziennie, lub nieco więcej. W sumie — po 7-10 kilogramów.

### *12 lutego, piątek*

Stan głodujących w obozie wynosił 10 lutego 85 osób. Tego też dnia rozpoczęła się seria wrednych audycji radiowych z udziałem niejakej Ireny Chociewskiej-Puciatowej, pracującej do marca ubiegłego roku w sekcji porad prawnych Zarządu Regionu w Gdańsku.

### *13 lutego, sobota*

Wczoraj i dziś w oknach cel zapłonęły w nocy znicze. Mija drugi miesiąc stanu wojennego i naszego internowania. Obchodzimy go po swojemu: wczoraj o godz. 22.00 śpiewaliśmy pieśni, zaś o północy walimy w kraty i drzwi cel. Przez obóz przeszły warty sprawdzające stan krat i drzwi po tym koncercie.

Trzeba przyznać, że obóz jest pewnie ostatnim skrawkiem „wolnej” ziemi w województwie. Nosimy znaczki „Solidarności”, różne plakietki, część z nich powstała tutaj, część pochodzi z okresu działalności komitetów budowy pomników w Gdańsku, Gdyni i Poznaniu. Obóz stał się też centrum gromadzonych z różnych stron informacji: radiowych, pochodzących z grypsów, z prasy podziemnej, z widzeń z rodzinami, kontaktów pośrednich poprzez nowo internowanych, z zakładów pracy. Powstawały na bieżąco analizy sytuacji, rokowania co do przewidywanego rozwoju wydarzeń. Niezamierzonymi informatorami byli też ubecy, sygnalizujący mimo woli rozmaite akcenty dotyczące nastawienia władz, a także klawisze i cała więzienna struktura oraz więźniowie.

Było więc niemało źródeł, z których — umiejętnie budując — zaskakiwaliśmy nieraz odwiedzających nas rozeznaniami sytuacji.

Brak nadal ze strony władzy koncepcji wyjścia z impasu. Zauważyć można stale przewijające się dwie zasadnicze tendencje: przyzwolenie na ograniczoną działalność Związku, w pełni kontrolowaną przez władzę i odwrotną — wzmocnienie aparatu represyjnego, co jak dotąd prowadzi do tworzenia się podziemia. Podejrzewamy, że zajścia uliczne w dniu 30 stycznia były sprowokowane przez przedstawicieli „siłowej” tendencji we władzach i potrzebne im jako argument na toczące się obecnie posiedzenie KBWE w Madrycie i zapowiadane posiedzenie KC partii. Władze nadal się kompromitują, już nie tylko swą decyzją z 13 grudnia, ale przede wszystkim przebiegiem samego stanu wojennego w poszczególnych środowiskach. Trwa wielka vendetta aparatczyków, którzy po raz pierwszy w powojennej Polsce przeżyli prawdziwy strach, że budowana przez nich mozolnie konstrukcja tu i tam pęka, a mechanizmy karier i osiągniętych awansów, które wydawały się tak pewne i trwałe, zaczynają się sypać. Za tę chwilę strachu i niepewności chcą odpłacić z nawiązką. Jest prawdą, że o ten „socjalizm”, oznaczający dla nich dobrobyt i pewność egzystencji dla siebie i swoich rodzin — będą rzeczywistość, zgodnie z wydrukowanym przez siebie na plakacie hasłem — „walczyć tak, jak się walczy o niepodległość Polski”. Mają milczące wsparcie ze strony całej tej klienteli, która nauczyła się żyć i poruszać w skonstruowanym przez nich schizofrenicznym świecie i obawia się propozycji samorządowego społeczeństwa, gdzie trzeba by prowadzić także niewygodne obrachunki ze swoim sumieniem. Łatwiej popełniać małe szwindle, „robiąc oko” na stronie, że przecież całego tego socjalizmu nie należy traktować aż tak poważnie. Ci znakomicie dogadują się z WRON-ą, szukającą formalnego chociażby wsparcia i widocznych, spektakularnych efektów swojego wpływu na społeczeństwo.

8 naszych kolegów złożyło podania o wyjazd za granicę na stałe. Trwają pojedyncze zwalniania z obozu, równocześnie dziś przywieziono kolejną partię 5 osób z Gdańska i Słupska.

Stosunek do internowanych i ogólne deklaracje oficjalne na temat warunków internowania ilustruje sprawa naszego kolegi Konrada Gajewskiego. Od dłuższego czasu starał się o wyjście z obozu choćby na okresową przepustkę, mając w domu ciężko chore na raka małe, trzyletnie dziecko. Zażądano od niego zaświadczeń o chorobie dziecka i zakwestionowano ich prawdziwość. Dopiero przypadkowe spotkanie naszego kapelana ze zrozpaczoną żoną Konrada Gajewskiego nadało sprawie bieg. Po

wielu interwencjach, także ze strony Kościoła — został zwolniony. Zdążył na pogrzeb — dwa dni po jego wyjściu dziecko zmarło.

Wielu kolegów oczekuje na wiadomości o narodzinach dzieci. I te nie zawsze w porę docierają. Tak rośnie dzielący nas mur i trzeba by pozbawić się pamięci, aby przyjąć cyniczne deklaracje propagandy o rzekomym porozumieniu.

*16 lutego, wtorek*

Od wielu już dni krążą uporczywe pogłoski przywożone spoza obozu, a znajdujące potwierdzenie w półsłówkach puszcanych na ten temat przez klawiszy, że około połowy marca nastąpi rozwiązanie obozu. Część z nas miałaby być zwolniona, część wywieziona. Do Strzebielinka mieliby wrócić więźniowie, którzy do tej pory pracowali przy budowie elektrowni w Żarnowcu.

Po południu, w trakcie zebrania delegatów cel z majorem oświadczył on nam, że pogłoski te są nieprawdziwe. Pobyt nasz tutaj zapowiada się na dłużej, zwalniani będą ewentualnie ciężko chorzy, wymagający leczenia szpitalnego. Nikt z potencjalnych pacjentów szpitalnych nie pali się do wyjazdu do więziennego szpitala w Fordonie koło Bydgoszczy. Na tym też spotkaniu major Kaczmarek ogłosił, że dwa dni temu przejął pełną władzę nad ośrodkiem, zaś kapitan Maciuk, dotychczasowy pełnomocnik KW MO, będzie przyjeżdżał dwa razy w tygodniu dla prowadzenia „swoich” spraw. W związku z rozprężeniem dyscypliny w obozie — jak to określił — likwiduje się celę do gry w ping-ponga, oglądanie telewizji w godzinach od 17.00 do 19.30, ogranicza dodatkowe widzenia — do regulaminowej ilości raz w miesiącu itp. Zapowiedział założenie spraw karnych czterem osobom z 12, co do których miałyby podstawy, by to zrobić. Jest możliwość złożenia podania o przeniesienie do innego ośrodka internowania, a w późniejszym czasie — podania o pozwolenie na pracę pół-wolnościową poza ośrodkiem. Według oceny majora nasz obóz ma największy „luz”, zaś głódówki trwające jeszcze na obu pawilonach nie miały w żadnym innym obozie takiego zasięgu, jak u nas. Zapowiedział na przyszłość 5 form regulaminowych rewizji. Dla przykładu dziś w celi 5 przeprowadzono klasyczny „kipisz”, wygarniając pamiętnik pisany od pierwszego dnia obozu, różne materiały wydawane przez podziemną „Solidarność”, serwisy radiowe sporządzane z nasłuchów w obozie oraz okolicznościowe pieczątki i znaczki.

Dowieziono kolejną partię 9 internowanych ze Słupska, wszyscy z „Sezamoru”, wraz z dyrektorem naczelnym. Zostali zatrzymani za 15 minutowy strajk w dniu 13 lutego.

Stan obozu na dziś: 137 internowanych.

*18 lutego, czwartek*

U mnie bez zmian — jestem ciągle w Strzebielinku — prowadzę regularny tryb życia i chociaż nie wykonuję żadnych ruchów — z doniesień radiowo-prasowych wynika, że ciągle ktoś anarchizuje, choć powstało już tysiące OKON-ów i bez przerwy w telewizorze ktoś deklaruje poparcie. Trudno to zrozumieć. Martwię się, bo widzę, że zaczyna się próba sił z Kościołem. Na razie z klerem niższych szczebli, ale to się zawsze tak zaczynało. Nagonka propagandowa zbliża się do niebezpiecznej i delikatnej granicy, poza którą zniknie możliwość kontrolowania zachowania się społeczeństwa. Jeśli WRON-a — jak się reklamuje — posługuje się metodami sylogistycznymi i ciągłą analizą sytuacji oraz nastrojów, stosując „pulsująco” dokręcanie śruby narodowi, powinna czuć zbliżające się zagrożenie. W komentarzach radiowych osoba papieża pojawia się w dwuznacznych kontekstach, jako sygnał dużych możliwości propagandowych WRON, która „brońniac socjalizmu” nie cofnie się przed żadnym chwytem.

Ze zmian: zniesiono w obozie — po zapowiedzi majora — zajęcia sportowe, tj. godzinę ping-ponga na dwie cele, co dwa, trzy dni. Pozwalało to każdemu na pogranie przez 10-15 minut. Jest to forma resocjalizacji obozu za śpiewy i inne przejawy krnąbrności w stosunku do przełożonych. Regulamin zbliża się do rygoru więziennego, choć podobno jeszcze do tego daleko. Przedłużające się zamknięcie nieuchronnie rodzić będzie konflikty, a regulamin tak jest skonstruowany, że kolejnym karom i reakcjom na nie nie będzie końca. Byłoby niedobrze, gdyby sprawy ruszyły po tej równi pochyłej.

Z lektur — aktualnie czytam wypożyczoną gdzieś spoza obozu biografie Churchilla, ale jego życie było tak pełne fantazji, poczucia wolności i bogate, że w mojej obecnej kondycji to żadna pociecha. Był i on internowany, jako korespondent wojenny w czasie wojny burskiej w Afryce. A więc są pewne analogie... Z tym, że był traktowany z pełną kurtuazją, a poza tym uciekł stamtąd po 3 czy 4 tygodniach, przeskakując przez płot. Uciekał przez kraj obcy mu, jednak nie tak totalnie zmilitaryzowany, jak nasz.

Ostatnia sobotnio-niedzielną akcja milicji przeprowadzona w 50 tys. miejsc spowodowała zatrzymanie około 150 tys. osób, a w areszcie pozostawiono 3,5 tys. Reklamowano ją jako atak na meliny i bimbrownie. Wymienianie jednym tchem tego typu akcji wraz z informacjami o wykryciu kolejnych punktów kolportażu czy druku biuletynów „Solidarności”, a także perfidna praktyka podawania w bezpośrednim sąsiedztwie informacji o wyrokach dla pospolitych przestępców i dla działaczy Związku jest aż nadto przejrzysta...

Zastanawiamy się nad nakręcaną stanem wojennym spiralą terroryzmu, dotychczas obcego polskiemu społeczeństwu, wolnemu od tej plagi. Zerwanie wszelkich rozmów i odejście od dialogu przy równoczesnej eskalacji oskarżeń będzie powodować takie reakcje, jak ostatnio w Lublinie (założenie bomby przy stacji CPN), we Wrocławiu (rozerwanie człowieka przy manipulowaniu ładunkiem wybuchowym) i w Warszawie (postrzelenie milicjanta czy rozbrojenie żołnierza).

Wyjaśniła się wkrótce tajemnica „spraw własnych” kapitana Maciuka, które miał załatwiać w obozie po przekazaniu majorowi Kaczmarkowi pełnego zarządu ośrodkiem. Eugeniusz Maciuk, reklamujący się jako magister prawa (ukończonego w trybie zaocznym), eks-ministrant i eks-harczer z Szarych Szeregów, aktualnie ubek, wymyślił dla chorych zakwalifikowanych do ewentualnego zwolnienia małą pokusę w postaci „lojalki”, którą podsuwał w momencie, gdy delikwent niemal trzymał się kłamki. Była to nie lada próba charakteru i kilku z nas niestety przegrało ze starym, choć dość prymitywnie zagrywającym wygą.

*20 lutego, sobota*

Wczoraj przywieziono do obozu Bolesława Hutyrę a dziś Teodora Herrę — obu z PLO. W sumie PLO ma obecnie w Strzebielinku aż 9 reprezentantów. Analizując ten przypadek dochodzimy do wniosku, że o rozmiarach internowania decydują układy środowiskowe. To właśnie ze środowisk zawodowych, z komitetów zakładowych partii czy od tzw. zaufanych towarzyszy lub konfidentów SB wychodzą odpowiednie sugestie. W przypadku PLO nie bez znaczenia mógł być fakt, iż w okresie działalności Związku zwolniona została z pracy żona samego pułkownika Ringa, zastępcy komendanta wojewódzkiego MO, naszego znajomego z pamiętnego spotkania w Strzebielinku. Hutyra podczas przebywania w areszcie komisariatu w Gdyni został dotkli-

wie pobity. Obdukcja lekarza więziennego w Strzebielinku potwierdziła ten fakt. Herra został internowany w kilka dni po powrocie z czteromiesięcznej delegacji służbowej z ramienia PŁO w Hamburgu, gdzie przebywał od listopada ubiegłego roku. Jest to starszy pan, po 60-tce, który ma poważne kłopoty ze zdrowiem.

*22 lutego, poniedziałek*

Dziś od rana trwała awantura pomiędzy klawiszami a celą 27, skąd jeden z internowanych miał, zgodnie z wcześniej uzyskanym pozwoleniem, jechać z rana do Akademii Medycznej na umówione wraz z jego żoną konieczne z punktu widzenia medycznego badania krwi. Żona jego była w zaawansowanej ciąży zagrożonej komplikacjami i powodu konfliktu serologicznego. Mimo tak poważnej sytuacji nie dostarczono pojazdu i cała cela protestowała interweniując w tej sprawie.

Wzbierający od dłuższego czasu konflikt między celami internowanych a sąsiadującą z nimi celą ZOMO na tle śpiewów, a właściwie różnic repertuarowych, wybuchł w niedzielę. Podczas trwania odwiedzin cele na pierwszym pawilonie prowadziły swój tradycyjny już śpiew. Jeden z ZOMO-wców, niejaki Romek Malinowski, prawdopodobnie ze Stargardu Szczecińskiego, z którym od dawna mieliśmy rozmaite kłopoty, sprowadził z domu magnetofon z potężnym wzmacniaczem i kolumny głośnikowe. Wystawili je do okien i rozpoczęli zagłuszanie śpiewów nadając dyskotekową muzykę. Równocześnie zagłuszyli śpiewającą pod bramą grupę spacerującą w tym czasie na dziedzińcu. Na odgłosy narastającej awantury zareagował komendant, wychodząc do spacerujących i zarzucając im organizowanie demonstracji. Zwrócono mu uwagę, że jeszcze bardziej demonstracyjne jest zachowanie ZOMO. Major wysłał dyżurującego porucznika — dyskoteka zamilkła. Od tej pory radziliśmy sobie z Malinowskim i jego dyskoteką włączaną w trakcie śpiewów, wkładając w kontakt metalową wkładkę, która powodowała natychmiastowe spięcie.

Z obozu w Hławie dotarła do nas informacja, że przywieziono tam Janka Samsonowicza, zwolnionego od nas 13 lutego. Sądziliśmy, że dawno już jest w domu. Okazało się, że przeniesiono go karnie pod zarzutem organizowania głódówki u nas w obozie. Informacje komendy nie po raz pierwszy oceniamy jako kiepskie — nasz kolega, skądinąd sympatyczny, raczej odradzał głódówkę. Prawdą natomiast jest, że wcześniej w trakcie działalności tzw. opozycyjnej był uczestnikiem głódówek. Tak więc władze po-

sługują się rutynowymi schematami. My wiedząc o tendencji wyłuskiwania przywódców wystrzegamy się tworzenia w obozie jakichkolwiek oficjalnych struktur organizacyjnych.

Kolejny miesiąc jest już zamkniętym rozdziałem. Rozpoczął się okres wewnętrznego skupienia. Pomaga w tym Kościół, który środą popielcową (24 bm.) zwraca szczególną uwagę człowieka na przemijanie. Odnoszę wrażenie, że obecni władcy Polski jak gdyby o tym zapomnieli. Przecież ich władza kiedyś się skończy. Zdaje się, że historia nie będzie dla nich łaskawa. Nawet patrząc z obecnej perspektywy można zauważyć, jak stałe odbieranie społeczeństwu nadziei prowadzi do narastania — z jednej strony gniewu, a z drugiej — wewnętrznej frustracji. Coraz szersze kręgi społeczne „wewnętrznie emigrują”. Powszechna jest „emigracja” młodych pokoleń. W końcu są to pokolenia urodzone i wychowane w Polsce Ludowej. Jednak cały przekłamany system kształtowania postaw i poglądów runął już w skwarne czerwcowe dni 1979 roku podczas pielgrzymki papieża po Polsce. Wówczas to naród, pomijany w walkach koterii, poniżany w swej godności, dzielony na klasy, warstwy i na partyjnych, oraz inne „dialektyczne” podziały, podniósł się z kolan i ukazał swe oblicze — młodości i odwagi. Tam też, na tych wielomilionowych spotkaniach uwierzył w siebie. Dojrzał do wzięcia w swej ręce decyzji o przyszłych losach Polski. Potrzeba było zaledwie roku, aby potrafił już samodzielnie walczyć o swoje prawa. Początek był dziełem młodych, takich co nie tylko, że nie pamiętają okresu stalinowskiego, ale dla których i październik 1956 był odległą przeszłością, a grudzień 1970 pozostał jedynie w młodzieńczych wspomnieniach.

Wydaje się, że przy okazji ostatniego plenum KC partii został przesądzony los internowanych, w końcu w większości ludzi młodych (w obozie przeciętna wieku zaledwie przekracza 30 lat). Mamy przed sobą długie miesiące, chyba, że... miałby latem tego roku przyjechać Ojciec Święty. W ostatnich wypowiedziach papież mówił o swej trosce o ludzi internowanych i aresztowanych. Jak gdyby na potwierdzenie tych dalekich słów do Adama Kinaszewskiego via Kraków dotarły Jego osobiste słowa: „Drogi Adamie! Piszę, korzystając z wiadomości... Andrzeja. Chcę Ci powiedzieć, że się za Ciebie co dzień modłę i za wszystkich, którzy dzielą Twoje doświadczenie. Dobrze, że byłeś w Rzymie. 8. II. 1982. Wujek”.

Wreszcie coś się ruszyło z naszymi najciężej chorymi. Najpierw zapowiadano zwolnienie tych, którzy przez parę tygodni



leczyli się w Akademii Medycznej, zamiast nich w ostatnich dniach wypuszczono z obozu dwójkę chorych. Były to bardzo drastyczne przypadki, gdyż jeden z nich miał stale tak wysokie ciśnienie, że istniała obawa o jego życie, drugi — z chorobą nerek, wymagającą długotrwałego leczenia szpitalnego. To nagłe zainteresowanie chorymi ma chyba źródło w pojawiających się informacjach o działalności Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Polsce. WRON-ie zależy, żeby pokazać światu „humanitarność” internowania. Stąd — jak wynika z informacji prasowych — możliwość odwiedzania obozów internowanych, a także wpływanie, ze względów zdrowotnych, na ich zwalnianie. Oczywiście takie jak naszych kolegów przypadki były zbyt drastyczne, aby czekać na przyjazd delegacji MCK do obozu. Od 22 stycznia delegacja MCK była w 6 obozach. Do pozostałych nie została dopuszczona „ze względów administracyjnych”. Komentarze światowych agencji zwracają uwagę na fakt, że jest to pierwszy przypadek, w którym MCK mógł odwiedzić obozy lub więzienia w Europie wschodniej.

W każdym razie ruch w obozie. Grupy więźniów sprzątają, usuwają resztki śniegu, grabią trawniki, malują krawężniki, przygotowuje się boisko do siatkówki.

Z plotek dochodzących z komendy wynika, że dzisiaj odbywa się pierwsza narada komendantów obozów dla internowanych z całej Polski. Wiąże się ona prawdopodobnie z próbą ujednolicenia postępowania wobec internowanych. W jednych obozach, jak np. Wierchowice Pomorskim, gdzie internowano głównie Szczecin, w tym miesiącu miało miejsce zbiorowe „pałowanie”, które objęło aż połowę tam siedzących, w innych zaś cele są już otwarte. Nie ma też wytycznych, jak interpretować poszczególne sformułowania obowiązującego nas regulaminu. W jednych obozach spacerują się poszczególnymi celami lub stałymi grupami, w innych wychodzą całe pawilony. Tak samo jest z mszami św. W jednych obozach odbywają się dla wszystkich, gdzie indziej jedynie dla poszczególnych grup spacerowych. Najważniejszym chyba jednak celem tego spotkania będzie wymiana doświadczeń z naszej „resocjalizacji”. W końcu władzy chodzi o rozbięcie i poróżnienie ludzi z „Solidarności”, o znalezienie chętnych do współpracy z WRON-ą. Jak dotychczas rezultaty tej „resocjalizacji” są marne. Z tego co nam wiadomo, rozmowy ubeków z poszczególnymi członkami krajówki siedzącymi w obozach nie dały spodziewanego rezultatu. Również ci z nich, którym udało się uniknąć aresztowania lub internowania, poza paroma wyjątkami, zdecydowanie odcinają się od współpracy z WRON-ą.

Wykładnią aktualnych metod postępowania władz jest dzisiejszy wywiad ministra spraw wewnętrznych generała Czesława Kiszcza, który obiecuje społeczeństwu kolejne złagodzenie rygorów stanu wojennego, jeśli będzie „grzeczne”, a dalsze zwolnienia internowanych uzależnia od ich osobistej postawy.

*2 marca, wtorek*

W południe był ślub Piotra Rosy. Na tę uroczystość, która odbyła się w obozowej sali widzeń, pan młody mógł zaprosić jedynie swoich kolegów z celi. W drodze specjalnego pozwolenia otrzymał również dodatkowo 60 minut widzenia. Tak więc na całą uroczystość i rozmowę z najbliższymi miał 120 minut, z tym, że koledzy, po ceremonii ślubnej, zostali wyprowadzeni do celi. Komendant nie zgodził się na pozostawienie państwa młodych samych. Wiązanka ślubna panny młodej przystroїła naszą kaplicę.

Od dłuższego już czasu trwa w obozie dyskusja nad kwestią ewentualnych wyjazdów zagranicznych. Coraz więcej osób rozważa tę możliwość. Mają nadzieję, że tą drogą uzyskają zdjęcia nakazu internowania. Na tym tle wyraźnie zarysowały się dwa przeciwstawne stanowiska: jedni — których jest zdecydowana większość — w ogóle nie widzą swego życia z dala od Polski, drudzy, przewidując długotrwały okres stanu wojennego, uważają, że wyjeżdżając z kraju osłabi się nacisk społeczeństwa na uwolnienie internowanych, co ułatwi władzy wyjście z tej trudnej prestiżowo sytuacji. Oprócz tych zasadniczych przesłanek są również bardziej prozaiczne, jak skorzystanie z możliwości urzędzenia się — jak sądzą chętni do wyjazdów — za granicą. Od wielu dni jest to temat numer jeden. Pojawiły się także próby pisemnego ustosunkowania się do całego tego zagadnienia, często dzielącego ludzi w jednej celi. Ostatnio krąży po celach apel do kolegów mających zamiar wyjeżdżać, aby wzięli pod uwagę także skutki moralne swoich decyzji: „a) Nie zostaliśmy internowani z tytułu indywidualnej odpowiedzialności za konkretne czyny, a z racji odpowiedzialności zbiorowej w stosunku do przedstawicieli organizacji aktualnie represjonowanej — i nadal mamy przed członkami tej organizacji określone zobowiązania; b) nieprzemysłane podejmowanie decyzji indywidualnych pozostaje w jaskrawej sprzeczności ze statutem naszego Związku w sytuacji, kiedy ciągle wzrasta ilość osób skazanych m.in. za działania mające na celu nasze uwolnienie. Dlatego uważam pisanie podań o wyjazd albo

prób o podanie warunków wyjazdu za granicę za błędne. Nie jest to działanie ani w interesie piszących, ani w interesie naszego Związku. (—) *Konrad*, 12. 02. 1982”.

Dostrzega się wyraźne ożywienie czytelnicze. O ile w pierwszym okresie większość z konieczności korzystała z tutejszego niebogatego zbioru książek, to teraz każdy stara się sprowadzić interesującą lekturę. Duży już jest przegląd beletrystyki, kryminałów (bo takie czyta się najchętniej w więzieniu), popularnych rozprawek filozoficznych no i książek historycznych. Te ostatnie przyczyniają się do poszerzenia argumentacji historycznych naszych dyskusji. Próbujemy zorganizować sobie jakąś pracę samokształceniową. Oddzieleni, reagujemy jak cały naród. To chyba naturalne i zrozumiałe. W ostatnio wydanej pozycji prof. Bogdana Suchodolskiego „Polska i Polacy” jest zapis: „Na kłeski reagowaliśmy zawsze odruchem pracy organicznej. To jest naturalny odruch każdego organizmu, więc i każdego ustroju społecznego, który został zaatakowany i w bycie swym zagrożony; płynie on z pragnienia utrzymania się przy życiu, odzyskania sił i powrotu do pierwotnych, pełniejszych warunków bytu” — pisał u zarania wolności Franciszek Bujak. Nasuwają się analogie z powstaniami narodowymi — dla jednych z rokiem 1863, dla innych z 1830/1831. Nie są to jednak dyskusje profesjonalistów, a ludzi, którzy stanąwszy przed sytuacją z jaką nigdy nie mieli do czynienia pragną ją zrozumieć aby móc wysnuć wnioski na przyszłość. Boją się przy tym, że ich oceny, powstające w obozowej izolacji, mogą odbiegać od odczuć społecznych. Stąd doskonale poruszamy się wśród wydarzeń bieżących, komentujemy je, natomiast obawiamy się budować na tej podstawie jakieś szczegółowe scenariusze rozwoju sytuacji w Polsce. O przyszłości mówi się bardziej w kategoriach osobistych — kiedy mogę wyjść, co będę robił. Zdajemy sobie sprawę, że dojrzewanie społeczeństwa do walki o swe utracone prawa nie jest łatwe. Chciałoby się, żeby było to już teraz, ale świadomość społeczna zaczęła dopiero dojrzewać. Wymaga ona czasu i nowych ludzi. Już się pojawili, zajęli opróżnione przez nas miejsca. Oni też muszą mieć czas na stworzenie odpowiadających wymogom tego okresu struktur. Jeszcze daleko, aby ukonstytuowany 13 stycznia Ogólnopolski Komitet Oporu Solidarności mógł stworzyć Polskę Podziemną — jak chcą niektórzy, co bardziej niecierpliwi. Wydarzenia wewnętrzne z lat 1976-1980, wizyta papieża, działalność Kościoła polskiego przygotowały niepowtarzalny masowy wybuch aktywności społecznej i politycznej Polaków. Jednak z dniem 13 grudnia 1981 roku okres ten zamknął się. Wątpliwe też, aby mógł się

on jeszcze raz w takiej formie powtórzyć. Jeden z kolegów, podejmując ten temat w grypsie wysłanym na zewnątrz, wskazywał na potrzebę zachowania niepodległej myśli, która musi ocaleć przez bezprawiem WRON-y. Zacytował przy tym Ericha Fromma, który w związku z „szaleństwem naszych czasów” pisał: „Mam nadzieję, że objawią się wielkie charyzmatyczne jednostki,... powstaną i — jak to już w historii bywało — jednym słowem powiedzą ludziom prawdę w sposób tak jasny i nieodparty, że to przyniesie efekt. Prawda, jeśli jest całą prawdą, sprawia na człowieku piorunujące wrażenie”.

Pojawiają się różnego typu formy twórczości literackiej: wiersz, małe formy prozatorskie, fraszki, dowcipy a także pamiętniki i dzienniki. Właśnie te dwie ostatnie tak się rozpow szechniły, że istnieje nawet pewne z nimi związane niebezpieczeństwo. Okazało się to najbardziej przy okazji pamiętnika skonfiskowanego w czasie niedawnej rewizji w jednej z cel. Szczerą formą jego zapisu ujawnia wzajemne, często nawet bardzo koleżeńskie kontakty z niektórymi klawiszami, przepuszczanie z celi do celi dla wymiany informacji, przekazywanie wiadomości z komendy a także, w sytuacjach nadzwyczajnych, pośredniczenie w kontakcie z rodziną. Po tej wpadce mjr Kaczmarek rozpoczął serię dochodzeń, mających na celu ustalenie zasięgu „zdemoralizowania” klawiszy. Sami poszkodowani nie ukrywali swego stosunku do nas, mówiąc niejednokrotnie, że fakt naszego osadzenia w więzieniu coś w nich przełamał; zdali sobie sprawę z obłudy całego systemu. Przecież w momencie, gdy nas przywożono mówiono im, że będą mieli do czynienia z niebezpiecznymi przestępcami, którzy zamierzali wymordować wszystkich mundurowych wraz z ich rodzinami. Dokładnie to samo co mówił niedawno w sejmie poseł Przymanowski. Jednak szybko zobaczyli, że jesteśmy normalnymi ludźmi, zamkniętymi tutaj za to, że chcieliśmy coś w tym kraju zmienić. Najbardziej otwarci jeszcze przed stanem wojennym szukali kontaktu z tworzącą się „Solidarnością” w resorcie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ostrzegali nas przed swoimi kolegami, którzy pozostawali wiernymi wykonawcami każdego rozkazu. Więcej nawet, prześcigali się w wymyślaniu sposobów, w jaki można nam dokuczyć; począwszy od osobistych rewizji i donosów aż do drobnych utarczek nt. kąpieli, spacerów a także apeli. Dla nich, przyzwyczajonych do służącego drylu, niezrozumiałe było, że nie wstajemy na apel, nie mamy „celowego”, meldującego stan celi, że zwracamy im uwagę, gdy któryś z nich odzywał się do nas bezosobowo lub w trzeciej osobie. Trzeba jednak przyznać, że również komenda wymagała

od nich odnoszenia się do nas nienagannie i traktowania nas jako osób na specjalnym statusie.

W efekcie jednak wpadki pamiętnika występujący na jego łamach klawisze wzywani byli do majora na „dywanik”, gdzie musieli się tłumaczyć z kontaktów z nami. Wszyscy zamieszani w tę aferę lub podejrzewani przez komendę o zbytne sprzyjanie nam zostali dyscyplinarnie przeniesieni na inne pawilony, a gdy to nie pomogło, przierzucano ich do służby na kogutach, czyli wieżyczkach strażniczych. W każdym razie na bramie, gdzie m.in. rewidowano nas i przynoszone nam rzeczy, służbę w dniach odwiedzin pełnili najbardziej zaufani komendy oraz ZOMO-wcy. Pomimo tego już po pierwszych odwiedzinach na terenie obu pawilonów były radia, a wśród nich duży tranzystor. Teraz zaś stale docierają do nas wydawnictwa podziemne, nawet takie, które zawierają kilkadziesiąt kart druku. Jest to bez wątpienia ciekawy rozdział naszych kontaktów i inwencji, ale ze zrozumiałych względów nie można o nich pisać.

### *6 marca, sobota*

Niektóre wiadomości docierają do obozu z pewnym opóźnieniem. Dotyczy to zwłaszcza działań zmierzających do naszego uwolnienia. Często nawet nie zdajemy sobie sprawy z wielości tych inicjatyw. Z jednej strony biskupi obu diecezji gdańskiej i chełmińskiej, zakłady pracy, poszczególne osoby, cieszące się poważaniem nawet u władz, jak np. Lech Bądkowski, a z drugiej rodziny, zabiegające o wyciągnięcie poszczególnych z nas z internowania. W dwóch przypadkach doszło nawet do tego, że w imieniu internowanych wystąpili adwokaci, żądając dostępu do akt. Jak dotychczas te wszystkie inicjatywy nie przynoszą żadnych rezultatów.

Próby interwencji ukazywały schematyczny sposób myślenia ludzi, którzy decydują o naszym losie. Prawie każdemu z nas przypisywano jeśli nie członkostwo, to przynajmniej współpracę z KOR, KPN czy RMP lub organizowanie strajków. Autorytatywne stwierdzenie takiego faktu miało świadczyć o naszych zamiarach obalenia „socjalistycznej Polski”, co było ich zdaniem — wystarczającym dowodem działalności przeciwko „naszemu ustrojowi”. Jedyną drogą zwolnienia z internowania jest podpisanie oświadczenia, w którym odetniemy się od dotychczasowej naszej działalności.

W tych też dniach zaczęły napływać odpowiedzi na nasze odwołania od decyzji o internowaniu. Przedziwny to dokument. Pisaliśmy do Ministra Spraw Wewnętrznych, zaskarżając decyzję podległej mu jednostki organizacyjnej i ta właśnie jednostka odpowiadała nam w imieniu ministra. Dokument ten, odbity na kserografie, nie miał żadnej pieczęci ani nawet nazwiska osoby, która go wystawiała. Zamiast podpisu wpisano: „Naczelnik Wydziału Ogólnego Komendy Wojewódzkiej MO w Gdańsku”. Jest to chyba druk powszechnie stosowany w obozach, podległych gdańskiej ubecji, gdyż w odpowiednich miejscach ma wykropkowane pozycje: „Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej w Gdańsku. Gdańsk, dnia (miejsce na datę) 1982 r. Ośrodek Odosobnienia w (nazwa wpisywana).

#### Z A W I A D O M I E N I E

Ob. ....  
s/c. ....

Zawiadamiam, iż Minister Spraw Wewnętrznych po rozpatrzeniu skargi Obywatela na decyzję Nr .... z dnia ..... Komendanta Wojewódzkiego MO w Gdańsku o internowaniu, postanowił utrzymać w mocy zaskarżoną decyzję uznając, że nie ustały przyczyny uzasadniające stosowanie internowania.

Zgodnie z Rozporządzeniem Rady Ministrów z dnia 12.12.1981 r. w sprawie zasad postępowania w sprawach o internowaniu obywateli polskich (Dz.U. z dnia 14.12.1981 r. Nr 29 poz. 159), ponowna skarga na internowanie, może być złożona nie wcześniej, niż po upływie miesiąca od daty otrzymania niniejszego zawiadomienia.

Naczelnik Wydz. Ogólnego Komendy  
Wojewódzkiej MO w Gdańsku

Zawiadomienie otrzymałem

*7 marca, niedziela*

Podczas mszy św. zemdlął jeden z naszych kolegów. Okazało się, że już tydzień temu miał taki przypadek, zlekceważony przez obozową lekarkę. Jej zachowanie wówczas oburzyło kolegów w jego celi, gdy zaczęła się wypytywać, czy przypadkiem nie jest „pracownikiem MSW”, on zaś na wpuł przytomny opowiadał o swojej działalności w opozycji. Po tym wydarzeniu wysłano go — z podejrzeniem padaczki sytuacyjnej — na konsultację medyczną do szpitala w Wejherowie. Decyzja ostateczna nawet w takich oczywistych sprawach należy jednak do ubecji. Nie chciałbym

skrzywdzić lekarzy, którzy pojawili się w obozie w miejsce cywilnych, zmieniających się ekip z pierwszych dni internowania. Jak się nieraz okazywało, i ci więzienni, znani przecież w kierującym się pewną hierarchią środowiskową świecie lekarskim — nieraz w sposób dla nas niewidoczny starali się na swój sposób pomagać internowanym. Oczywiście ich „pomoc” polegała na kierowaniu na zewnątrz do specjalistów ludzi istotnie chorych, ale w tym czasie i w tym świecie nie były to sprawy tak oczywiste. Równie dobrze mogli lekceważyć objawy chorobowe, i w wielu przypadkach lekceważyli. Prawdą jest natomiast, że więzienne ekipy lekarsko-pielęgniarskie, działające rutynowo i od lat w środowisku przestępczym, przyzwyczajone do obcowania z więźniami stosującymi nieprawdopodobne wybiegi, by uniknąć kary, łącznie z ryzykownymi dla zdrowia tzw. połykami, podcinaniami żył itp. — miały specyficzne podejście do internowanych, nie do zaakceptowania dla normalnego człowieka. Już sam sposób zwracania się do internowanego w gabinecie lekarskim powodował szereg konfliktów.

Pewną „popularność” zdobyła sobie obsada składająca się z lekarki w stopniu kapitana — specjalisty laryngologa, mówiącej właściwie po rosyjsku, z polskim akcentem. „Ruska” — jak mówili o niej sami klawisze doprowadzający nas do gabinetu — współpracowała zazwyczaj z młodą pielęgniarką ze szpitala więziennego na Kurkowej, żoną więziennego kierowcy. Nie całkiem trafnie nazywano ją w obozie „zomówką”. Obie damy miały zwyczaj bezceremonialnego traktowania pacjentów; niech wejdzie, niech siada, co mu jest itd. w tym stylu. Odrzuciwszy zbędne ich zdaniem konwenanse administrowały nami po swojemu, nawet nie bardzo krępując się w naszej obecności w tematach rozmów prowadzonych między sobą. Najważniejszymi tematami były zakupy takich luksusowych w tym czasie artykułów, jak pralki automatyczne, dywany, meble, kożuchy, boty zimowe. Stan wojenny otwarł przed nimi wszelkie możliwości zdobycia tych reglamentowanych przedmiotów. Junta generalsko-ubecka nagradzała w ten sposób wierną kadre, mocno wystraszoną w okresie kontroli roztoczonej przez „Solidarność”, że oto kończy się system wewnętrznym sklepów w komendach milicji i kantynach, system talonów i całej cichej „redystrybucji”. Opanowanie sytuacji i „odwrócenie biegu wydarzeń” miało dla tej całej klienteli politycznego układu stworzonego przez stan wojenny wymiar zupełnie konkretny, materialny. Powrót do wypełnionych towarami kantyn, powrót do systemu zakupów „po starych cenach” towarów „przecenionych” oznaczał, że oto skończył się dla nich okres za-

grożenia i kontroli społecznej. Był to czas wielkich łupów. Jak przystało na czas wojny, łupiono społeczeństwo.

Obu wspomnianym przeze mnie damom napsuł krwi jeden z kolegów, który podczas wizyty w gabinecie zażądał zwracania się do siebie w sposób zwyczajowo przyjęty w stosunkach lekarz — pacjent, zamiast zwracania się w trzeciej osobie. Z drobnego incydentu już w krótkim czasie powstała cała afera. Pewnie skończyłoby się na donosie o „o niewłaściwym zachowaniu się internowanego”, ale tym razem trafiły na człowieka, który postanowił całą sprawę potraktować zupełnie na serio. Ustalił on, że w jego karcie chorobowej znalazł się wpis: „niezrównoważony, pobudliwy, arogancki. W czasie badania żądał mówienia sobie przez pan, trząskał drzwiami itd. (...)”. Kartoteka chorobowa zawierająca dane o przebytych w obozie chorobach i stosowanych lekach nie była właściwym miejscem do załatwiania porachunków. Wezwany przez Maciuka w celu „pouczenia” o szacunku w innym „przełożonemu”, kolega w obecności majora Kaczmarka zażądał usunięcia wpisu z karty chorobowej i pouczenia więziennej służby zdrowia, jakie są zwyczajowe formy między lekarzem i pacjentem. Stało się na tym, że major Kaczmarek, wbrew stanowisku pełnomocnika Maciuka, przyznał rację internowanemu i obiecał usunięcie wpisu.

W trakcie dzisiejszych odwiedzin major zastosował jeden ze swoich chwytów psychologicznych. Wyszedł przed dyżurkę do czekających na widzenia rodzin i ogłosił, że zaraz wychodzi szczęściu internowanych. Dla jednych — radość, a dla drugich — smutek. Naturalnym odruchem jest rozważanie każdej okoliczności, która mogłaby się przyczynić do zwolnienia z obozu. Z tymi myślami wchodzili najbliżsi na dzisiejsze widzenia. O tym też głównie rozmawiano. Oczywiście sprawą numer jeden było podpisać — czy nie. I o to chodziło.

Ostatnie nieoficjalne badania ankietowe w niektórych zakładach pracy Gdańska potwierdziły nasze przypuszczenia, że wśród robotników jest jednoznaczne przekonanie o potrzebie reaktywowania „Solidarności”, mimo że nie była ona całkiem taka, jaką sobie wymarzyli. Przewiduje się, że do czerwca bież. roku będzie reaktywowana. Mamy nadzieję, że cała ankieta dotrze do nas. Mówi się, że niedawno miało miejsce spotkanie Rakowskiego z Wałęsą. Było to podobno ich drugie spotkanie w stanie wojennym. Dziennikarzom Rakowski powiedział, że była to męska rozmowa, ale jest z niej zadowolony. Pozostaje jedynie pytanie, co to znaczy. Dużo spekuluje się na temat możliwości zwolnienia Wałęsy na chrzest jego najmłodszej córki Marii Wiktorii, uro-



dzonej przed paroma tygodniami. Chrzest ma się odbyć 21 marca. Ks. Henryk Jankowski, do niedawna kontaktujący się z Lechem wyraził obawę, czy przypadkiem ta uroczystość kościelna nie zamieni się w potężną manifestację, podczas której może dojść do ubeckiej prowokacji.

Obóz odwiedzili dzisiaj przedstawiciele prymasa: Romuald Kukołowicz i Stanisław Czartoryski. Jedyne przez chwilę rozmawiali z kilkoma kolegami, gdy przekazywali dary przywiezione z Warszawy (kawa, ciastka, pasta do zębów, proszki do prania itp.). Jest to pomoc w ramach opieki jaką Kościół roztoczył nad internowanymi.

Doszło do finału stałego naszego sporu z komendą na temat śpiewania podczas spacerów w dniach odwiedzin (niedziela i czwartek). Jak zwykle śpiewaliśmy nasze pieśni, w trakcie których wyszedł major i ogłosił, że zawiesza wszystkie niedzielne spacery.

Na Zachodzie ukazało się angielskie tłumaczenie książki o Wałęsie wydanej u nas w dużym nakładzie, z którego jedynie część weszła na półki księgarskie, resztę przeznaczono na przeział!

Ze spraw przyziemnych — domowe gołąbki otrzymane w czasie widzenia zostały przyjęte w celi z wielkim zadowoleniem, jak również sernik. Dla mnie to wzruszający dowód, jaka szansa kontaktu z ciepłym, domowym stołem, przedłużenie naszego krótkiego spotkania podczas widzenia... Tutaj potrzeba 3-4 dni na odreagowanie comiesięcznego widzenia, które zmienia rytm i nastrój życia w celi, wektory moich myśli. Szachy zarzucałem, znudziły nas, od paru dni znowu można grać w ping-ponga, więc przy stole ping-pongowym przeżywa się spóźnioną młodość. Wpadłem na lekturę wartą odnotowania, książkę, która od czasu „Gry w klasy” Julio Cortazara, zwodniczej lektury, którą rozsypał we mnie czas — zrobiła na mnie niezwykle wrażenie. „Sto lat samotności” Gabriela Garcii Marqueza. Książka mądra, znająca się na starości, na amplitudzie ludzkich uczuć, na sprzecznościach i całej dialektyce związków ludzi, na mechanizmach rodzinnych, na diagnozach społecznych. I cudowny, przenikliwy opis mechanizmu władzy, rewolucji, propagandowego szwindlu — wszystkich tych działań dokonywanych jak operacja na ciele żywego społeczeństwa, tak bezbronego wobec szaleńczych, usprawiedliwianych „racją nadrzędną” ekscesów władzy. Jak to się dzieje, że autor, Kolumbijczyk, tak odległy od kręgu naszych doświadczeń, tak przenikliwie opisał również nasze życie, tutaj w Polsce. To fenomen wielkiej uniwersalnej literatury: los ludzi na dru-

giej pókuli, żyjących w odmiennym kręgu kulturalnym, świat fikcji, będący wynikiem kreacji pisarskiej — okazuje się nagle portretem naszych przeżyć i spraw.

Kwiaty, które dostaliśmy podczas widzenia sprawiły, że przystąpiliśmy do mycia okien w celi. Zbliżająca się wiosna powoduje kiełkowanie wzmożonej tęsknoty do świata, do bliskich. Daje się wyczuć wiosenną nerwowość w naszych wzajemnych zachowaniach. Wszyscy stają się „bardziej na zewnątrz”, jakby stracili nawzajem dla siebie zainteresowanie. Zaczynamy naukę języków obcych.

*9 marca, wtorek*

Wczoraj miało wyjść dalszych pięciu kolegów. Zostali jednak. Muszą czekać. Wszyscy czekamy. Nikt nie wie kiedy i w jakich warunkach spotkamy się z najbliższymi. Każdy z nas chciałby jak najszybciej być w domu. Każdy tęskni. Każdy biegłby na to spotkanie, ale też większość z nas, jak i Wy, wie, że nie może ono być za cenę upokorzenia, poniżenia, złamania człowieka. Wiem, że musimy to przetrwać, że musimy z tego wyjść silniejsi niż byliśmy. Jeszcze nie raz zostaniemy oszukani, jeszcze nie raz będziemy musieli upomnieć się o swoje prawa. Nie można jednak tego procesu zawrócić. Można jedynie go zatrzymać ale też nie na długo. W końcu wejdziemy na naszą drogę. Może trudną — ale własną.

Cenzura obozowa szaleje. Ostatnio wymazała koledze dedykację na nowym egzemplarzu Pisma Świętego: „żeby zawsze zwyciężała Prawda”, wycina fragmenty listów, zamazuje krótkie informacje na pocztówkach, pozostawiając jedynie pozdrowienia i podpis. Niektórzy myślą o powtórzeniu dowcipu jednego z obozów. Sporządzono tam gryps, który, zgodnie z planem, wpadł w ręce klawiszy. Zawierał on krótką informację, że w tym a tym dniu „rodzić ma Honorata”. Przez parę dni w obozie było dla klawiszy ostre pogotowie. Wówczas puszczonego drugiego gryps z informacją, że „Honorata jeszcze nie urodziła” i żeby nie przyjeżdżali. Dopiero wówczas władze obozowe zorientowały się, że dały się nabrać.

Wczorajszy stan obozu: 113 internowanych.

*10 marca, środa*

Ciąg dalszy „spraw własnych” kpt. Maciuka: rozmowa z wszystkimi, którzy zamierzają wyjeżdżać za granicę. Z całej grupy

liczącej ok. 30 osób kwestionariusze na wyjazd wzięło zaledwie 11 osób, reszta przyszła posłuchać. Informacje Maciuka były dokładnie takie same jak w codziennej prasie. Widać, że cała ta akcja nie jest w ogóle przygotowana; liczy się na zmęczenie internowanych nieokreślonym terminem siedzenie w obozach oraz obawę pozostania w przyszłości bez pracy.

Dzisiaj w porannym dzienniku telewizyjnym obejrzałem sekwencje ze zwalniania internowanych z obozu k. Bytomia. Różne są nasze komentarze. Uważa się jednak, że te zwolnienia zostały podjęte na skutek nacisków górników i potrzeby wykazania się przed opinią publiczną w Polsce i za granicą działaniami łagodzącymi rygory stanu wojennego. Ma to wpłynąć na uspokojenie sytuacji wewnętrznej i skłonienie Zachodu do złagodzenia restrykcji gospodarczych wobec Polski. Mają jednak być zwalniani tylko robotnicy. Oni tworzyli „dobrą” „Solidarność”, natomiast pozostali nadawali jej „antysocjalistyczny charakter”.

Przy okazji zauważamy w propagandzie oficjalnej zmianę znaczenia słowa „prominent”. Dotąd używało się go wobec tych przedstawicieli władzy, którzy jej nadużyli, teraz zaczęto używać tego określenia w stosunku do przywódców „Solidarności”. Pod względem znaczeniowym i lingwistycznym nic temu określeniu nie można zarzucić, natomiast budzi ono sprzeciw, gdy używa się go w znaczeniu społecznym i historycznym. W ciągu ostatnich miesięcy słowo „prominent” nabrało znaczenia ujemnego, jako związane z przestępstwem. Używanie go wobec czolówki Związku ma sugerować opinii publicznej, że przywódcy „Solidarności” być może podpadają pod paragrafy prawa.

Trwa propagandowa ofensywa WRON-y na kilku frontach powstałych w płaszczyźnie wewnętrznej („Solidarność”, społeczeństwo, Kościół) i zewnętrznej (atak na Stany Zjednoczone, Madryt a zwłaszcza sprawę realizacji praw człowieka w Polsce). Okazuje się jednak, że bardzo trudno rządzić społeczeństwem bez społeczeństwa, do czego nawołuje rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban w ostatniej *Polityce*. Załamywanie się zwłaszcza gospodarki spowodowało konieczność zaangażowania wojska w podejmowanie decyzji, nawet na najniższym szczeblu. Wojsko wyszło z koszar i na drodze rozkazu chce uzyskać to, co nie udało się żadnej poprzedniej ekipie politycznej. Pierwsze miesiące stanu wojennego prowadzą jednak, że wojskowi uwikłani zostali w przeróżne błahе sprawy, z którymi nie potrafią się uporać. Nie rozwiązano żadnego z podstawowych problemów politycznych. Powoli zaczyna się rozwijać zjawisko podwójnego życia społecznego. Z jednej strony ludzie doszli do przekonania, że cały ten stan

jest jednak tymczasowy, nie należy się więc weń angażować. Wobec zaś jego brutalności — zewnętrznie — będzie się jedynie pozorować zgodę, faktycznie społeczeństwo czeka. Z drugiej — niecierpliwi (a niecierpliwość jest domeną młodości) przystępują już do działania. Organizuje się życie społeczne określane przez władze jako nielegalne, działalność od wydawniczej począwszy po — w pełnym wymiarze — polityczną. Zjawisko to będzie rozrastać się wraz z pogłębianiem się marazmu politycznego obecnych władz. Życie nie znosi bowiem próżni politycznej. Jedyną więc drogą dla władzy jest powrót na drogę dialogu.

### *13 marca, sobota*

Tradycji stało się zadość: tak jak w poprzednim miesiącu, tak i wczoraj zaakcentowaliśmy, że trzy miesiące temu w nocy część z nas była już zatrzymana. Najpierw były zapalone świece i pochodnie wystawione na kratkach każdej celi, później nasza „muzyka” na kraty, miski, taborety i drzwi. Trwała od północy przez 15 minut. W tym czasie wszyscy klawisze powychodzili z pawilonów. Już wieczorem mówili nam, że spodziewają się naszego walenia, dlatego wyjdą przed pawilon, gdyż hałas jaki powstaje na korytarzach jest ogłuszający. Wczoraj chodził po celach kpt. Biegaj, perswadując, aby porzucić myśli o „demonstracji”. Zagroził przy tym, że jeśli nie usłuchamy jego apelu, zostanie ograniczona „swoboda” w obozie. Dzisiaj o godzinie 12.00 zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, grupy spacerowe odśpiewały nasz żelazny repertuar; wieczorem zapalamy świece.

Przed chwilą kołchoźnik zapowiedział, że spacer w niedziele zostały ograniczone do pół godziny. Jest to odpowiedź na nasze śpiewanie w czasie widzeń i wczorajszą akcję.

### *19 marca, piątek*

Od paru dni w obozie trwa nerwowa krzątanina; więźniowie usuwają resztki zeschniętej trawy, przygotowano boisko do siatkówki, a przedwczoraj chodzili po celach i szukali taboretów, które miały jakieś uszkodzenia. Wreszcie się to wszystko wyjaśniło: przyjechała dwuosobowa delegacja Międzynarodowego Czerwonego Krzyża ze Szwajcarii. Najpierw przez parę godzin „urabiała” ją komenda, później niespodziewanie otworzono nam na pawilonach cele, zachęcając do wyjścia. Zdecydowaliśmy, że skoro do

tej pory siedzieliśmy zamknięci w celach, to teraz nie skorzystamy z tego „dobrodziejstwa” komendy. Wiadomo już bowiem było, że delegacja MCK jest w obozie i że komenda stara się nagle zrealizować jeden z naszych pierwszych postulatów — otwarcie cel. Komendant próbował nawet przekonywać, abyśmy wyszli na korytarz pawilonowy, gdzie odbędzie się spotkanie z delegacją MCK wraz z towarzyszącymi im osobami reprezentującymi Ministerstwo Sprawiedliwości i Polski Czerwony Krzyż. Napięcie rozładowało przyście Szwajcarów.

Jeden z nich — lekarz — w niezłej polszczyźnie powiedział, że już się zorientowali w całej tej sprawie i jednak proszą nas na wspólne spotkanie. Potem przeszli wraz z towarzyszącymi im osobami po celach, odnotowując usterki i niedociągnięcia ze strony komendy. Było tego sporo. Wszędzie też zwracali uwagę na wytarte brudne koce, dziurawe wykładziny podłogowe, prymitywne wyposażenie, gdzie indziej na grzyb na ścianie czy suficie czy też na wodę stojącą w ubikacji. Interesowali się także stanem osobowym celi, a nawet rozstawieniem łóżek. W kilku celach przygotowano także szczegółowe raporty o stanie zdrowotnym jej mieszkańców, a także opisano cały kompleks spraw sanitarno-bytowych. Tymi jednak problemami zajęli się na spotkaniu delegatów cel oraz podczas indywidualnych rozmów z osobami, które miały jakieś sprawy zdrowotne, rodzinne czy osobiste. Rozmowy te trwały również dzisiaj. W międzyczasie lekarz zainteresował się zasygnalizowaną przez nas sprawą ujęcia wody pitnej, znajdującego się tuż obok obozowej chlewni. Faktycznie, w przedniej części niewielkiego budynku był garaż na jeden samochód, natomiast z tyłu była zwyczajna świnia, z której gnój i gnojowicę wyrzucano tuż obok. Mjr Kaczmarek wyraźnie chciał zatuszować całą tę sprawę, ale po naszej interwencji lekarz w towarzystwie naszego kolegi tłumacza poszli obejrzeć to pomieszczenie. Wówczas na wprost idących wybiegł z chlewni dorodny szczur. Właśnie w chlewni i w pęknięciach betonowych ścian odkrytego ścieku, przechodzącego przez środek obozu, znalazły one doskonałe warunki do rozwoju.

Przy okazji rozmów ze Szwajcarami dowiedzieliśmy się, że MCK traktuje nas jak więźniów politycznych, podobnie jak w przypadku innych 70 krajów świata, w których występuje ten problem, z tym, że nasz status jest przedziwny, gdyż konwencja haska z początku XX wieku, która normuje prawa internowanych, obejmuje jedynie osoby internowane na obcym terytorium, a nie obywateli danego państwa. Stąd MCK w swoich kontaktach z internowanymi może liczyć jedynie na dobrą wolę władz

polskich. To wyznacza zakres ich możliwości; głównym ich celem jest odwiedzenie internowanych, wnioskowanie zwolnienia najczęściej chorych, pomoc w unormowaniu naszego tutaj życia a także wsparcie naszych rodzin, które znalazły się w szczególnie trudnych warunkach. Delegacja MCK, która przyjechała do Polski stara się również uzyskać dostęp do aresztowanych i skazanych „za kontynuowanie działalności związkowej”. Ich także traktują jako więźniów politycznych. Niestety, dotychczasowe starania nie przyniosły żadnego rezultatu — władze odmawiają im spotkania się z tą grupą więźniów politycznych. W ogóle ze strony władz nie otrzymują żadnej pomocy w ustaleniu liczby internowanych, imiennego wykazu, miejscowości gdzie znajdują się obozy i więzienia dla politycznych, ani oczywiście wykazów zwalnianych z pracy za działalność związkową. Wszystkie informacje zdobywają prywatnie, na własną rękę — od Kościoła, rodzin a także podczas odwiedzania poszczególnych obozów. Dotąd odwiedzili 1/3 obozów z 24 jeszcze funkcjonujących. Problemy wszędzie są podobne, natomiast warunki życia bardzo różne. Zapewniali, że będą się interesowali dalszym naszym losem; za parę tygodni, jeśli nie zostaniemy zwolnieni, obiecali przyjechać do obozu, natomiast każde nasze przeniesienie będzie odnotowywane w specjalnej kartotece, abyśmy czasem gdzieś nie zniknęli... Nie chcieli jednak zbyt dużo mówić o sytuacji w innych obozach czy o Lechu, o którego pytaliśmy kilkakrotnie, gdyż otrzymali zgodę na odwiedzanie obozów internowanych jedynie pod tym warunkiem, że nie będą przekazywali żadnych tego typu informacji oraz że wszystkie ich notatki, poza osobistymi i lekarskimi, mogą być kontrolowane. Mimo to w kilku celach przekazano im korespondencję na Zachód, a także różną naszą twórczość artystyczną.

Kilku kolegów, wykorzystując obecność przedstawiciela Ministerstwa Sprawiedliwości, chciało uzyskać komentarz prawny uzasadniający nasze zatrzymanie oraz informację o sposobach podważenia samej decyzji o internowaniu. Jedynym pożytkiem z tych rozmów było stwierdzenie przedstawiciela tego resortu — tylko prywatnie — że drogą do podważenia decyzji o internowaniu jest założenie sprawy przez adwokata, który musi zażądać dostępu do akt. W takiej sytuacji instytucja internująca musi wykazać zasadność swej decyzji. W ten sposób odwraca się dotychczasową metodę postępowania; to nie my musimy się tłumaczyć ze swej niewinności, ale komendant wojewódzki MO zobowiązany jest do wykazania naszej „winy”. Jest to jednak myślenie marzyciela, który stara się podtrzymać fikcję, że prawo jeszcze funk-

cjonuje. Z dotychczasowych doświadczeń adwokatów, którzy chcieli zastosować takie rozumowanie jak na razie nic nie wychodzi, gdyż nie otrzymują zgody na dostęp do akt. Podtrzymuje się jedynie ogólną formułkę, że „nie ustały przyczyny internowania”.

Podczas wizyty MCK 24 osoby zgłosiły chęć wyjazdu z Polski na stałe. Natomiast z innych zebranych informacji wiadomo, że z obecnego składu obozu 4 osoby zostały pozbawione pracy w trakcie internowania, że jest 2 uczniów, 5 studentów Politechniki Gdańskiej i 1 student z Uniwersytetu Gdańskiego oraz przedstawiciele prawie wszystkich zawodów; nie ma jedynie lekarzy.

Zaraz po opuszczeniu przez delegację obozu, tak wczoraj jak i dzisiaj, pozamykano nas znowu w celach. Komenda nie wyraziła zgody by Szwajcarzy przenocowali w naszych celach w obozie.

*20 marca, sobota*

Chciałbym czuć dotyk Twoich rąk, usłyszeć Twój głos, zobaczyć z bliska Twoją twarz i móc normalnie rozmawiać... Bez klawiszy, bez tej stale zatłoczonej i zadymionej sali widzeń. Bez nerwowego spoglądania na zegarek i pytania — ile jeszcze zostało nam czasu? Trzeba stale wyrzucać z siebie nagromadzone w ciągu miesiąca hasła — zdania, którymi chcemy się komunikować. Spieszyć się, spieszyć... Nie możemy tak zwyczajnie pomilczeć, zamyślić się, trzymając się za ręce... — Dlaczego? Tych pytań stale przybywa, gdy przeżywa się swoją obozową codzienność. Zadaję sobie te pytania, jak chyba większość z nas dotkniętych tutaj fizycznym przymusem. Dlaczego? za co? właśnie ja? Pytanie powinno brzmieć: po co? Odpowiedź prosta: dla przykładu!

Stan obozu: 107 internowanych (na I — 55 a na II pawilonie — 52 osoby).

*22 marca, poniedziałek*

Setny dzień. Od dłuższego już czasu trwały przygotowania do tego dnia: najwięcej jest pomysłów na zrobienie okolicznościowych stempli. Powstały nowe i bardzo ciekawe rozwiązania, zabrakło nam jedynie kopert i tuszu. Niektórzy wyspecjalizowali się w tej produkcji, osiągając wręcz perfekcję. Można jedynie podziwiać, że tak prymitywnymi narzędziami jak scyzoryk, żyłotka

i igła można w kawałku gumy lub linoleum wycinać znaczki i pieczątki związane z naszym życiem. Dominuje symbolika obozowa z wieżyczką strażniczą, drutami i kratami, w które wkomponowany jest napis „Solidarność”.

Zasadniczym jednak problemem ostatnich dni była sprawa uczczenia tej, w końcu okrągłej, daty. Dzisiejszej nocy część walała w kraty i w drzwi, inni zaś się od tego zdystansowali. ZOMO zostało postawione w stan gotowości bojowej, na wieżyczkach wzmocniono posterunki a przy bramie chodzą uzbrojone patrole. Chyba jest to ich „łabędzi śpiew”, gdyż — jak mówią — na ich miejsce mają przyjąć strażnicy więzienni. Skończyły się jeden z elementów dwuwładzy w obozie. Również major Kaczmarek, który na ogół zawsze stara się w tym względzie zachowywać dyskrecję daje do zrozumienia, że dwuwładzy już ma dosyć.

### *28 marca, niedziela*

Każdej niedzieli z uwagą wysłuchujemy mszy św. nadawanej przez radio. Nawet koledzy cierpiący na bezsenność i zasypiający dopiero nad ranem, co jest zjawiskiem stale się poszerzającym, proszą żeby ich zawsze budzić. Również spacerująca grupa zatrzymuje się przy otwartych oknach cel, aby wysłuchać homilii. Wyraźnie zauważamy odchodzenie w kazaniach od tematów bezpośrednio nas obchodzących. Jeśli nawet jest nawiązanie do nich, to poprzez rozbudowany komentarz liturgicznych czytań. Jest to wyraźna ucieczka Kościoła od mówienia wprost. Nie rozumiemy tej taktyki. Zaskoczył nas natomiast nasz kapelan, który, gdy szedł na pierwszą mszę św., zatrzymywał przechodzących i pytał — czy i ty chcesz wyjeżdżać za granicę? Był wstrząśnięty listą chętnych do wyjazdu, jaką przedstawiono mu w komendzie obozu. Na ok. 100 internowanych aż 30 złożyło podania o wyjazd. Traktował to wyraźnie jako osobistą porażkę. Przedtem wielokrotnie podkreślał, że Kościół nie pozostawi nikogo, kto utraci pracę, bez opieki. Nie wytrzymał, aby w czasie kazania nie nawiązać do tego tematu. Natomiast gdy po mszy św. zaczęto śpiewać „Boże coś Polskę” — demonstracyjnie odszedł od ołtarza, nie włączając się, jak to było w jego zwyczaju, w śpiew. Na koniec odwracając się do zebranych powiedział, że tę pieśń śpiewało się w chwilach największego zagrożenia, gdy zesłańcy szli na Sybir, gdy dla Ojczyzny poświęcało się wszystko. Nie można śpiewać tej pieśni, gdy Ojczyznę zostawia się w potrzebie. Opowiedział nam o starszej pani, która przyszła do niego po dzi-



siejszej rannej mszy św. w kościele garnizonowym w Gdańsku z listem, w którym prosi nas o niewyjeżdżanie. Nasza postawa odbiera nadzieję tym, którzy liczą na nas, na naszą wierność ideałom Sierpnia '80.

Już w trakcie drugiej mszy św. jeden z młodych kolegów przedarł się do komendy obozu i zażądał wycofania swego podania. Podarł je na oczach zdumionego kpt. Maciuka i kpt. Biegaja. Inni zaś tłumaczą się, że tych swoich podań nie traktują poważnie; chcieli się jedynie „zabezpieczyć” na wypadek, gdyby zostali bez pracy oraz zobaczyć, czy tą drogą nie można szybciej wyjść z obozu, a na wolności zrezygnować z wyjazdu. Teraz zorientowali się, że ich próba „przechytrzenia” władz obraca się przeciwko nim. Znaleźli się w grupie ludzi, wobec których społeczeństwo ma duże wymagania i nie przyjmuje tego typu wyjaśnień. Stanęli pod pręgierzem opinii. Na dzisiejszych widzeniach ktoś przywiózł wiadomości z innych obozów, z których wynika, że ten problem nigdzie nie nabrał takiego zasięgu jak u nas. Wiadomo, że na wyjazd zgłaszają się w obozach pojedyncze osoby. Zresztą potwierdzają to wypowiedzi oficjalnych przedstawicieli rządu, którzy wymieniali najpierw liczbę 10 a ostatnio kilkudziesięciu podań internowanych w sprawie wyjazdów zagranicznych. Porównanie z nami, gdzie aż 30 % stanu obozu rozważa ten zamiar, stało się dla nas przygnębiające.

Przez cały dzień był to temat numer jeden we wszystkich celach. Przedstawiciele cel ustalali stanowiska w tej sprawie. Zdajemy sobie sprawę, że musimy zająć jednoznaczną postawę, często wbrew naszym kolegom z celi. Okazało się przy tym, że wśród chętnych do wyjazdu są również dwaj sygnatariusze porozumienia gdańskiego, reszta zaś ma rodowód dawnej opozycyjnej działalności, jest też paru działaczy ze szczebla zakładowego.

*28/29 marca, niedziela, poniedziałek*

Nie wiem ile to już dni, w czasie których ciągle myślę o Tobie. Na pewno za dużo, ale jak tu nie biec w Twoją stronę z tego martwego świata, w którym tkwię, ożywianego siłą woli tylko, pozbawionego życiodajnej dramaturgii. Im więcej za oknem światła, im więcej słońca, tym wolniej wloką się dni. Czas ciągnie się jak guma, jak zastygająca brudnawa masa, którą ktoś wylał nam wszystkim pod nogi. Wszystko w niej grzęźnie, zmienia proporcje, nieruchomieje, jak owad na stygnącym lepcu...

31 marca, środa

Późnym popołudniem przywieziono zapowiadaną już od dłuższego czasu grupę kolegów z Potulic. Od razu pozamykano nam cele, które po opuszczeniu przed paroma dniami obozu przez ZOMO były sukcesywnie otwierane. W każdym razie przywieziono ich 45, w najbliższych dniach podobno mają przyjechać do Strzebielinka następne transporty z innych obozów. Mówi się, że nasz obóz przygotowuje się na centralny „ośrodek odosobnienia” Okręgu Pomorskiego, obejmującego całą północną Polskę. Ze znanych osób, wiadomo, że przywieziono Jana Bartczaka, przewodniczącego Zarządu Regionu w Lublinie, Antoniego Stawikowskiego, przewodniczącego Zarządu Regionu w Toruniu, sztandarową postać ruchu poziomego w partii — Zbigniewa Iwanowa z Torunia, większość prezydium Zarządu Regionu z Torunia i Bydgoszczy. Obiecują dostarczyć nam opis wydarzeń, jakie miały miejsce w Toruniu, który w tej grupie zdecydowanie dominuje tak pod względem liczby osób do nas przywiezionych, jak i stopniem zorganizowania.

Wczoraj natomiast wyszedł Maciek Jankowski, postać w obozie bardzo popularna. 130 kg żywej wagi, ze 190 cm wzrostu i w dodatku były mistrz Polski juniorów w judo. Jego obecność na spacerach robiła, mimo jego łagodnego usposobienia, pewne wrażenie na ZOMO-wcach, gdy truchtał w starym, podartym, darowanym przez kogoś dresie i śmiesznej czapeczce narciarskiej. W czasie Zjazdu „Solidarności” został wybrany w skład Komisji Krajowej jako reprezentant Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie pełnił funkcję „złotej rączki” do wszystkiego, co trzeba było zespawać. Spawacz z Uniwersytetu Warszawskiego — jak zaprezentował się podobno na Zjeździe — to brzmiało niezłe. Żegnaliśmy go z harmonią, gitarą i śpiewem (instrumenty te mamy od ostatniej niedzieli).

3 kwietnia, sobota

Zakończyły się dwudniowe rekolekcje prowadzone przez ks. dr. Edmunda Piszczę, profesora seminarium duchownego w Pelplinie. Jego głęboko refleksyjna nauka pomogła nam pozbierać się wewnętrznie. Wielu skorzystało z możliwości spowiedzi. Wraz z rekolekcjonistą, który chciał nocować u nas, z wczoraj na dzisiaj, przyjechali księża z diecezji chełmińskiej: kanclerz kurii ks. dr Andrzej Śliwiński, proboszcz kościoła farnego w Wejherowie oraz nasz kapelan.

Oczywiście po spotkaniach rekolekcyjnych każda z cel starała się chociaż na chwilę zatrzymać naszych gości, aby dowiedzieć się najnowszych informacji ze styku Kościoł—państwo oraz różnych spekulacji, jakie krążą w świecie polityki. Papież począwszy od pierwszych chwil stanu wojennego zajmuje zdecydowane stanowisko potępiające działania WRON-y i Jaruzelskiego. Najpierw był osobisty list Jana Pawła II do Jaruzelskiego, jako Polaka, obywatela i żołnierza, później wystąpienia publiczne, modły w intencji Polski, aresztowanych i internowanych, teraz zaś podkreśla nieuznawanie junty, chociażby przez fakt, że do tej pory nie poinformował władz polskich o kandydacie na opuszczoną przez Glempa diecezję warmińską. Nie chce, aby nowe władze w Polsce mogły zgłoszenie kandydata na stolicę biskupią potraktować jako formę uznania przez Stolicę Apostolską WRON-y. Władza natomiast próbuje kokietować episkopat różnymi drobnymi posunięciami, które odciągnęłyby go od jednoznacznego zaangażowania się w reaktywowanie związków zawodowych, a w tym „Solidarności”, uwolnienie internowanych z Wałęsą na czele i w naciski na rozpoczęcie rozmów z „Solidarnością”. Właśnie niedawno gen. Czesław Kiszczak oświadczył oficjalnie jako szef resortu spraw wewnętrznych, że nie należy zdejmować krzyży w zakładach pracy, szkołach i instytucjach publicznych. Z drugiej strony trwa nacisk na duchowieństwo niższego szczebla, aby odcięło się ono od popierania działalności podziemnej „Solidarności”, a zajęło się tylko sprawami charytatywnymi.

Uzupełnieniem do naszej dyskusji o wyjazdach jest informacja, jaką na ostatniej konferencji episkopatu złożył bp Szczepan Wesóło, przedstawiciel prymasa d/s emigracji w Rzymie. Niewesoło przedstawiają się możliwości pracy w Europie Zachodniej i w Ameryce Północnej. Rządy państw zachodnich, Stanów Zjednoczonych i Kanady, a nawet Australii zamknęły granice dla emigracji zarobkowej. Z kolei obozy dla przesiedleńców znajdujące się głównie w Europie mają fatalne warunki. Już teraz ci, którzy chcą emigrować spotykają się jeśli nie z niechętnym, to co najmniej z ostrożnym stanowiskiem ambasad. Oprócz niewątpliwie ważnej sprawy jaką jest ochrona własnego rynku pracy, niemałą rolę odgrywa obawa przed infiltracją emigracji elementem mogącym później odgrywać rolę polityczną, a zwłaszcza agenturalną. Te obawy potwierdzają koledzy i ich rodziny, które podjęły starania o wyjazd w ambasadach.

Kościół nadal stawia na Wałęsę, chociaż władze starają się zdeprecjonować jego znaczenie. Sekretariat episkopatu otrzymał jego ocenę ze strony władz, w której stwierdza się, że „musieliś-

my go internować, gdyż jest niedojrzały politycznie, a sytuacja jaka wytworzyła się przed stanem wojennym przerosła jego samego". Pomimo to Kościół uważa, że właśnie on może się przyczynić do uspokojenia sytuacji, czego tak bardzo obawiają się władze.

Zaostrzające się stosunki kościelno-państwowe powodują, że papież wstrzymuje się z określeniem daty swej pielgrzymki. Nie zamierza bowiem stwarzać WRON-ie jakichś argumentów, które zostałyby wykorzystane przeciwko społeczeństwu czy „Solidarności”. Nie wyklucza się nawet, że wizyta mogłaby mieć miejsce dopiero w przyszłym roku, po zakończeniu stanu wojennego. Pomimo trudności, a może właśnie dlatego, siła Kościoła w Polsce rośnie. Kościół angażuje się w sprawy ludzi prześladowanych, pozbawionych pracy, aresztowanych i internowanych. Do spraw internowanych z ramienia episkopatu został oddelegowany jego sekretarz bp Bronisław Dąbrowski. On też, obok ks. Alojzego Orszulika, rzecznika prasowego episkopatu, najczęściej odwiedza Wałęsę. Z kolei poszczególni biskupi działają na swoim terenie na rzecz wszystkich krzywdzonych przez stan wojenny. Dzisiaj, podczas mszy św. poprzedzającej konferencje rekolekcyjne, odczytano nam list pasterski biskupa chełmińskiego na niedzielę wielkanocną. Zwraca w nim uwagę *passus* poświęcony aresztowanym i internowanym: „Mimo pewnej dysharmonii odczuwanej dotkliwie na obliczu życia Polaków, poranek Wielkanocy, w którym urzeczywistniło się zwycięstwo dobra nad złem, wnosi ogrom nadziei. Nadzieja zaś idzie w parze z optymizmem”. Składając końcowe życzenia bp Marian Przykucki pisze: „Pragnę, aby one dotarły do każdej rodziny, do obozów internowania, do więzień, do wszystkich ludzi dobrej woli, pełniących służbę dla dobra Kraju. Niech one przyczynią się do zespolenia wszystkich w jednomyślności działania dla naszego wspólnego dobra. Niech będą zwiastunem pokoju wewnętrznego w naszej Ojczyźnie”.

Brak nam informacji o przebiegu wczorajszego spotkania Komisji Wspólnej, podobnie jak brak szczegółów ustaleń, jakie zapadły podczas wizyty kard. Franciszka Macharskiego w Rzymie. Ksiądz prymas pojawił się jako obserwator na głównym procesie szczecinian w Bydgoszczy.

Prokuratura nadal szaleje. Ostatnio po posiedzeniu Biura Politycznego prokuratura generalna założyła rewizję w ok. 40 sprawach, w których zapadły już wyroki. Najwyższe jednak wyroki nadal zapadają przed sądem wojskowym Marynarki Wojennej w Gdyni. Zaznacza się tutaj wyraźna tendencja do zastraszania i

obezwładniania strachem Wybrzeża, z którego wyrosła „Solidarność”.

Od toruńczyków dostaliśmy opis wydarzeń od początku internowania aż do przewiezienia ich do naszego obozu.



*Branka w Toruniu*, podobnie jak w całym kraju, zaczęła się w nocy z 12 na 13 grudnia. Pierwsza, najpotężniejsza fala dotarła do mieszkań jeszcze przed północą. Z początku ubecy pracowali spokojnie: wezwania na nagłe przesłuchania, okradzione piwnice, włamanie do biura komisji zakładowej. Po północy zaczęła się właściwa akcja. Grupowano nas w trzech komisariatach Torunia: na Wałach Sikorskiego, przy Grunwaldzkiej i przy Słowackiego. Niektórym pokazywano nakaz zatrzymania w domach. Większość jednak dowiadywała się o internowaniu dopiero na komisariacie. Przed zamknięciem w celach osobista rewizja: zabierali nawet szaliki, paski i szczyroryki. Około godz. 5.00 pakują nas do suk. Wiozą ciemnymi ulicami skutych parami. Nie wiadomo dokąd. Po kilkunastu minutach zatrzymujemy się na lotnisku. Sceneria niesamowita. Po pasach startowych gonią w kółko samochody patrolowe, błyskając sygnałami świetlnymi. W górze huczy helikopter. Szpaler ZOMO-wców z pistoletami maszynowymi. Ciarki przebiegały po krzyżu. Ktoś widzi już wykopane rowy — strach ma wielkie oczy. Zimno. Przybywa samochodów. Formuje się kolumna. Przeładowują nas do zomowskiego „stara”. Trochę lepiej, są okna, możemy patrzeć na to co się dookoła dzieje. Dobijają sanitarki. O godz. 6.00 hymn z głośnika. Przemawia Jaruzelski. Wiemy już, co się stało. Samochody ruszają. Jest ich kilka, może kilkanaście. Nie możemy się doliczyć. Jedziemy w kierunku miasta. Zaczyna świtać. Puste ulice — niedziela. Komunikacja nie działa. Nie widać ludzi. Mijamy śródmieście, skręcamy na most w kierunku Bydgoszczy. Domyślam się, że wiozą nas do Potulic. Na przedmieściu ludzie przed bramami domów. Podnosimy skute ręce do góry, do okien. Niech widzą, co się dzieje.

Powitanie w Potulicach zaczęło się od ujadania psów w ciemnym tunelu pod budynkiem administracyjnym więzienia. Wyciągają nas parami. Zdejmują kajdanki. Pod ścianami ludzie w panterkach, z potężnymi wilczurami. Szybko formują grupy: my w środku, po bokach strażnicy z psami. Jest ich kilkanaście. Prowadzą wzdłuż bloków. Mijamy płoty z drutu kolczastego, wieżyczki z reflektorami. Z jakiegoś okna krzyczą: Niech żyje

„Solidarność”. To więźniowie. Jest ich tu ok. 2000. Podnosimy ręce, kiwamy do nich. Robi się raźniej. Wprowadzają nas do pawilonu nr VII. Upychają po celach. Więźniów musieli zabrać dosłownie parę minut przed naszym przyjazdem. Zostawili książki, część jedzenia. Akcja zaskoczyła również więziennictwo. Cele małe. Osiem osób na 15 m<sup>2</sup>, piętrowe łóżka, stół, wychodek niczym nie oddzielony od „apartamentów”, wybite szyby w oknach, brud. Zastanawiamy się, jak długo będziemy musieli to znosić. Czy potrafimy to przetrzymać, czy nie załamamy się całkowicie? Po paru godzinach dają śmierdzące koce, talerze, łyżki, jeden nóż na celę, odbierają pieniądze, zakładają karty ewidencyjne. Strażnicy wyraźnie boją się nas. (Później dowiedzieliśmy się, że zrobiono im odprawę. Uświadamiano ich, że będą mieć do czynienia z nadzwyczaj groźnymi, gotowymi na wszystko zamachowcami).

Za ścianami ruch. Obok nasi. Wybijamy dziury przy rurach centralnego ogrzewania. Idą pierwsze grypsy, kompletujemy listę nazwisk. Jest nas około 170, z tego około 100 z toruńskiego, reszta z Bydgoszczy. Wymieniamy informacje. Wieczorem mamy już zorganizowany system łączności w poziomie i między piętrami a parterem. Ustala się szczegóły funkcjonowania więziennej poczty. Przed zaśnięciem modlimy się wspólnie przy otwartych oknach i śpiewamy hymn. Tak było przez cały czas pobytu. Byliśmy razem, choć niezbyt pewni, co przyniesie kolejny dzień.

Wspólne śpiewanie hymnu doprowadzało władze więzienne do wściekłości. Obawiali się naszego oddziaływania na więźniów. Szukali inicjatorów, podglądali po celach, szczególnie zajadły był komendant obozu kpt. Wysocki, psychopata pozbawiony wszelkich skrupułów. Za śpiewanie hymnu stosowano przez pewien czas karę karceru. My na to odpowiadaliśmy łomotem. Po pewnym czasie zrezygnowano z represji, my ze śpiewania — nie.

Pierwsze rozmowy z „opiekunami” z SB rozpoczęły się jeszcze przed świętami. Przyjeżdżali regularnie we wszystkie dni tygodnia, z wyjątkiem poniedziałku i soboty. Zaczęliśmy ich rozpoznawać. Z Bydgoszczy byli starsi — wyglądali dostojnie, z Torunia — młode chłopaki z marnym przygotowaniem. Znaczna część kolegów nie rozmawiała z nimi wcale, niewielka ilość podpisała oświadczenia i siedziała dalej, reszta wykladała im w rozmowach nasze racje, wykazywała słabość „rządowych” argumentów. Komendant wojewódzki MO w Toruniu internował tak wiele osób, że starał się obniżyć stan do średniej krajowej. Przed

Bożym Narodzeniem zwalniają pierwszą partię, ok. 20 osób. W grupie tej są pracownicy naukowcy uniwersytetu, kilku ludzi z komisji zakładowych, II sekretarz KM PZPR — Masłowski, sekretarz komitetu uczelnianego UMK w Toruniu — Witkowski (tzw. struktury poziome). Kolejna grupa odjechała do domów przed Nowym Rokiem. Do tego czasu na naszych listach mieliśmy 204 nazwiska.

13 stycznia doszło do pierwszego frontального starcia. Z kuchni, obok której spacerowaliśmy, ciągnęły straszliwe smrody, trudno było wytrzymać. Koledzy zdecydowali się na zmianę trasy spaceru. Chcieli dostać się na teren spacerowy dla więźniów. Zaatakowała ich jednak grupa kilkudziesięciu funkcjonariuszy. Na czele ppłk Józef Brauzg, zastępca naczelnika więzienia. Sprowadzono psy i dalsze grupy funkcjonariuszy. Brauzg rzucał przekleństwami i kierował całą akcją. Z okien obserwowaliśmy całe zajście, nie mogąc w niczym pomóc naszym kolegom. Może to i lepiej. Spacerujący bowiem nie odpowiadali na rękoczynny, zachowywali się spokojnie. Nikt nie dał się sprowokować. Trzech zaprowadzono do karceru. W celach od razu łomot. Następnego dnia rozpoczynamy głódówkę. Dwóch wraca. Trzeci odsiaduje tydzień. Zwycięstwo połowiczne. 13 lutego kolejna głódówka. Protestujemy przeciwko drakońskim wyrokom sądów doraźnych w sprawach przeciwko członkom Związku w całej Polsce; z regionu toruńskiego 6 osób z „Towimoru” dostało po 3,5 roku za palenie świeczek w rocznicę Grudnia. Nie możemy dla nich nic innego zrobić, boli bezsilność. Wytrzymaliśmy przez pięć dni, prawie wszyscy, z wyjątkiem chorych. Wywołało to poruszenie w komendzie wojewódzkiej. Przyjechał szef SB, płk Grochowski. Próbowano nakłonić ludzi do przerwania głódówki, szukano przywódców. Obiecywali nawet uwolnienie tych, którzy odstąpią od tej akcji protestacyjnej. Informacja o naszej głódówce szybko przedostała się do Torunia, pomimo tego, że wstrzymano wszelkie kontakty z nami, nawet nie wpuszczono w niedzielę księdza. W tym samym czasie toczyła się rozprawa w sądzie wojewódzkim przeciwko ludziom z Zarządu Regionu. Odstąpiono od trybu doraźnego i wyrok ogłoszono z zawieszeniem. Publiczność na sali rozpraw stojąc biła brawo, a wychodzącym kolegom wręczała biało-czerwone goździki. Czuliśmy, że w jakiś sposób mieliśmy w tym i my swój udział.

Bez przerwy wypuszczali średnio po 5-6 osób tygodniowo. Nie chcieli podpisywania lojalek. Od czasu do czasu próbowali jednak nakłonić do współpracy z SB, później zaprzestali i tego. Funkcjonariusze z Bydgoszczy chcieliby być apolityczni, tak przy-

najmniej oświadczały w trakcie rozmów z kolegami. Następuje też pewne rozluźnienie obozowych rygorów. Pewnego dnia otworzyły się cele na parę godzin. Mogliśmy poruszać się swobodnie. Nie kwapiliśmy się jednak do tych wycieczek, w każdym razie nie wtedy, kiedy oni tego chcieli.

Oferowali nawet oglądanie filmu po dzienniku telewizyjnym. Z początku nie było chętnych. Klawisze zaczęli zmieniać swój stosunek do nas. Po trzech miesiącach większość z nich zrozumiała, że nie mieliśmy nic wspólnego z określeniem „niebezpieczni zamachowcy”. Nawiązuje się cieniutka nitka zrozumienia. Nie bez wpływu pozostają wizyty biskupów: Mariana Przykuckiego, ordynariusza chełmińskiego i Czerniaka, sufragana gnieźnieńskiego, niedzielne msze św. i książki, które sprowadzaliśmy z domów.

19 marca w Toruniu i Bydgoszczy mają miejsce 15-minutowe strajki. Zamyka się znowu ludzi. Nasi „opiekunowie” szantażują: wyjdziecie jak nie będzie żadnych akcji, jak znikną ulotki. Mimo to zwalniają. Coś zaczyna się wokół nas dziać. Więźniowie sygnalizują nam gwałtowne zaostrenie rygorów. Mówią nam, że jest to oznaka jakichś zasadniczych zmian. 31 marca klawisze ogłaszają nam, że mamy się spakować i że wyjeżdżamy. Część nie chce się w ogóle ruszać, dopóki nie dowiemy się, dokąd mamy być przewiezieni. Inni uważają, że tego typu opór nie ma sensu, tym bardziej, że cały nasz pawilon zaroił się od niebieskich mundurów. W tej sytuacji również pozostali uznali bezsens dalszego oporu. Chcąc załagodzić sytuację komendant obiecał, że jak tylko się dowie, dokąd zostaliśmy przewiezieni, powiadomi rodziny. Wszystkich 45 ładuje się do trzech wozów (dwie budy i blaszak). Najpierw jedziemy do Komendy Wojewódzkiej MO w Bydgoszczy, gdzie dotankowuje się benzynę i tu też chyba konwojenci dostają marszrutę naszego przejazdu. Wiadomo, że mamy jechać na północ w okolice Gdańska. Po paru godzinach jazdy i błędzeniu konwój podjeżdża pod Strzebielinek. Wita nas major więziennictwa — jak się później okazało — Franciszek Kaczmarek — i śpiew siedzących tutaj kolegów oraz ich okrzyki z pozdrowieniami. Teraz dowiadujemy się, że siedzi tutaj sam Gdańsk. Na nasz przyjazd, jak się od razu dowiedzieliśmy, opróżniono dwie cele, w których mieszkali najwięksi śpiewacy. Szybko zorientowaliśmy się, że trzeba podtrzymać tę tradycję Strzebielinka. Zawiodła się komenda obozu, gdyż tak jak zawsze o godz. 20.45 była modlitwa „Ojczyzna” i śpiew. 2 kwietnia przywieziono nowych dwóch naszych kolegów z Torunia, z „Merintexu”.



5 kwietnia, poniedziałek

Ostatnie widzenia przyniosły wiele nowych informacji o obozach w całej Polsce; różnie się układa życie naszym kolegom; niektórzy mają zaostroszony regulamin, który w niczym nie odbiega od rygorów więziennych. Dochodzi nawet do przypadków pobić; ostatnio najdrastyczniejszy miał miejsce w Iławie i to zaledwie przed paroma dniami. Sprawa jest jeszcze w toku. Zainteresował się tym przypadkiem Kościół, a także posłowie, nie mówiąc o doniesieniach zachodnich agencji.

W niedzielę major w rozmowach z kobietami oczekującymi na widzenia potwierdził krążące ostatnio pogłoski o mającej nastąpić w okresie przedświątecznym serii dużych zwolnień. Miał wręcz powiedzieć, że z obozu wyjdzie około 30 internowanych. Przypuszcza się, że w pierwszym rzędzie będą wychodzić ci, którzy są w trakcie załatwiania formalności paszportowych oraz chorzy, znajdujący się na listach MCK. Z tym, że gwałtownie zmalała liczba chętnych do wyjazdu za granicę. Wielu na nowo przemyślało całą tę sprawę, uznając, że poprzednia decyzja była zbyt pochopna. W wyniku zwolnień, które mają objąć wszystkie obozy, niektóre z nich będą zlikwidowane. U nas mówi się wśród kławiszy, że do Strzebielinka zostaną przywiezieni koledzy z Mielęcina. Wśród chorych jest wielu takich, których stan zdrowia wręcz nakazywałby zdjęcie nakazów internowania, aby mogli spokojnie się leczyć. Jednak o ich zwalnianiu decyduje nie lekarz, a ubecja.

Nasi koledzy z Potulic rozmieszczeni są w pierwszym i drugim pawilonie. Weszli oni już w zorganizowane życie i ostro walczą o prawa wywalczone w poprzednim obozie. Napotykają na opory majora, załatwiającego się zaleceniami komendy wojewódzkiej MO w Toruniu, życzącej sobie aby odizolować naszą grupę strzebielińską od potuliczian. Nie jest to możliwe nawet technicznie, gdyż poza dwiema celami w drugim pawilonie resztę ludzi z Potulic umieszczono w pawilonie pierwszym. Wprawdzie komendant próbuje pozornie utrzymać ten podział, ale już teraz widać, że to lada dzień pęknie i będziemy mogli wszyscy razem spotykać się chociażby w ramach pawilonu.

Odezwał się nasz kolega Jasio Samsonowicz, który normalną drogą przez cenzurę przesłał opis swego nowego miejsca „zamieszkania”. Ze Strzebielinka — jak pisze — wieziono go w nieznaną przez Gdańsk. Trafił do Iławy: „Jest to zwyczajny kryminal, z wszelkimi szykanami, m.in. z kibelem w celi, nieodgrodzonym. Okna zasłonięte są tzw. 'blindami', z których widać zaledwie

kawałek ulicy (10 m<sup>2</sup>), jedno oświetlenie 100 W, mała powierzchnia. Dobrze zaopatrzona jest biblioteka więzienna, w takie rarytasy, jakich trudno uświadczyc w bibliotece PAN-u. Ludzie jak wszędzie weseli i pyskaci. Mieszkamy w kilkupiętrowym bloku, gdzie zajmujemy dwa piętra. Są tu internowani z Elbląga, Olsztyna, Gdańska, Ostródy i innych pomniejszych miejscowości. Dodatkową „atrakcję” stanowią więźniowie (17-25-letni). Internowani nie mogą chodzić do tamtejszej więziennej szkoły stolarskiej. Jest natomiast godzinny spacer, świetlica, no i okienko TV, gazety w prenumeracie oraz łaźnia, w której można złapać grzybicę”. Tak jak wszędzie w jadłospisie dominuje tzw. „litrażupa na do rozszyfrowania”. Odwiedzają ich dziwni faceci, którzy twierdzą, że są tu prywatnie, z tzw. misją dobrej woli. Przyjechał do nich także biskup płocki (list ten był wysłany przed ostatnim „pałowaniem” w dniu 25. III). Jest wśród nich także Antoni Macierewicz, który twierdzi, że dzięki internowaniu zrobi wreszcie stale odkładany doktorat. Opracowuje bowiem jakąś średnio-wieczną kronikę.

Na dzisiaj jest nas 144 + 7 w szpitalu w Wejherowie. Przez nasz obóz przeszły już, razem z nami — 284 osoby. Według oficjalnych danych w Polsce jest obecnie 3.147 internowanych.

*8 kwietnia, czwartek*

Dzisiaj miała miejsce inauguracja wykładów na naszym obozowym „uniwersytecie”. Rozpoczął zajęcia Jasiu Bartczak, teolog, który podjął temat społecznej nauki Kościoła. Już teraz widać, jak rozległy jest to temat i jak mało znany w Związku. W końcu „Solidarność” z tej nauki czerpała nie tylko inspirację ale także wykorzystywała konkretne sformułowania. Pierwszy wykład odbył się przy niebywałej frekwencji w naszej obozowej kaplicy. Ustalono, że takich wykładów z różnych zagadnień wiedzy będzie więcej; w najbliższym czasie przewiduje się, że oprócz kontynuacji cyklu wykładów ze społecznej nauki Kościoła podejmiemy takie tematy jak: historia sztuki, rozwój kultury, myśli politycznej, przewidziano też wykłady z zakresu astrofizyki. W obozie funkcjonują już trzy rodzaje kursów językowych, na dwóch poziomach: niemieckiego, angielskiego i francuskiego oraz rozbudowany system dyskusji ogólnoobozowych. Jest to niewątpliwie niemała zasługa potuliczan, którzy pomogli nam w przełamaniu obaw komendy naszego obozu. Cały bowiem czas zastaniała się ona, że

tego typu wykłady nie są praktykowane w innych obozach. Okazało się, że jednak było inaczej.

Po prawie tygodniowych dyskusjach ustalono, że temat wyjazdów zagranicznych musi zakończyć się jakimś wspólnym oświadczeniem, z tym, że dla podkreślenia jego znaczenia podpiszą je przebywający w obozie członkowie Komisji Krajowej i Zarządu Regionu w Gdańsku. Od paru już dni tekst krąży po obozie. Zdecydowana większość przeciwna jest sugestii niektórych kolegów, żeby na emigrację wyjeżdżali ludzie, którzy cieszą się zaufaniem władz Związku, by wreszcie uporządkować dosyć nieskładne poczynania tych, których stan wojenny zastał na Zachodzie. Uważamy jednak, że wysyłanie „specjalnych” ludzi przyniesie Związkowi więcej szkody niż pożytku. Dałoby to jednocześnie doskonały argument władzom dla wykazania „nieczystej” gry „Solidarności”. W każdym bądź razie oświadczenie to jest żywo dyskutowane. Warto więc odnotować jego treść:

„Koledzy! W związku z akcją wyjazdów zagranicznych, jaką przeprowadza SB m.in. w naszym obozie w Strzebielinku czujemy się w obowiązku stwierdzić, co następuje: 1) Uważamy, że wszyscy wyjeżdżający piastujący jakiś mandat związkowy z wyboru winni rzec się go przed wyjazdem za granicę; 2) Udający się za granicę członkowie naszego Związku, w tym i aktualnie pełniący różne funkcje związkowe — wyjeżdżają za granicę kraju jako *osoby prywatne*. W żadnym wypadku nie mogą uważać się poza granicami kraju za jakichkolwiek reprezentantów naszego Związku, ani też za ludzi działających za granicą z upoważnienia naszego Związku; 3 W normalnych warunkach wyjazd za granicę — na pobyt stały, czasowy — byłby sprawą prywatną wyjeżdżającego. W obecnej sytuacji, w jakiej nasz kraj i Związek się znajdują, będąc w obozie w Strzebielinku zakładnikami, nie uważamy wyjazdu kogokolwiek z nas za jego wyłącznie prywatną sprawę. Za członków KK i ZR Gdańsk. (—) *Konrad*, 2. 04. 1982”.

Wczoraj do obozu przyjechała specjalna ekipa z Komendy Wojewódzkiej MO w Toruniu z jej komendantem płk. Zenonem Marcinkowskim i szefem SB płk. Grochowskim na czele. Przyjechali, jak mówili, bo w Potulicach nie było... czasu. Teraz chcieli się zorientować, w jakich warunkach przebywają ich podopieczni oraz „porozmawiać”. Chętnych do rozmów zbyt dużo nie było, ale ci co zdecydowali się do nich pójść podkreślali ich niebywałą uprzejmość i kurtuzję. W efekcie ich pobytu jeden z kolegów z Torunia został zwolniony, a dwóch otrzymało 7-dniową przepustkę. Są to pierwsze przepustki w naszym obozie.

Z nasłuchu wiemy już, że rozpoczęła się czystka wśród demokratycznie wybranych w okresie „Solidarności” rektorów wyższych uczelni. Profesor Henryk Samsonowicz, rektor Uniwersytetu Warszawskiego, nie pełni już swej funkcji. Mówią, że przygotowują

następne posunięcia, ma polecieć ze stanowiska również rektor Uniwersytetu Gdańskiego, prof. Robert Głębocki. Mimo tych szykan inni nie wydają się zastraszeni — grupę naszych studentów Politechniki Gdańskiej już po raz kolejny odwiedziła prorektor Irena Sankiewicz, sygnalizując, że uczelnia czyni starania o ich uwolnienie.

### *Wielki Piątek, 9 kwietnia*

Kilka minut przed 15.00 poszedłem do kaplicy. Trafiłem akurat na przerwę i przez dobry kwadrans mogłem posiedzieć samotnie na ławce po oknem, za którym widziałem pomiędzy sąsiednim pawilonem a zabudowaniami garaży — kawałek lasu. Otworzyłem tekst ewangelii według św. Marka, a potem Łukasza, opisujący dzień Męki Pańskiej. Przecież zna się ten tekst, a jednak nigdy jeszcze nie starałem się wniknąć tak głęboko w słowa opisu jak właśnie dziś, w obozie. Jest prawdą, że człowiek nigdy do końca nie jest w stanie zrozumieć czyjegoś dramatu, jeśli jego samego nie dotkną podobne choćby przeżycia. Postawa Sanhedrynu, sposób zachowania Piłata, chwytły ze zwolnieniem Barabasza — dziś wydały mi się uniwersalnym opisem pewnego mechanizmu, na który składa się polityczna zaciekłość, czyjeś tchórzostwo, czyjeś lenistwo, powodujące, że nie rozważa się do końca racji moralnych z obawy przed kłopotami, ze strachu. Tak przecież reagował lud, którego pytano: kogo chcecie, aby wam uwolnił? A wśród tłumu zakupieni tajniacy nadający mu ton: chcemy Barabasza!

Po chwili w kaplicy byliśmy już w kilkunastu, a koledzy, którzy dołączyli, zaczęli wielkopostny śpiew.

### *Wielka Sobota, 10 kwietnia*

Dziś mamy niezapowiedzianą wizytę biskupa pomocniczego diecezji gnieźnieńskiej Jana Nowaka, który przyjechał wraz z kapłanem więziennym z Potulic Józefem Kutermakiem. Dobrze się złożyło, bo właśnie w tym czasie w kaplicy montowano ponad dwumetrowej wysokości krzyż z surowego drewna, otoczony w górnej części drutem kolczastym, z wbitym brzeszczotem włóczni i spływającą z boku białą tkaniną, tworzącą jakby postać. Projekt tego robiącego wielkie wrażenie krzyża opracowali dwaj koledzy, Tadeusz Szczudłowski i Jan Koziątek, i wykonali go w obozie wspo-

magani przez nas i więźniów. Poprosiliśmy biskupa o poświęcenie krzyża. Uroczystość ta zgromadziła prawie cały obóz, a zakończyła się złożeniem podpisów na krzyżu przez wszystkich obecnych. Księża towarzyszący biskupowi przywieźli nam paczki od rolników zrzeszonych w „Solidarności” wiejskiej. Również miejscowy proboszcz z kościoła w Gniewinie przekazał nam wraz z życzeniami jajka od okolicznych gospodarzy.

W ten sposób gdzieś uleciało wrażenie świąt spędzanych w więzieniu. Czekamy na dzień Zmartwychwstania jak na prawdziwe święto...

Korzystając z obecności księży zainteresowaliśmy się, ile jest prawdy w pogłoskach o mających nastąpić internowaniach także wśród nieposłusznych księży. W województwie gdańskim na listach do internowania znajduje się 25 księży, a wśród nich: Henryk Jankowski, proboszcz parafii stoczniowej, Stanisław Bogdanowicz, proboszcz Bazyliki Mariackiej, Hilary Jastak, proboszcz parafii Najświętszego Serca Jezusa w Gdyni, dwaj księża z kurii gdańskiej: Stanisław Dułak i Zbigniew Bryk. Wczoraj w telewizji jakby w celu uspokojenia społeczeństwa pokazano fragmenty konferencji prasowej ministra Kuberskiego, trochę na ten temat.

*12 kwietnia, poniedziałek*

Widać, że Kościół chce nam wynagrodzić kolejne święta spędzane z dala od rodzin. Dziś znowu gala — Strzebielinek odwiedził długo zapowiadany biskup gdański Lech Kaczmarek. Przed mszą św. spotkaliśmy się z nim w większym gronie w jednej z cel. Biskup przekazał nam wiadomości o wynikach rozmaitych interwencji podejmowanych na rzecz uwolnienia paru naszych kolegów. Okazuje się, że istotna jest różnicowana stylistyka odmów gdańskiego pełnomocnika wojskowego WRON płk. Zenona Molczyka. Niektóre interwencje kwitował krótką odmową, w innych przypadkach odpowiedź zawierała dopisek „na razie zwolnienie jest niemożliwe”. Pytaliśmy także o okoliczności niedawnego spotkania księdza biskupa z nowo mianowanym gdańskim wojewodą, generałem Mieczysławem Cyganem. Okazuje się, że brutalne represje w stosunku do nas nie wykluczają pełnego kurtuazji podejścia do przedstawicieli hierarchii kościelnej. Na słowa biskupa Kaczmarka o uniwersalnych nakazach płynących z ewangelii generał skwapliwie potwierdził, że zgadza się z nimi, i że są one zbieżne z ideami komunizmu. Cóż, dialektyka. Okazuje się, że w gabinecie można

usunąć wszelkie różnice zdań, ale niestety dla nas nic z tego nie wynika.

Jakiś osad goryczy zniknął w czasie wyjątkowo interesującej homilii wygłoszonej przez księdza biskupa. I na nim niemałe wrażenie zrobił nasz krzyż i właśnie symbolicznie krzyża poświęcił zaimprovizowane kazanie. Mówił o dwóch tendencjach przeplatających się w życiu człowieka: tej wyrastającej ku górze, ku Bogu i poziomej, wyrażającej wspólnotę ludzką.

Z widzeń dochodzą szczegóły toczącego się procesu grupy stoczniovców z Alojzym Szablewskim. Członkowie stoczniowego i ogólnopolskiego komitetu strajkowego z grudnia zostali oskarżeni z artykułu 46 dekretu za organizowanie strajku w stanie wojennym. Największe zainteresowanie wzbudziły zeznania świadków oskarżenia, a wśród nich niedawno odwołanego dyrektora Stoczni Gdańskiej Klemensa Gniecha. Pytany o straty wynikłe wskutek strajku powiedział, że o wiele większe spowodowała akcja taranowania bramy przez czołgi, rozbicie przez tzw. siły porządkowe pomieszczeń biurowych i inne zniszczenia. Dodał przy tym, że gdyby nie stan wojenny, stocznia była w stanie wykonać plan produkcyjny do końca roku. W ten sposób dyrektor Gniech pozostanie w pamięci stoczniowej załogi jako człowiek, który potrafił zachować twarz w najtrudniejszych momentach dla nich i dla siebie. Pewnie dlatego zdjęto go ze stanowiska.

Na pewno natomiast do niesławnej historii dziennikarstwa polskiego przejdzie autor wyjątkowego zupełnie paszkwilu opublikowanego w *Gazecie Współczesnej* z początku kwietnia, zatytułowanego „Dzień wśród internowanych” a opisującego obóz kobiecy w Gołdapi. Warto zapamiętać jego nazwisko: Dionizy Sidorski. Z artykułu tchnie odrazą i obrzydzeniem do zamkniętych w obozie kobiet. Opisuje tyjące w luksusie kobiety, którym długotrwałe uwięzienie uderza na mózg, co objawia się w niewybrednym atakowaniu młodych, eleganckich żołnierzy, którzy — jak Sidorski — ze wstrętem odwracają się na te zaczepki. W wolnych chwilach pomiędzy napychaniem brzucha a zaczepianiem żołnierzy układają wredne piosenki, w których zapowiadają nadejście mścicieli. Sidorski sugeruje, że nikt nie nadejdzie, by im pomóc, gdyż żadna z nich nie znalazłaby amatora. Słowa te napisał polski dziennikarz o kobietach pozbawionych nawet prawa głosu we własnej obronie. Przebijająca z całej publikacji aż dławiąca nienawiść o tyle jeszcze bardziej jest niezrozumiała, że w obozie przebywa córka tego osobnika, będąca jego dzieckiem z pierwszego małżeństwa. Wraz z gazetą dotarła też wiadomość, że publikację tę uznała za ostateczne przekreślenie związków z ojcem.

15 kwietnia, czwartek

Dziś wydawali przepustki na wolność! Co prawda na kilka dni, maksymalnie do tygodnia, „po uważaniu”, jak komu, ale jednak... Korzystali z nich koledzy mający albo poważne problemy rodzinne, jakieś sprawy do załatwienia, np. zdrowotne, ale także ci, którzy po prostu chcieli się stąd wyrwać na kilka dni. Wiadomość, że będą takie możliwości, przekazał na pawilony chyba major Kaczmarek, dwa dni temu. Informacja nie rozeszła się zbyt szeroko, a to na skutek różnicy zdań na temat czym jest napisanie podania o przepustkę — bo podanie było konieczne.

Bilety na wolność wydawał zastępca komendanta wojewódzkiego w Gdańsku, jak mówią — być może jego następcą w niedalekiej przyszłości, płk Paszkiewicz. Paszkiewicz przyjmował w pokoju, gdzie niedawno zainstalowano na kilka godzin dziennie tzw. psychologa i był w towarzystwie czarnego, inteligentnego ubeka, który podczas rozmowy z internowanymi, wzywaniymi pojedynczo — cały czas wertował *dossiers*, podsuwając szefowi pewnie co istotniejsze charakterystyki. Obaj byli bardzo uprzejmi, wyraźnie podkreślając, że nie traktują rozmówcy jako numeru obozowego, lecz z pełnym ceremoniałem, uwzględniającym także cenzus czy to wykształcenia, czy zawodowy sprzed internowania, nie pomijając tytułów naukowych czy zwyczajowo potocznie stosowanych, typu „panie inżynierze” itp. Wersal... Interesowali się warunkami internowania, ubolewali z powodu uchybień popełnionych w trakcie zatrzymywania w nocy z 12/13 grudnia, zapewniając, że gdyby, czego sobie ani nam nie życzą, w przyszłości mieli ponownie dokonywać akcji na taką skalę — postarają się wykonać ją jeszcze sprawniej i bez owych uchybień. Podkreślali, że mimo rozmiarów akcji na Wybrzeżu nie zginął owej nocy ani jeden człowiek i że są z tego osobiście zadowoleni. Tych, którym udzielili przepustek przestrzegali, że odmiennie niż w obozie, poza bramą nie wolno już nosić plaketek z napisem „Solidarność” ani żadnych znaczków związkowych czy akcentujących robotnicze wybrzeżowe rocznice, gdyż „można mieć kłopoty”, z wyrokiem i więzieniem łącznie.

Wychodzących na przepustki kolegów zegnaliśmy różnie: niektórzy z nas uważają, że takie kontakty z przedstawicielami organów represji są objawem słabości i pośrednio akceptują wojenny porządek, inni, że wolność jest wolnością i zawsze za murami człowiek ma więcej do zrobienia, niż siedząc tutaj. A co sobie myśli na ten temat ubecja — jest nieważne. Osobiście sędzę, że może lepiej byłoby wyrzec się owych przepustek, ale w końcu każdy

człowiek w sobie nosi świadomość i poczucie granicy, której przekroczyć mu nie wolno, więc indywidualne motywacje mogą je usprawiedliwić.

18 kwietnia, niedziela

Jakby w odpowiedzi na nurtujące nas pytania co czuje i myśli społeczeństwo, z którym przecież mimo wizyt rodzin nie mamy zbyt szerokiego kontaktu — w obozie pojawiła się ankieta-sondaż, przeprowadzona na przełomie marca i kwietnia br. w Gdańsku.

Sondaż obejmował 108 osób, wśród których przeważali przedstawiciele inteligencji technicznej, lekarze i nauczyciele. Jak sądzimy, niewielki zasięg tego sondażu spowodowany jest trudnościami obiektywnymi: działalność tego typu na pewno interesuje ubecję. Pierwsze pytanie dotyczyło czasu trwania stanu wojennego. Największa liczba odpowiadających (39) uważała, że stan wojenny potrwa 2-3 lata. Charakterystyczne przy tym, że uważający iż stan ten będzie trwał krótko — stwierdzali: „to będzie niedługo, bo ludzie się zbuntują”, „1-2 lata, inaczej będzie rewolucja”, „będzie krótko — 1 rok, ale zakaz strajku, cenzura listów zostanie dłużej”. Inni stwierdzają: „do przewrotu w ZSRR”, „dopóki Rosjanie nie osiągną tego, do czego dążą, tj. opanowania Europy”, „dopóki będzie istniał ZSRR i ustrój komunistyczny”, „jak władza uzna, że czuje się bezpieczna”, „do wojny domowej”.

Z odpowiedzi na kolejne pytanie wynika, że ponad 50 % badanych spodziewa się rozpoczęcia działalności związków zawodowych jeszcze w bieżącym roku. Występują przy tym obawy co do autentyczności „odwieszonych związków”.

Pytanie następne brzmiało: czy ktokolwiek z władz NSZZ „Solidarność” podejmie współpracę z „odwieszonymi” związkami zawodowymi? 47 osób jest przekonanych, że podejmie, zaś 59 — że nie. Niektóre wypowiedzi: „nie, w ogóle nie wierzę, że oni wyjdą na wolność”, „tak — będą się starać gdzieś działać, żeby ratować co się da”, „może pojedyncze jednostki”, „nie podejmą, dopóki nie będzie prawdziwie wolnych związków”, „jeżeli w ogóle tak, to bardzo nieliczni, będą tłumaczyć to potrzebą ratowania Związku, naprawdę zaś zechcą się przystosować do systemu dla kariery”, „to zależy jakie będą te związki i od postępowania Wałęsy”.

W odpowiedzi na pytanie: czy zapiszesz się do związków zawodowych, gdy wznowią one działalność — 23 osoby powiedziały



— tak, 70 osób — nie, argumentując: „na pewno nie do takich, które będą zależne od partii i rządu” „do wolnych i prawdziwych — tak”, „tylko, jeżeli będzie Solidarność”, „nie wiem — może mi każą, ale nie będą aktywne”.

Dwa ostatnie pytania ankiety dotyczyły ogólnych problemów społecznych kraju związanych z najbliższymi wyborami do sejmu i rad narodowych i oceną środków masowego przekazu. Badani mieli określić, czy ich zdaniem w najbliższych wyborach będą mieli większy, czy mniejszy wpływ na ostateczny ich wynik. Punktem odniesienia były ostatnie wybory sprzed sierpnia 1980 roku. Wyniki: większy — 15 osób, bez zmian — 34, mniejszy — 48 osób. Charakterystyczna motywacja oceny, że wpływ „będzie większy” zawiera się w zdaniu: „bo ludzie nie będą głosować”. Dla odpowiedzi wskazujących, że „nie nastąpi żadna zmiana”: „bez zmian, to znaczy — żaden”. Inna jeszcze odpowiedź: „ten socjalizm nie zna w ogóle wyborów”. W kwestii oceny środków masowego przekazu zdecydowana większość badanych oczekuje jeszcze pogorszenia ich wiarygodności.

Po przeczytaniu ankiety zobaczyliśmy jasno, że także ludzie po tamtej stronie muru, choć przecież pozostający na wolności — podobnie jak my — nie widzą perspektyw. Nie wiem, jak będziemy żyli z tą świadomością.

### *23 kwietnia, piątek*

Wracający z przepustek muszą szczegółowo sprawozdawać o wszystkim, co widzieli i słyszeli na wolności. Dziś myślę, że nie ma co się w sprawie przepustek oglądać na innych, i jeśli nadarzy się jakaś okazja, to będę się o nią starał. Nie można odcinać się od życia, które normalnie się toczy, bez nas. Trzeba zobaczyć, jak ono wygląda teraz, trzeba podtrzymywać na duchu rodzinę.

Jak się wydaje — robotnicy nastawieni są dość radykalnie. Przewijają się poglądy, że stan wojenny zmiecie dopiero strajk generalny. Uświadamiają nam to rozmaite sygnały. Pozostający na wolności liczą na to, że wypracujemy tu jakiś konkretny program „co robić”. Dramat polega na tym, że chyba nikt w Polsce i także poza nią nie zna odpowiedzi. Nie nadchodzi ona także od środowisk, które uniknęły pogromu. Pojawiają się dziwne propozycje składania czegoś w rodzaju poręczeń ze strony powołanych do życia przez WRON organizacji i pojedynczych ludzi, którzy zdecydowali się na tzw. kolaborację. Teraz chcąc poprawić swój wizerunek

we własnych oczach ofiarują się z pomocą w wyjściu niektórym internowanym. Są przez nich traktowani tak, jak na to zasługują.

Nieco przykre dla nas są obserwacje, że jednak „życie nie znosi próżni” — idzie do przodu, na nasze miejsca wchodzą nowi ludzie. Z drugiej strony wzruszający jest stosunek szerokich kręgów społeczeństwa do internowanych i ich rodzin. Jest wiele objawów pomocy, dowodów pamięci i uznania, oczekiwanie „że wytrwamy”. To wszystko prawda, a równocześnie widzimy, że odstawiamy, że liczą się przede wszystkim ci, co są... Niemało gorzkich myśli.

*24 kwietnia, sobota*

Dopiero począwszy od przyjazdu grupy internowanych z obozu w Potulicach uświadamiamy sobie różnicę w charakterze obu obozów, ukształtowaną na skutek odmiennych warunków, w jakich przebiegało nasze uwięzienie. Grupa potulicka przyjechała w pełnym ordynku, według wzorów organizacyjnych Związku z okresu jego normalnej działalności. Stąd funkcjonowanie struktur hierarchii związkowych, wspólne podejmowanie pewnych akcji, wypracowywanie wspólnego stanowiska w rozmaitych sprawach, a także instytucjonalizowanie się pewnych zwyczajów i liturgii obozowych. Na ich tle wypadamy jak dość luźna zbiorowość, składająca się z wielu indywidualistów i nie umiem powiedzieć: to dobrze czy źle... Faktem jest, że w więzieniu w Potulicach internowani stanowili osobną grupę, zajmując oddzielny oddział wśród 2.000 więźniów i było konieczne, by w tych warunkach podkreślać własną odrębność i demonstrować bardziej jeszcze przynależność do „Solidarności”. W Strzebielinku w tym czasie, będąc grupą „samą dla siebie”, właściwie odeszliśmy od struktur związkowych i organizacyjnych hierarchii na rzecz stworzenia nieformalnych układów sympatii, szacunku, opartego na osobistej postawie w obozie. W ciągu kilku miesięcy przebywania razem nie brakowało okazji do wzajemnej obserwacji i oceny postawy zajmowanej wobec najrozmaitszych problemów. Stanowiliśmy bardzo wrażliwie reagującą na to co działo się wokół nas zbiorowość i teraz wiemy o sobie nawzajem niemało. Bilans obejmuje nie tylko przynależność środowiskową, gdzie oczywiście stoczniovcy mieli szczególne fory, czy zdecydowanie w otwartym głoszeniu poglądów, ale także, czasem przede wszystkim — sposób zachowania podczas podjętej głodówki, umiejętność argumentacji w rozmowach z przedstawicielami komendy obozu, śmiałość wyrażającą się w niepopularnym przeciez

analizowaniu własnych błędów i obnażaniu demagogicznych postaw, mało przydatnych w naszych warunkach.

Ale to chyba tak już jest — innych cech charakteru wymaga okres walki, innych „szara godzina”, innych jeszcze czas sumowania doświadczeń i projektowania w przyszłość.

Teraz widać, że stosunkowo mocny duch samorządności był charakterystyczny w ogóle dla Gdańska. Tutaj nie było akcji tak skoordynowanych, jak w innych regionach, gdzie często całość działała na hasło z centrali związkowej. Dlatego też pewnie było stosunkowo mniej błędów i przegięć w okresie trwania „Solidarności” i dlatego też Gdańsk był traktowany przez władze jako najgroźniejsze „źródło zarazy”...

26 kwietnia, poniedziałek

Trwa wielkie polowanie na podpisywanie „lojalek”. Jest to ostatnia próba, którą podejmuje kapitan Maciuk przed zapowiedzianymi zwolnieniami dużej grupy osób. Dlatego też uznał, że podanie do wiadomości tej informacji bez załączenia listy zwolnionych stworzy układ, w którym ludzie „zmiękną”, tym bardziej, że niektórzy liczyli na zwolnienie już od miesiąca.

Zwolnienia z obozu oczywiście związane są z 1 maja i miałyby odbyć się z pełnym szpanem, tzn. z udziałem dziennikarzy z prasy, radia i telewizji. Komenda poszukuje chętnego do powiedzenia w imieniu zwalnianych paru słów do kamery. Tekst „lojalki” proponowany do podpisu tym razem brzmi:

„Oświadczam niniejszym, co potwierdzam własnoręcznym podpisem, że zobowiązuję się ściśle przestrzegać obowiązującego porządku prawnego, a w szczególności nie podejmować jakiegokolwiek działalności szkodliwej dla Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”.

Przypuszczamy, że WRON musi mieć dla opinii publicznej prezent w postaci pewnej porcji zwolnionych i chwyt z podpisem jest tylko jej łabędzim śpiewem. Uświadamiamy to kolegom wzywanych na rozmowy.

Spodziewając się telewizyjnego *show* przy wychodzeniu z obozu, zorganizowaliśmy w świetlicy zebranie, na którym koledzy dysponujący doświadczeniem uświadomili wszystkim, że istnieje jeszcze prawo do własnej twarzy i telewizja będzie działała bezprawnie, jeśli podstępem spróbuje przeprowadzić reportaż. Radzimy wspólnie, jak spławić ewentualnych „reporterów” nasłanych nam na kark przez ubecję.

Wczoraj, parę minut po ósmej, przyjechała cała ekipa ubecko-telewizyjna. Ci co byli na spacerze zaraz przerwali go, aby nie dawać telewizji możliwości zrobienia jakichś specjalnych ujęć. Już po chwili zaczęto wywoływać poszczególnych kolegów do sali widzeń. Uznano przy tym, że dostatecznie zatęsknili za wolnością, że chętnie przystaną na propozycję wystąpienia przed kamerami w momencie, gdy przedstawiciel Komendy Wojewódzkiej MO będzie uroczyście wręczał dokumenty zdejmujące nakazy internowania. Stąd zaskoczeniem dla nich była decyzja kolegów powrotu do cel. Również pozostali odmówili pójścia na to spotkanie. Zaczęło się bieganie i namawianie na pójście na tę „uroczystość”. Stanowczy opór kolegów spowodował wreszcie, że usunięto ekipę telewizyjną z terenu obozu, ale i tak większość nie poszła po odbiór aktów zwolnienia. Wychodzili z założenia, że jeśli w nocy, często bardzo brutalnie, wyciągano z domów, to teraz nie ma powodów, aby świętować wyjście. Po pawilonie pierwszym biegł w kółko telewizyjny redaktor z gdańskiego ośrodka, z urody tzw. łysy blondyn bredzący coś o „prawdzie tej chwili”, którą chciałby uchwycić. Pytano go, gdzie był, kiedy nas brano i dlaczego teraz nagle zatęsknił za prawdą. Był jak rzep, zupełnie pozbawiony godności i ambicji w swojej namolności. Nazywa się Dziedzic. Równocześnie w towarzystwie kapitana Biegają chodziła po celach Aleksandra Chomicka, dziennikarka z *Wieczoru Wybrzeża*, która nagle w czasie wojny awansowana została na reporterkę — przedtem pisywała michałki w dziale miejskim. I ona molestowała o udzielenie jej choćby krótkich parozdaniowych wypowiedzi internowanych. Ją także spytano, dlaczego tak późno zainteresowała się problemem internowanych. Wczoraj w czasie widzeń dowiedzieliśmy się, że również redaktorka z radia Lidia Dąbrowska zabiega o rozmowę ze studentami mającymi opuścić Strzebielinę. Było coś niezwykłego w tym, że młodzi ludzie, prawie nasi rówieśnicy, pracujący w ośrodkach masowego przekazu, aż tak pozbawieni są taktu i wyczucia sytuacji i że dzieli nas cała przepaść w ocenie moralnej tego, co my przeżywamy, a co dla nich jest tylko wypełnieniem polecenia przekazanego ich zwierzchnikom na sygnał z komendy milicyjnej.

Wczoraj zwalniano z obozu, dziś doszły jeszcze zwolnienia ze szpitala w Wejherowie. Ogółem wyszło 47 osób, pozostało nas 102. Redaktor, którego spławiono, podał jednak w lokalnej audycji telewizyjnej informację, że w Strzebielinie pozostało 68 osób. Pominięto w ten sposób całą grupę potuliczan, pozostającą

cych, jak i my, na stanie obozu. Wśród zwolnionych znaleźli się m.in. dwaj uczniowie szkół ponadpodstawowych, jeden student PG, paru przewodniczących komisji zakładowych „Solidarności” z Trójmiasta i województwa toruńskiego, dwóch członków prezydium Zarządu Regionu gdańskiego, trzech pracowników etatowych z regionu. W tym czasie ze szpitala wypuszczono Teodora Herrę, który miał podobno już decyzję na przeniesienie go do obozu w DarłóWKu i tylko ostry sprzeciw lekarzy obawiających się nawrotów zapaści sercowych uchronił go od tego. Był to jeden z wielu przypadków rozgrywek personalnych; pan Herra był poważnym kandydatem załogi należącej do „Solidarności” na stanowisko dyrektora bazy kontenerowej w Gdyni, przy tym znanym i cenionym fachowcem w branży shippingowej, mającym duży autorytet w swoim środowisku zawodowym. Zwolniono także dr. Włodzimierza Misiewicza — „mecenasa”, jak nazwaliśmy go w obozie — autora wielu opracowań prawnych związanych z funkcjonowaniem Związku. Już w czasie internowania otrzymał ministerialną nagrodę za jedną z ostatnich swoich publikacji naukowych. W swojej karierze był niegdyś prezesem sądu powiatowego w pobliskim Lęborku, gdzie nie dość gorliwie podporządkowywał się naciskom milicji, a ostatnio był przewodniczącym samorządu pracowniczego w Instytucie Morskim w Gdańsku.

Analizując klucz zwalniań, poza grupą chorych, widoczny był trend do wypuszczania reprezentantów środowisk robotniczych, w tym nawet członków władz regionalnych. W czasie rozmów kapitan Maciuk wyraził się do kogoś, że woli zwalniać robotnika, który wróci do roboty niż inteligenta, który zacznie coś pisać, mącić i będzie z niego więcej szkody niż pożytku. Zwolniono więc Zbyszka Lisa, znanego jeszcze z okresu strajku w stoczni oraz Henryka Łapińskiego, członka stoczniowej komisji „Solidarności”.

W skali kraju zwolniono 800 internowanych, a 200 ma tzw. urlopy. W liczbie uwolnionych znalazł się Jan Kułaj, przewodniczący OKZ NSZZ „Solidarność” i naprawdę, po obejrzeniu jego wywiadu w telewizji, nie wiemy co o tym sądzić. Wygląda na to, że sprawdziły się pogłoski o jego słabej odporności psychicznej i małym doświadczeniu politycznym. Kułaj, będący symbolem organizującej się wsi, dziś jest już nikim.

Podczas gdy część naszych wychodzi, w Gdańsku młodzież angażująca się w obronie „Solidarności” jest przedmiotem ataków SB. Ogłoszono w prasie wyrok na 17-letnią Annę Stawicką, uczennicę VI liceum ogólnokształcącego — 3 lata więzienia.

Nasi studenci z Niezależnego Zrzeszenia Studentów już po raz któryś przygotowani byli do wyjścia. Tym razem przyjechała

po nich ich prorektor d/s studenckich Irena Sankiewicz. Oka-  
zało się, że wprowadzono ją w błąd — Maciuk w rozmowie  
stwierdził, że nie jest zadowolony z postępów ich resocjalizacji:  
biorą udział w obozowych demonstracjach, palą świece w oknach  
cel, nie okazują skruchy.

### *3 maja, poniedziałek*

Za nami święto klasy robotniczej — 1 maja i rocznica Kon-  
stytucji 3 Maja. 1 maja odbyła się symboliczna uroczystość:  
uformowana w czwórki kolumna spacerujących na czele z Leonem  
Stobieckim, który niósł czerwone tulipany odbyła pomiędzy  
I a II pawilonem apel poległych, prowadzony przez Konrada  
Maruszczyka.

„— Was wzywam Robotnicy, którzyście polegli w pierwszej demonstracji  
w Chicago za wolność, godność, prawo do zrzeszania się i lepsze warunki życia  
— cześć ich pamięci!

— Was wzywam Robotnicy Poznania, którzyście polegli w czerwcu 1956  
roku — walcząc o więcej wolności i chleb — cześć ich pamięci!

— Was wzywam Robotnicy Wyrzeża, Gdańska, Gdyni, Elbląga i Szcze-  
cina, którzy daliście swe życie w 1970 roku walcząc o lepsze warunki życia  
i nowy kształt związków zawodowych — cześć ich pamięci!

— Was wzywam Górnicy z Katowic, którzyście w grudniu 1981 roku  
polegli z rąk milicji w obronie własnej organizacji NSZZ „Solidarność”, w  
obronie swych niezbywalnych praw, w obronie wolności i demokracji — cześć  
ich pamięci!

— Was wszystkich wzywam, którzy daliście swe życie, abyśmy mogli  
w naszym kraju żyć w wolności i godnie — cześć ich pamięci!”

Tekst apelu powtarzali zza krat koledzy, którzy nie zostali  
wypuszczeni na spacer z I i II pawilonu; 100-osobowy chór  
powtarzający na zakończenie każdego wezwania „cześć ich pa-  
mięci” robił wielkie wrażenie — na nas samych uczestniczących  
w apelu, a także, co było widoczne — na funkcjonariuszach wię-  
ziennych, którzy jakby skurczyli się, uświadamiając sobie potęgę  
idei, którą wyrażaliśmy. Po odczytaniu tekstu nastąpiła minuta  
ciszy. Na zakończenie odśpiewaliśmy hymn narodowy i rozeszliś-  
my się w powadze do cel.

Dziś w rocznicę 3 Maja odbyła się specjalna msza św., a  
w południe odśpiewaliśmy wspólnie hymn narodowy oraz pieśni  
patriotyczno-religijne. Po południu w kaplicy odbył się wykład  
Antka Wręgi przedstawiający dzieje i znaczenie Konstytucji  
3 Maja.

W godzinach rannych pierwsze grupy spacerowe na dyżurce

klawiszowy pomiędzy I i II pawilonem wymalowały znak „V” i znak Polski Walczącej (P z kotwicą). Na wszystkich oknach cel pojawiły się małe plakaty okolicznościowe z orłem w koronie trzymającym w łapach rulon z Konstytucją 3 Maja i biało-czerwone flagi. Niektóre cele wystawiły kilkumetrowe, widoczne spoza murów więzienia maszty z flagami. Zagrała tu żyłka współzawodnictwa — która ceka zdoła wystawić wyższy maszt. Na III pawilonie jeden z „konstruktorów” wypalił maszt na 8 metrów w górę, zrobiony z listew stanowiących boazerię w świetlicy i połączonych ze sobą systemem przemyślanych powiązań. Dyżurujący klawiszowe wpadli w popłoch, gdy okazało się, że prawie na ich plecach wymalowano symbole ruchu oporu i nakazali więźniom ich wywabienie. Nie puszczało ani rozpuszczalnikiem, ani mydłem, kazano im więc w tym miejscu położyć świeży tynk. Po jego wyschnięciu znaki „cudownie” ujawniły się spod spodu. Tajemnica polegała na użyciu specjalnej mieszaniny pasty do butów, oleju i sadzy, przez kolegów mających niemałe doświadczenie w tym względzie.

Podobnie jak w dniu wczorajszym z flagą „Solidarności” wystawioną wysoko ponad murem z celi na pawilonie I walczył major, który kazał klawiszowi wejść na dach i złamać drzewce, dziś walczył kapitan Maciuk: zerwał ze ściany jedną z cel flagę z białym orłem. Gdy ją trzymał, jeden z kolegów wyrwał mu ją z ręki. Maciuka z początku „zamurowało”, potem zaś zaczął wykrzykiwać, że jest to napaść na funkcjonariusza i że postara się wszystkich z celi wysłać do obozu o obostrzonym regulaminie. Chłopcy z celi popatrzyli po sobie — pytając się nawzajem — czy ktoś coś zauważył? Maciuk popełnił regulaminowy błąd — był sam. Musiał zadowolić się trzaśnięciem drzwiami. W komendzie obozu odczuwalne napięcie — rocznicowe obchody przeszyły ich wyobrażenia. Major grozi uczestnikom „zajść” wywiezieniem do innych, surowszych obozów.

Myśląc nad znaczeniem Konstytucji 3 Maja wertując sprawdzone do obozu numery ostatnich sprzed stanu wojennego tygodników. W *Życiu Literackim* z początków grudnia 1981 roku przedruk fragmentu wywiadu z prof. Henrykiem Samsonowiczem, dziś już usuniętym ze stanowiska rektora UW:

„— Konstytucja 3 Maja funkcjonowała dokładnie rok i dwa miesiące. Upadła, lecz, po pierwsze, proszę sobie uzmysłowić, jaką olbrzymią rolę odegrała — nie w ciągu tego roku, bo wtedy niewiele dało się zmienić, ale w ciągu następnych dziesięcioleci, kiedy przecież dawała wiarę i siłę, kształtowała psychikę narodu, pozwoliła przetrwać 150 lat niewoli. Po drugie — Konstytucja 3 Maja, która zmieniła ustrój bardzo zły i bardzo nie na czasie,

mimo, że została obalona siłą — tak dalece unaoczniała pewne sprawy, że nowe konstytucje grodzieńskie musiały niektóre idee tejże konstytucji przyjąć, choć były jej zaprzeczeniem. Słowem — nie ma odwrotu od pewnych zjawisk i pewnych rzeczy...”.

A jak będzie z „Solidarnością”?

Przed chwilą wróciłem z drugiego wieczornego wydania dziennika telewizyjnego. Żałośnie wygląda „porozumienie” narodowe. Z jednej strony liczne demonstracje w wielu miastach, zwłaszcza w Warszawie i Gdańsku, będące wyrazem postawy społeczeństwa, a z drugiej posiedzenie sejmu, określane jako historyczne. Sugeruje się porównania z posiedzeniem w dniu 3 maja 1791, na którym uchwalono najślynniejszą Konstytucję. Schemat propagandowego ujęcia zdaje się zamykać w przeciwieństwie: obecnie obradujący sejm, „reprezentant” woli narodu, udzielił całkowitego poparcia rządowi, który wystąpił w roli męczennika sprawy... „porozumienia”. To „porozumienie” zostało zerwane przez społeczeństwo, które uległo motłochowi i nie posłuchało władzy tyle dla niego robiącej. Władza nie ma więc żadnego wyboru jak tylko wyeliminować wszystkich przeciwników „porozumienia” narodowego. Z jednej więc strony szantaż i groźby, a z drugiej, szczególnie z wystąpienia Rakowskiego na posiedzeniu sejmowym, dało się odczytać próby pozyskania młodzieży, świata nauki i kultury. Zachęcał do działania i do nieuciekania w „emigrację wewnętrzną”. Tylko że zakres tych działań nie może być wyznaczony przez samych zainteresowanych, ale przez władze!

Dzisiaj przywieziono kolejną grupę internowanych (2 reinternowanych ze Słupska i 4 studentów I i II roku Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni). Widać przygotowania do przyjęcia w obozie następnych transportów. Przypuszczamy, że tym razem będą to osoby, które uczestniczyły w manifestacjach 1 i 3 maja. Od nich też dostaniemy bezpośredni opis wydarzeń.

*4 maja, wtorek*

Przybywa nam informacji o przebiegu wydarzeń w Trójmieście. Napływają relacje uczestników 1-majowych uroczystości w Gdańsku. „Chciecie pochód — macie pochód”! — brzmiało hasło demonstrujących. Nawet nie wiedząc tego byliśmy pewni, że w Gdańsku coś będzie, że ludzie nie zawiodą. Byli w Gdańsku, przechodząc własnym pochodem przed gmachami reżimowych władz — zabrali im wiszące sztandary polskie, jakby chcieli pokazać, że te barwy są naszą własnością, narodu — nie ich. Pochód



dotarł pod dom Lecha na Zaspę. A więc nie byliśmy sami w ten dzień w trakcie naszego apelu poległych w Strzebielinku.

Dramatyczny przebieg miały wydarzenia w gdańskiej Bazylice Mariackiej, podczas uroczystego nabożeństwa w rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Już około godziny 16.00 ludzi udających się spokojnie na Stare Miasto rozpedzały patrole ZOMO, nie dopuszczając do kościoła. Mimo tych szykan, stosowania gazów łzawiących i petard, bazylika przed godziną 18.00 była pełna, zaś przy 4 otwartych bramach zgromadził się kilkudziesięcny tłum, dla którego brakło miejsca w środku. Ten właśnie tłum stał się obiektem ataków. Po kazaniu milicja rozpoczęła bezpośredni ostrzał petardami ludzi w bramach bazyliki. Plac przykościelny wypełniły gęste dymy. Przez otwarte drzwi ZOMO oddało dwa strzały z zapalających petard, które przeleciały tuż obok głowy odprawiającego mszę księdza kanonika Wiesława Lauera, kancelarza Kurii Biskupiej w Gdańsku. Petarda wylądowała w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej, przebijając wiszący tam narodowy sztandar. W bazylice powstała panika, opanowana przez proboszcza Stanisława Bogdanowicza. Po chwili języki ognia ukazały się na chórze, przy rekonstruowanych organach. Ogień ugaszono przy pomocy gaśnic. W tym czasie do zakrystii zaczęto wносить rannych. Stwierdzono m.in. urwanie 2 palców ręki u kilkunastoletniego chłopca ostrzelanego petardą oraz podejrzenie zawału serca. W sumie udzielono pomocy medycznej kilkunastu osobom.

Po mszy św. na wychodzących posypały się strzały z miotaczy gazów, petard i armatek wodnych. Rozkawałkowany tłum miotał się w wąskich ulicach Starego Miasta, przepędzany przez ZOMO, często brany w dwa ognie. Ludzie chronili się do okolicznych, przypadkowych domów i mieszkań, nawet i tam będąc atakowanymi strzałami w okna. Milicja zatrzymała kilkaset osób.

Dzisiaj sensacją wejherowskiego szpitala była wizyta u naszych kolegów Danuty Wałęsowej, której towarzyszyła Anna Kowalczykowa, sekretarka Lecha. Akurat w tym czasie było kilku od nas na badaniach. Przywieźli sporo nowych wiadomości. Każdy chce się dowiedzieć nowych szczegółów, stale ktoś ich o coś pyta.

*5 maja, środa*

W ramach naszego obozowego uniwersytetu przewidzianych jest na miesiąc maj 15 wykładów, które będą się odbywały w

kaplicy w poniedziałki, wtorki, czwartki i piątki, na dwie godziny przed wieczornym apelem (o 17.30). Tematy: prawo pracy (dr L. Kaczyński), katolicka nauka społeczna (mgr J. Bartczak), rozwój polskiej myśli politycznej w XIX i XX wieku (mgr A. Jarmakowski), Ojciec Święty — Jan Paweł II (dr A. Drzycimski), Prymas Tysiąclecia — Stefan kardynał Wyszyński (mgr J. Bartczak), sztuka sakralna (mgr A. Szymkowski), astrofizyka (doc. dr A. Stawikowski). Niektóre z tych tematów przygotowane zostały jako zagadnienia przedstawiane w większym cyklu, inne związane są ze smutnymi rocznicami — zamachem na życie Ojca Świętego i śmiercią Prymasa. Równocześnie kontynuowany ma być cykl dyskusji, w których poddawać się będzie ocenie samą „Solidarność”, jak i poszczególne jej nurty polityczne.

Znowu przywieziono 4 nowych z Trójmiasta: studenta z WSM w Gdyni, docenta z Politechniki Gdańskiej, artystę plastyka i kapitana żeglugi wielkiej oraz 5 reinternowanych z Torunia. Nie są to jeszcze ludzie z majowych łapanek, gdyż zatrzymano ich w ostatnich dniach kwietnia. Wszyscy z Trójmiasta mają — podobnie jak czwórka studentów przywiezionych przedwczoraj — nowy wpis do decyzji o internowaniu: „podejmuje działalność wspierającą działające w konspiracji nielegalne grupy przestępcze”. Nowi nasi koledzy nie znajdowali się na pierwotnych listach proskrypcyjnych.

W obozie jest nas już — 117.

### *6 maja, czwartek*

Docierają pełniejsze wiadomości o tym jak przebiegały ideologiczne pacyfikacje w poszczególnych środowiskach Gdańska. Obok frontu walki bezpośredniej, ze stoczniovcami, których „weryfikowano” kilkakrotnie, począwszy od akcji w historycznej hali „Olivia” — inne, może cichsze, ale o wiele głębsze zabiegi podejmowano w środowisku ludzi piszących, wśród radiowców i w telewizji.

Z podejmowanych działań wynikało, że WRON-a zaatakowała w pierwszym rzędzie i w sposób szczególnie brutalny symbole „Solidarności”. Akcję wydawania przepustek do pracy w stoczni urządzono na przykład w hali, gdzie przebiegał pierwszy krajowy zjazd „Solidarności”, by „odczarować” kolejne miejsce pełne symbolicznych znaczeń dla społeczeństwa Trójmiasta. Największe ofiary poniósł umiarkowany i cieszący się coraz większym uzna-

niem czytelnika gdański tygodnik *Czas*, partyjny dziennik *Głos Wybrzeża* i lokalny ośrodek telewizji, nieco mniejsze cięcia miały miejsce w lokalnej rozgłośni Polskiego Radia.

Pełnomocnikiem WRON d/s gdańskiego środowiska dziennikarskiego został niejaki komandor Franciszek Czerski, którego żona w latach 50-tych była kadrową w krakowskim wydawnictwie prasowym. Co oznaczało być kadrową w tych czasach — nie trzeba przypominać. Nadal pozostawał w środowisku dziennikarskim, pracując w redakcji *Dziennika Bałtyckiego*. Jak widać, doborów dokonywano według starych dobrych ubeckich wzorów, najskuteczniejszych w czasach przemian. Komandor Czerski vel Krawiec — jak nazywał się w latach 50-tych, kiedy to jako ławnik brał udział w krwawych procesach wytoczonych grupie wyższych oficerów marynarki wojennej, zakończonych wyrokami śmierci i karami długoletniego więzienia, które przeżyli tylko nieliczni, zrehabilitowani w wyniku popaździernikowych przemian — otóż ten to komandor Krawiec-Czerski otrzymał pełnię władzy nad nieposłusznym środowiskiem dziennikarskim. Korzystał z niej bez żenady, głośno wygrażając, że wykończy wszystkich, którzy narazili się w okresie poprzedzającym, angażując się w proces posierpniowych przemian. I to nie tylko tych, którzy opowiedzieli się za „Solidarnością”, ale także działających w ramach Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich na rzecz budowy samorządnych struktur w środowisku dziennikarskim, mających chronić je przed manipulacjami kolejnych ekip politycznych decydentów.

W wyniku tzw. weryfikacji zespołu redakcji *Czas*, przeprowadzonej przez nieznanego nikomu ludzi — tygodnik ten uległ rozwiązaniu. Ogółem objęto zakazem pracy w wydawnictwie RSW Prasa, w prasie partyjnej, zwolniono z pracy w radiu i telewizji oraz pozbawiono prawa pełnienia funkcji kierowniczych 90 dziennikarzy gdańskich. W liczbie tej znaleźli się także operatorzy i technicy zatrudnieni w komitecie d/s radia i telewizji. W proporcjach krajowych, gdzie w skali kraju zwolniono, jak się mówi, około 500 dziennikarzy — był to odsetek największy, gdyż na 300 osób czynnych zawodowo w gdańskim dziennikarstwie — ucierpiała prawie 1/3. W trakcie weryfikacji miały miejsce kuriozalne zdarzenia i argumentacje. Przykładem może być weryfikacja w telewizji gdańskiej, gdzie przesłuchujący delikwentów niejaki redaktor Bielecki z telewizji warszawskiej wmawiał przesłuchiwanym pracownikom techniki, że montując filmy z dziennikarzami należącymi do „Solidarności” uczestniczyli w przestępczym procederze, przypominającym mu osobiście montowanie

przez zbrodniarzy hitlerowskich pieców krematoryjnych w Oświęcimiu (sic!). Tak partia i WRON rozprawiły się ze środowiskiem, które podjęło w Sierpniu 1980 wobec robotników zobowiązanie obiektywnego naświetlania wydarzeń i prezentowania robotniczego punktu widzenia. Chwydami z rewolucji kulturalnej w Chinach rodem były inicjatywy przekazywania na przemiał wydawnictw związanych ze Związkiem. Jak nam przekazano — w Łodzi przeznaczono do zniszczenia cały wydrukowany nakład albumu fotograficznego ze strajku.

Na opróżnione przez wyrzuconych z redakcji dziennikarzy miejsca junta ogłosiła nowy zaciąg, stawiając na czele redakcji posłusznych sobie wykonawców lub zdeklarowanych ubeków. Jak zwykle w czasach zamętu ujawniają się nowi, zapoznani publiczności, młodzi ludzie ożywieni chęcią kariery za wszelką cenę lub zbałamuceni perspektywami „pracy organicznej”; kolejny zastęp tych, którym się wydaje, że będą mogli uprawiając ten zawód zachować prawo do osobistej wypowiedzi, lub takich, którym w ogóle nie mają takich ambicji.

### *8 maja, sobota*

Ostatnio z kręgów zbliżonych do episkopatu oraz sejmu dotarły do nas informacje świadczące o wahaniach władz i braku długofalowej koncepcji rozładowania wewnętrznego napięcia politycznego. W nocy, pierwszego dnia wojny, władze chciały poprzez Kazimierza Barcikowskiego z Politbiura rozmawiać z prymasem Józefem Glempem; odesłał ich do rana. Rano poinformowano go o wprowadzeniu stanu wojennego oraz, że będą prowadzone rozmowy z Lechem Wałęsą. Faktycznie był zamiar prowadzenia z nim rozmów, gdyż w tym duchu zabierano go z domu. W takim też tonie był utrzymany oficjalny komunikat. Szybko jednak sprawa upadła, gdy na rozmowy przysłani zostali podrzędni urzędnicy. Ten etap skończył się po spacyfikowaniu kopalń na Śląsku. Kolejną próbę rozładowania napięcia podjęły władze w okresie wprowadzanych podwyżek (luty). Wówczas zaproponowały Kościołowi utworzenie chrześcijańskich związków zawodowych, które funkcjonowałyby obok związków pozostających pod kontrolą partii. W skrócie określano to jako podział na „żółtych” i „czerwonych”. Kościół zdecydowanie odrzucił tę propozycję jako uderzającą w istniejącą „Solidarność”. Etap trzeci rozpoczął się w ostatnim czasie rozmowami na najwyższym szczeblu: Glemp — Jaruzelski. Do tej pory nie mamy większych

„przecieków” z tych spotkań jak i z rozmów ze Stolicą Apostolską. Można jedynie wnioskować, że prymas zdecydowanie podtrzymuje stanowisko episkopatu w sprawach internowanych i walczy o reaktywowanie „Solidarności”, natomiast WRON-a łudzi jakimiś złagodzeniami stanu wojennego i zwolnieniem chociażby części internowanych. W ten sposób pragnie ona powstrzymać papieża przed dalszym angażowaniem się w sprawy polskie. Prawdopodobnie chce także uzyskać za pośrednictwem Watykanu nowe pożyczki, a na stare dostać prolongatę.

Uspokojeniu społecznemu a także światowej opinii publicznej służy stale powtarzany komunikat o wprowadzonych od 2 maja złagodzeniach rygorów stanu wojennego. Warto odnotować jego omówienie z najnowszej *Polityki* (nr 12 z 8. V. 1982):

„Komunikat MSW informuje m.in. o zwolnieniu 800 internowanych i warunkowym urlopowaniu 200 osób z miejsc odosobnienia; o decyzji zniesienia godziny milicyjnej na obszarze całego kraju; o zniesieniu obowiązku uzyskiwania zezwoleń na zwoływanie i odbywanie niektórych zgromadzeń, zebrań, konferencji, szkoleń i zbiorowych wycieczek; o zniesieniu ograniczeń ruchu granicznego na przejściach w Pietrowicach, Głucholazach, Łysej Polanie i Piwnicznej. Od 10 maja zostanie uruchomiona międzywojewódzka automatyczna łączność telefoniczna w całym kraju. *Życie Warszawy* podało pierwsze informacje o zwalnianych z internowania. Jest wśród nich m.in. 351 robotników, 24 rolników, 367 osób ze środowiska inteligenckiego, w tym 31 pracowników naukowych, 1 aktorka, 2 literatów, 35 studentów, 64 kobiety (jedna trzecia ogółu internowanych kobiet), 154 etatowych działaczy „Solidarności”. Zwolniono m.in. aktorkę Halinę Mikołajską, doc. Romana Żimanda z Instytutu Badań Literackich PAN, Ryszarda Rubinsztejna i Mariana Srebrnego z Instytutu Matematyki PAN, doc. Jerzego Holzera z Wydz. Historii Uniwersytetu Warszawskiego, Lothara Herbsta — prezesa Oddziału Wrocławskiego Związku Literatów Polskich, Aleksandra Małachowskiego — publicystę, doc. Halinę Suwałę z Uniwersytetu Warszawskiego i historyka Władysława Bartoszewskiego. Urlopowani zostali m.in. pisarze Wiktor Woroszyński i Adam Macedoński. Zwolniony został również przewodniczący NSZZ RI 'Solidarność' Jan Kułaj, który po spotkaniu z prezesem NK ZSL, wicepremierem Romanem Malinowskim wystąpił w dzienniku tv, wyrażając m.in. zamiar aktywnego uczestnictwa w działalności Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego”.



U nas w dalszym ciągu trwa „zaciąg” do obozu; przywożą nowych. Jednocześnie klawisze podają informacje „z pewnego źródła”, że w najbliższych dniach wyjdzie 10-ciu. Wydaje mi się, że o tej wypustce mówiło się jeszcze przed 1 i 3 majem; władzom wydawało się, że społeczeństwo zostało już spacyfikowane i zrezygnowało z wszelkiego dopominania się o swoje

prawa. Rozładować też napięcia miał komunikat o zapowiadanych sukcesywnych zwolnieniach. Teraz władza będzie chciała pokazać swoją twardą rękę i powstrzyma zapowiadane zwolnienia internowanych.

*9 maja, niedziela*

Późnym popołudniem przyjechał do nas biskup nominat Edmund Piszcz. Przy okazji doszło do zabawnej sytuacji, gdyż kapelana przywozi za każdym razem Maciuk i tym razem chciał, wypełniając swój obowiązek służbowy, dowieźć biskupa do obozu. Ten jednak zjawił się w obozie, nie czekając na niego. Dopiero po chwili dojechał wściekły Maciuk, bo stale podkreśla, że bez jego zgody nie może przebywać w obozie żaden ksiądz. Kpt. Maciuk nie byłby ubekiem, gdyby w czymś nie próbował przeszkodzić. W rozmowie z biskupem przekazał, że muszą być odprawione dwie msze św., osobna dla każdego pawilonu. Była to dziwna decyzja, gdyż już od pewnego czasu odbywała się jedna msza św. dla całego obozu. Specjalna interwencja grupy kolegów pozwoliła na powrót do naszych wcześniejszych ustaleń. Zależało nam bowiem, abyśmy byli wszyscy razem, gdyż w trakcie mszy św. bp Piszcz miał poświęcić obraz Madonny Strzebielińskiej, namalowany przez plastyka Antka Szymkowskiego z Torunia. Była to udana kopia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, którą autor przeznaczył dla kościoła mariackiego w Toruniu. Obraz umieszczony został w dużych, prostych ramach, na których wypisano słowa, będące symbolami walki wielu pokoleń Polaków, u góry: wiara, nadzieja, miłość; u dołu: prawda, godność, równość. Na bocznych ramach, na kawałkach drutu kolczastego umieszczone zostały maleńkie biało-czerwone flagi. Wraz z obrazem torunianie przekazali na ręce biskupa posłanie do mieszkańców miasta z prośbą o ewentualne odczytanie w tamtejszych kościołach. Obraz jednak pozostał w naszej kaplicy, gdyż zdaniem biskupa tutaj, dopóki przebywamy, jest on swoistym symbolem, wyrosłym — podobnie jak już stojący krzyż — z naszej wiary. Uważał przy tym, że może dojść do niepotrzebnych sporów z Maciukiem, który jeszcze w styczniu zakwestionował obraz narysowany w obozie a dedykowany bp Lechowi Kaczmarkowi.

Po mszy św. — jak zwykle rozmowy z naszymi gośćmi. Widać z nich wyraźnie, że Kościół przewiduje dalsze zaostrzenie się sytuacji. Nie wyklucza się nawet represji wobec duchowieństwa.

Podobno są przygotowane w całym kraju listy księży, których władze zamierzają internować. Nie wyklucza się, że demonstracje 3 maja były częściowo sprowokowane. Potwierdzałoby to nasze przypuszczenia, które zrodziły się w trakcie oglądania przed paroma dniami parominutowego filmu w lokalnym programie gdańskiej telewizji. Wówczas wydawał się nam bardzo podejrzany zapalczywy facet, na którym skupiała swoją uwagę kamera. Do niego podszedł, w obecności wielkiego tłumu, milicjant i odprowadził go na stronę. Oczywiście spowodowało to ruszenie się zgromadzonych pod pomnikiem Sobieskiego. Wydaje się prawdą, że władze szukają w Watykanie pewnego rodzaju poręczenia naszych długów. Są to zabiegi jakby na drugim planie, gdyż właściwie najważniejsze jest to, czy Ojciec Święty przyjedzie w tym roku do swej Ojczyzny. W ostatnich wypowiedziach wyraźnie powiedział, że chce odwiedzić Polskę na jubileusz 600-lecia obecności obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej na Jasnej Górze w sierpniu bież. roku. Władze jednak zwlekają z jednoznaczną odpowiedzią, sugerując, że wizyta powinna odbyć się „w korzystniejszych warunkach politycznych”. Tylko dla kogo będą one korzystne? Obecne działania władz świadczą wyraźnie o zwycięstwie nurtu konfrontacyjnego, równocześnie podziemna „Solidarność” zapowiedziała krótki strajk. Mówi się, że nacisk dołów na podziemne kierownictwo „Solidarności” jest tak duży, iż grozi powstaniem nieskoordynowanych działań, łatwych do stłumienia.

### *13 maja, czwartek*

Wczoraj wieczorem dobiła do obozu kolejna porcja „nowych”. Po kwarantannie na komisariatach milicyjnych, począwszy od zatrzymań w dniu 1 i 3 maja, dopiero wczoraj dotarli do nas. Przywieziono ich z Grudziądza, Torunia, Gdyni i Gdańska. Witaliśmy ich uroczyście, łącznie z graną na adapterze pieśnią „Aby Polska była Polską”. Mówi się, że to nie koniec i przygotowywane są miejsca na następnych kilkadziesiąt osób. Zamieszanie, jak zwykle zamierzone, powoduje fakt, że wśród nowoprzybyłych jest sporo ludzi z tzw. marginesu i nie wiemy, jak ich traktować. Obowiązuje zasada udzielania pomocy typu „socjalnego” z naszej strony, ale bez wtajemniczania ich w nasze sprawy.

Dziś w nocy waleniem w drzwi przypomnieliśmy że upłynął kolejny miesiąc naszego internowania.

Stan obozu — 156 internowanych.

17 maja, poniedziałek

Odbyły się zapowiedziane wcześniej dwa wykłady: oficjalny — w kaplicy, a potem drugi na pierwszym pawilonie, w celi „toruńczyków”. O działalności i tworzeniu Wolnych Związków Zawodowych w Gdańsku mówił jeden z ich założycieli, Krzysztof Wyszkowski.

Wśród czterech nowych przywiezionych dziś aż dwóch znalazło się tutaj za fotografowanie demonstracji ulicznych. Zidentyfikowano ich przy pomocy tej samej broni: byli widoczni na zdjęciach policyjnych z aparatami fotograficznymi. Trwa konkurencja — kto kogo sfotografuje. Na razie konsekwencje ponoszą tylko ci, których sfotografowali tajniacy. Może kiedyś wyrównamy ten rachunek wzajemnego rozpoznawania się na zdjęciach...

Major w rozmowie w celi 17 puścił farbę o przewidywanych na czerwiec dużych zwolnieniach. Potwierdza się niestety informacja o ponownym internowaniu, tym razem w obozie w Hławie, naszego „małolata”, Artura Pisarskiego. Podobno oskarżono go o udział w demonstracjach 1 i 3 maja, podczas gdy faktycznie obawiająca się o niego matka przetrzymywała go w domu. Zabrano go z podwórka domu, gdzie grał w piłkę z kolegami.

20 maja, czwartek

Dwa dni trwała wizyta delegacji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, której towarzyszyli z polskiej strony przedstawiciele PCK i Ministerstwa Sprawiedliwości. Był to nowy skład, choć spodziewaliśmy się raczej odwiedzin ludzi znanych nam już z marcowego pobytu. Obaj przedstawiciele MCK, Szwajcarzy, byli wyraźnie bardziej spięci, niż ich poprzednicy. Jak się okazało, tamci mieli pewne kłopoty: zarzucano im zbyt daleko idącą ingerencję w sprawy tzw. wewnątrzobozowe oraz przekroczenie kompetencji określonych podczas ustaleń między MCK a WRON-ą. Stąd obecni, choć z niechęcią stażem i doświadczeniem (właśnie jeden z nich wrócił dopiero co z Salwadoru) — stale podkreślali, że ich kompetencje ograniczają się do spraw socjalno-bytowych i zdrowotnych. Delikatność układu polega na tym — jak mówili — że działając korzystają ze zgody reżimu pozwalającego na zagładanie w „najbrudniejsze” sprawy swego panowania. Rozumieliśmy to i ograniczyliśmy się do spraw, jakie nam zakreślili.

Prosimy nas także o przygotowanie kompletnej listy internowanych z uwzględnieniem takich danych jak nazwisko, imiona,



data urodzenia, miejsce urodzenia, data i miejsce internowania, adres, imiona obojga rodziców. Wyjaśnili nam, że wykaz ten posłuży do sporządzenia centralnej światowej kartoteki więźniów politycznych w Genewie i będzie przydatny jako ewidencja pozwalająca śledzić nasze losy, w przypadku mogącej nastąpić w przyszłości wywózki w „nieznane”, na przykład śladem naszych przodków. Świat widać nie zapomniał tego doświadczenia. Przy okazji niejako ustaliliśmy, że średnia wieku internowanych w Strzebielinku wynosi 31,5 roku. Podobną wizytę delegacja złożyła w szpitalu w Wejherowie, gdzie dokładnie zapoznała się z dokumentacją chorobową tam przebywających.

Począwszy od przełomu kwietnia-maja ukształtowała się tam jakby stała ekspozytura obozowa. Chorzy zakwalifikowani przez lekarzy do leczenia szpitalnego byli skupieni w zasadzie na jednym oddziale i pilnowani przez oddelegowanego klawisza, który urzędował na korytarzu w cywilu, z pistoletem pod marynarką. Mimo tej formalnej straży życie internowanych w szpitalu przebiegało według szpitalnego regulaminu, gdyż nie było warunków do izolowania na cywilnych oddziałach grupy przywiezionych ze Strzebielinka. Była to jaśniejsza karta okresu internowania. Lekarze, choć różnili się stosunkiem do „Solidarności” — nie brakowało wśród nich, szczególnie wśród pełniących funkcje kierownicze, członków partii — otoczyli naszych chorych troskliwą opieką. Wielu chorych odzyskało tam siły, przy okazji lecząc się z dolegliwości nabytych w czasie zimy w obozie.

Najistotniejszą sprawą była możliwość nieskrępowanych niczym poza regulaminem szpitalnym odwiedzin chorych. Dzięki stałej ekspozyturze wejherowskiej do obozu w Strzebielinku zaczęły napływać szerzej niż dotychczas materiały wydawnictw podziemnych, potrzebne książki, radia, lekarstwa, informacje. Możliwość skorzystania z leczenia szpitalnego w Wejherowie stała się realna od czasu wizyty MCK, którego raporty, choć nigdy nie dotarły do nas w żadnej formie, miały jednak swoje znaczenie, jak się okazało. Pewne złagodzenie traktowania nas w Strzebielinku, wyrażające się m.in. złuzowaniem oddziału ZOMO, w sprawach osób chorych przybrało formę zrezygnowania z hospitalizacji internowanych tylko w szpitalach więziennych. Przedtem chorych umieszczano w szpitalu więziennym na Kurkowej w Gdańsku, innym „proponowano” przewiezienie do szpitala więziennego w Fordonie koło Bydgoszczy, gdzie nikt z chorych nie chciał jechać ze względu na poważne utrudnienie dla rodziny w odwiedzinach i obowiązujący regulamin.

Wraz z pojawieniem się internowanych w szpitalu wejherow-

skim powstały w tym małym środowisku problemy z tym związane. Młodzi chłopcy zatrudnieni w szpitalnych służbach technicznych sygnalizowali internowanym, że są nakłanianiani przez ubecję do śledzenia i podsłuchiwania chorych, meldowania kto ich odwiedza oraz w razie odmowy straszeni kłopotami w pracy. Część chorych, podobnie jak w obozie, przypinała do szpitalnych szlafroków znaczki „Solidarności”, co powodowało kontrakcje ze strony szpitalnych nadgorliwców, wśród których był też miejscowy personalny. Z czasem, by opiekującym się internowanymi lekarzom nie stwarzać dodatkowych problemów, znaczki związkowe zastąpione zostały znacznikiem „Internowany”, opracowanym przez plastyczkę odwiedzającą tę grupę. W ogóle dzięki odwiedzinom pobyt w szpitalu miał charakter pół-wolnościowy, łącznie z możliwościami spacerów poza teren szpitalny do okolicznego lasu. Grupa chorych mogła też po wielu miesiącach przerwy widywać się w normalnych warunkach z dziećmi.

Stałym zwyczajem stały się odwiedziny wejherowskiego szpitala przez kolegów z pracy, grupę zaangażowanych w pomoc charytatywną aktorów gdańskich oraz studentów — przyjeżdżających również po zaliczenia potrzebne w trakcie zbliżającego się końca semestru do jednego z internowanych wykładowców Uniwersytetu Gdańskiego.

Grupę chorych odwiedziła też kilkakrotnie pani Danuta — żona Lecha Wałęsy — znajdując na to czas mimo własnej trudnej sytuacji i obowiązków rodzinnych. Dla obozu, gdzie docierały te informacje, łącznie z wiadomościami o Lechu — miało to duże znaczenie. Wejherowo było też jakby miejscem pielgrzymki dla kolegów zwolnionych z obozów. Uważali za swój obowiązek zainteresować się losem tych, którzy zostali jeszcze na posterunkach. Wśród odwiedzających byli dr Jan Strzelecki (zwolniony w grudniu ze Strzebielinka) i Alojzy Szablewski — po wyjściu z więzienia z wyrokiem w zawieszeniu. Nie zapomnieli o obowiązkach duszpasterskich księży z diecezji chełmińskiej wraz z nowo mianowanym biskupem Edmundem Piszczem czy księdzem Henrykiem Jankowskim z gdańskiej parafii stoczniowej św. Brygidy. Na co dzień i w niedzielę opiekę nad chorymi pełnił ksiądz Władysław Fidurski, kapelan szpitalny.

*22 maja, sobota*

Odbyła się druga część dyskusji o Wolnych Związkach Zawodowych prowadzona przez Wyszowskiego, z jego krytycznym i interesującym wykładem na ten temat.

Z notatek: związek WZZ z KOR-em zatrzymał — jego zdaniem — rozwój samej koncepcji związku zawodowego oraz jego organizacji. KOR bał się, że WZZ wytworzą wokół siebie trzecią siłę, poza władzą i opozycją. Chciał nimi sterować politycznie. Udało mu się to szybko i w dużej mierze zrealizować, przez co odcięto możliwość pluralistycznych, innych niż KOR-owskie wpływów politycznych na związki. Zaciążyło to później na „Solidarności”, która jako wielka masowa organizacja przejęła wszystkie wady małej opozycji. Opozycja zbyt gwałtownie pchała się do Związku, opanowywała jego agendy, wielokrotnie podkreślała atmosferę, przy czym nie zawsze chodziło o sprawy ogólne, ale często o jej własne interesy. W sytuacjach przełomowych jakie stworzył Sierpień 1980 roku powinna obowiązywać zasada, że należy być pokornym wobec krystalizujących się już samorzutnie w społeczeństwie tendencji do samodzielności. Trzeba było pozwolić mu wytworzyć własne struktury i reprezentantów, a nie pchać swoich ludzi na wszystkie eksponowane i propagandowe stanowiska. Po strajku sierpniowym — jego zdaniem — należało, po okresie nadania rytmu walce o Związek, usunąć się w cień. Takie zresztą podjęto w tym czasie zobowiązanie. Jednak opozycja polityczna za wszelką cenę chciała przejąć sterowanie Związkiem. Ona też doprowadziła do utworzenia 17 września 1980 roku jednego związku, a nie pozwoliła na naturalne wyrastanie ruchu związkowego z poszczególnych środowisk.

Ten fragment wykładu wydaje się zbyt jednostronny — przeciw wielość małych organizacji związkowych, nie powiązanych ze sobą i niezdolnych do skoordynowanych akcji, nie potrafiłaby doprowadzić do żadnych zmian oczekiwanych przez naród. To z dzisiejszej perspektywy jest chyba aż nadto jasne. Wielka „Solidarność” nie potrafiła zmienić jednego skorumpowanego wojewody czy sekretarza, co dopiero mała, regionalna lub zakładowa organizacja. Nie mówiąc już o próbie modernizacji systemu politycznego, znacznego ograniczenia powszechnego monopolu władzy politycznej, systemu nomenklatury, zwalczania podziału społeczeństwa na dwie kategorie obywateli, usunięcia upośledzenia wierzących itd.

Notatki, ciąg dalszy: — atak, jaki szedł na Wałęsę wydobywał głównie jego słabości, śmieszności w zachowaniu, pewną bufonadę i brak do końca sprecyzowanego programu działania. Zapomniano o najważniejszej sprawie, że nigdy nie przedłożył swojego interesu czy interesu swojej grupy, z której wyszedł, ponad interes ogólnospołeczny. I w tym tkwi jego wielkość wbrew wszelkim krytykom. Jest charakterystyczne, że za to samo kryty-

kowała go opozycja i władza. Widać wyraźnie, jak dla obu tych grup, choć z zupełnie innych powodów, stanowił on zagrożenie. Zakładał bowiem konieczność działań „na samym dole” — tworzenia tam kadr i to przez dłuższy czas, by dopiero potem startować do ogólniejszych działań. Dawało to szansę o wiele dłuższego żywotu Związkowi, niż te 16 miesięcy. Tym samym wiele spraw, których nie zdołano zrealizować, choćby wprowadzenie w życie nowego programu z przedmiotów humanistycznych i wychowanie młodego pokolenia — stałoby się faktem i pozwoliłoby przygotować społeczeństwo do nowego etapu. Podobnie ze sprawą samorządów, które utknęły w pół drogi.

Wykład Krzysztofa, choć tak drażniący kategorycznością niektórych ocen, miał niezaprzeczalny walor: wydobywał rzeczywiste słabości i mielizny minionego okresu działania, choć z pozycji *advocatus diaboli*. W dyskusji, która wybuchła po jego tezach, mówiliśmy o ogromnych problemach pierwszej fazy organizowania się Związku. Ciągłe jeszcze niepewne zmiany i przestraszone społeczeństwo wcale nie pchało się do pracy związkowej. Brakowało kadry. Ludzie o niekwestionowanych kwalifikacjach bali się, zupełnie po ludzku, nauczeni dotychczasowym doświadczeniem — angażować się, choć sercem byli za. W tej sytuacji pozostawało pole dla tych, którzy obawy te zdołali pokonać. Wystarczyło pokonanie bariery strachu, by stać się działaczem związkowym. Zakodowane w musztrowanym przez 35 lat społeczeństwie obawy niestety potwierdziły się. Władza nie zezwoliła na eksperyment, pokazała po raz kolejny, że umie karać niepokornych i lekcja demokracji związkowej nie dobiegła końca. Znow, gdy przyjdzie czas, trzeba będzie nadzwyczajnych predyspozycji psychicznych, by łamać w sobie większą jeszcze niż poprzednio barierę strachu. A więc „wina”, KOR-owców, czy innych nurtów opozycyjnych wygląda bardziej problematycznie niż w wykładzie. O wiele większą winę za niepowodzenie wielkiej polskiej nadziei ponosi władza. To od niej można było wymagać — jeśli chciała odegrać historyczną rolę — by stworzyła dokonującym się przemianom „parasol ochronny”, podjęła rzeczywisty dialog, ukazywała niebezpieczeństwa i obowiązujące ograniczenia polityczne. Podobne oczekiwania zgłaszały tzw. doły partyjne, a więc ten nurt świadomości Polaków przebiegał ponad podziałami politycznymi, stąd też był wielką obiektywną potrzebą narodu i trzeba było ślepoty i braku dobrej wiary, by zrujnować te oczekiwania. Być może jest tak, jak mówią niektórzy — że była to po prostu cyniczna gra, nie o polski interes narodowy.

Dyskusje te umożliwiło nam rozluźnienie regulaminu obozo-

wego. Mieliśmy otwarte wszystkie cele, a przejścia między pa-wilonami można było jakoś pokonać, załatwiając rzecz na szczeblu klawisza oddziałowego. Wywracało to stereotypy, rozbijało atmosferę getta, urozmaicało poglądy, powodowało większą samodzielność myślenia, na własny rachunek.

Mimo niemałych trudności ze zdefiniowaniem rozmaitych orientacji ideowych przenikających naszą wspólnotę — było parę zagadnień, które powodowały na tyle wyraźne postawy wobec nich, że umożliwiały pośrednio określenie poglądów samych dyskutujących. Takimi problemami, stanowiącymi „papierki lakmuse” był stosunek do spuścizny politycznej Polski okresu międzywojennego, z zagadnień współczesnych — poglądy na temat takich organizacji jak: Wolne Związki Zawodowe, KOR, Ruch Młodej Polski — ocena ich roli i wpływu na ukształtowanie się posierpniowych przemian. Wielu z nas w trakcie tych dyskusji dopiero odkrywało prawdziwy polityczny pluralizm, stanowiący dorobek okresu międzywojennego, a praktycznie wyeliminowany ze świadomości społecznej przez powojenne programy nauczania historii, zonglujące do znudzenia i ogłupienia kategoriami „bazy” i „nadbudowy”, dzielące na „wsteczne” to co przedwojenne i „postępowe” — to co dała władza ludowa. Kilkanaście miesięcy „Solidarności” zerwało milionom Polaków błonę z mózgu i przypomniało nasze polityczne rodowody. Trzeba przyznać, że wiedza na ten temat nie jest kompletna i gruntowna, raczej intuicyjnie wyczuwa się różnice w odcieniach postaw, przekonań, poglądów. Wspólną, niekwestionowaną płaszczyzną naszego porozumienia jest program wynikający z dorobku myśli społecznej Kościoła, zawarty w jego wielkich encyklikach, w jakiś szczególny sposób zderzony i zmieszany z doświadczeniami życia „w społeczeństwie budującym socjalizm”. Dopiero patrząc po sobie i słuchając się nawzajem widać wpływy dawniej istniejących szkół myślenia politycznego. Wyraźna jest grupa powołująca się na dorobek polskiej narodowej demokracji, z jej sztandaramową postacią Romanem Dmowskim. Jest paru legionistów, jakby żywcem wyjętych z albumu ze starymi fotografiami komendanta Piłsudskiego. Kłopot z tym, że i w kręgu nowej wojskowej władzy nie brak zwolenników „wzięcia za pysk” niesfornych obywateli. Dość liczna jest grupa zbliżająca się poglądami, nie tylko romantyką postaci do formacji socjaldemokratycznej przedwojennej Polski. Mamy też jednego „prawdziwego komunistę” który twierdzi, że ustrój komunistyczny w Polsce nie ma nic wspólnego z ideałami komunizmu, jest tylko ideologią potrzebną do uzasadnienia przewagi elity sprawującej władzę. Poglądy polityczne tej

części kolegów wydają mi się nieadekwatne do sytuacji polskiej, choć na pewno przydatne jako pewien polityczny *background*, którego znajomość jest pomocna w rozeznaniu rzeczywistości.

O wiele żywszy stosunek budzą oceny współczesnych nam zjawisk takich jak ocena krótkiego okresu działania Wolnych Związków Zawodowych, KOR-u, czy specyficznego dla Wybrzeża — Ruchu Młodej Polski. Każda z tych organizacji miała swój udział w przełamaniu systemu politycznych tabu zbudowanych po wojnie w Polsce.

Wolne Związki Zawodowe wniosły niewątpliwy dorobek w postaci świadomości istnienia w wolnym świecie różnego rodzaju umów pomiędzy pracodawcami i pracującymi, konwencji MOP-owskich, których istnienie władza ukrywała, wszystko przedstawiając jako „zdobycze socjalistyczne”, nie wspominając, że świat zachodni wykształcił system umów skutecznie broniących świata pracy, z których wiele jako ratyfikowane przez Polskę powinno obowiązywać nie tylko formalnie. Spór wokół KOR-u również w obozie toczył się według znanego już z okresu zjazdu „Solidarności” podziału: niektórzy uznają niemałą zasługę tego ruchu na rzecz stworzenia pewnych załączków organizacji społeczeństwa, do czasu sformułowania programu KOR-u właściwie bezbronnego wobec manipulacji władzy. Inni wskazują, że nieporównanie większą zasługę w przygotowaniu Sierpnia miał Kościół Polski i impulsy moralnej odnowy płynące od czasów wizyty-pielgrzymki Jana Pawła II. Już z tego rozrzutu poglądów widać, jak różne treści i doświadczenia współpracowały z sobą na rzecz przygotowania idei społeczeństwa samodzielnego, nie tylko poszurchnianego i rozstawianego po kątach przez coraz bardziej zmurszałą ideowo strukturę władzy. Z kolei RMP przydał działaniom młodego pokolenia na Wybrzeżu jakiejś romantyki, pracował na rzecz poszerzenia świadomości politycznej młodych, podejmując na własną rękę i ryzyko próby sformułowania na ich użytek jakiegoś samodzielnego programu aktywności polityczno-społecznej. Bardzo niewielki odsetek kolegów przyznaje się do pokrewieństwa ideowego z Konfederacją Polski Niepodległej (KPN), a związki te, jak widać wyraźnie, spowodowane są bardziej stosowaną przez nią symboliką patriotyczną niż rzeczywistą znajomością programu czy zaufaniem do proponowanych rozwiązań politycznych. Generalnie — ogromna większość z nas jest zdania, że poszukiwanie dla „Solidarności” przekładni politycznej w postaci partii politycznej w jakiś sposób wywodzącej się ze Związku byłoby powtórzeniem znanych już historycznie rozwiązań. Przecież źródłem nowej nadziei, o której mówił Czesław Miłosz, źród-

łem fascynacji świata pracy w wielu krajach na wszystkich niemal kontynentach była pewna nie sprawdzona nigdzie konstrukcja: „Solidarność” jako ogromny ruch społeczny, ponadpolityczny, sterujący w stronę rozwiązań humanistycznych ponad klasycznymi utarczkami politycznymi, dążący do samoorganizowania się rozmaitych środowisk, poszukiwania formuły współpracy ich z sobą w państwie. To właśnie, co nazywano na świecie „trzecią drogą”, a co zostało brutalnie zastopowane w fazie początkowej przez dogmatycznych „komunistów” przerażonych skalą mogących nastąpić zmian.

*25 maja, wtorek*

Wiosenne powietrze, słońce, przyroda ma większy wpływ na rygor obozowy niż najpoważniejsze memoriały. Budząca się przyroda powoduje, że wymogi regulaminowe samym władzom obozowym wydają się surrealistyczne. Wydłużają się samorzutnie spacery. Coraz dłużej przebywamy na dworze, najczęściej skupiając się na skrawku trawnika pomiędzy II i III pawilonem. Wynosimy na spacer koce, krzesła, rozkładamy się z książkami, szachami. Przestrzeń między pawilonami wygląda momentami jak lazaret na wolnym powietrzu. Ktoś wystawia do słońca bark, w który przez zimę wkręcił się reumatyzm, ktoś kuśtyka o kulach — jeden z kolegów ma zagipsowaną do połowy uda kontuzjowaną nogę. Pomagamy mu przy wychodzeniu na spacer, w łaźni, doprowadzamy na widzenie...

Czas na spacerniku wykorzystujemy także na czytanie ciekawych listów. Jeden z takich listów dotarł do nas poza cenzurą z Francji. Stanowi jakby przyczynek do ciągle trwającej dyskusji na temat ewentualnej emigracji. Myślę, że jest smutny, zawsze był i będzie los emigranta, cichy dramat, powracający stale w naszej historii.

*List z Francji (fragmenty):*

„Na Zachodzie nie jest najlepiej ze zrozumieniem spraw polskich. Rządzą tu bowiem prawa koniunktury i sensacji, na której można zrobić dobry biznes. Polacy będący na Zachodzie, a organizujący pomoc wręcz skarżą się na obojętność, z trudem udaje się cokolwiek zorganizować. Polega to głównie na tym, że próbuje się zainteresować wpływowe osobistości naszą sprawą, z tym, że kontakty utrzymywane są od skrajnej lewicy, typu Liga Marksistowsko-Rewolucyjna, aż po zdecydowaną prawicę, np. parlamenta-

rzyści partii opozycyjnej Kanady (konserwatyści). Po drodze są dysydenci z CGT, odłamy związkowców chadeckich, socjaliści, liberałowie austriaccy i japońscy. Oczywiście wszyscy oni przedkładają swoje interesy nad problemy, którymi my żyjemy, a które obiektywnie mają przecież znaczenie dla całego świata. Europa nie ma konkretnego planu działania, jest rozbita. Są jednak ludzie, którzy się bardzo angażują, przeważnie młodzi. Jest ich zdecydowanie więcej na lewicy, niż na prawicy. To paradoks, że nas tutaj więcej łączy z reprezentantami lewicy, zaś, by działać skutecznie na rzecz pomocy dla kraju musimy wchodzić w związki z osobistościami z ultraprawicy, z którymi często nie łączy nas nic. W środowiskach politycznych Europy bez przerwy walczy się te same problemy, a głównie jak się ustawić wobec ZSSR, a dopiero na tym tle, gdzieś w oddali, do sprawy polskiej. Następuje coraz głębsza zależność Europy zachodniej od Związku Sowieckiego poprzez angażowanie tam swoich interesów i funduszy. Najaktywniej działa Komitet Pomocy Polsce w Paryżu. Bardzo silnie oddziałuje na niego emigracja z 1968 roku, pozostająca pod wpływem myślenia i postępowania KOR-owskiego. Komitet ten wydaje biuletyn informacyjny. Mało jest jednak ludzi do pracy. Stara emigracja jest słaba i nie wiadomo czy jest miejsce zajmie młody KOR. Chojecki wydaje miesięcznik *Kontakt*. Pewne inicjatywy przejawia Towarzystwo Historyczno-Literackie i Biblioteka Polska w Paryżu. Załatwiają one głównie stypendia doktoranckie. Podobne działania przejawia prezes Polonii francuskiej, zwłaszcza w Lille”.

Te nasze „czytania” mają charakter „klubowy” — z konieczności. Po ostatniej fali internowań do obozu napłynęła dość skotłowana fala ludzka, w której może przez przypadek, a może jako realizacja pewnego zamysłu — pojawiają się dość dziwni ludzie. Cinkciarze, eks-kryminaliści, właściciele z kręgu prywatnej inicjatywy, często ludzie deklarujący otwarcie brak zainteresowania sprawami Związku. Wyraźnie zainteresowani swoimi prywatnymi sprawami. Rozważają gdzieś na boku możliwości przekupywania komendy obozu, domagają się wprost możliwości rozmów z ubecką. Ważne jest dla nich — żeby wyjść. Znaleźli się tutaj, jak mówią, zupełnie przypadkowo, rozpoznani na ubeckich zdjęciach z okresu demonstracji ulicznych, zaplątani w tłum, lub sfotografowani w samochodach na przejazdach w miejscach, gdzie wybuchły starcia. Jest problem, jak w tych warunkach ułożyć życie w celi, gdzie rozbijają wytworzoną wcześniej intymność, atmosferę zaufania, rodzinny charakter naszego wspólnego bytowania. Opracowaliśmy grafik przemieszczeń, tak, by w wolnych, wygospodarowanych celach pogrupować się, dobierając się na zasadzie wspólnych zainteresowań, sympatii.

W lokalnej gazecie *Dziennik Bałtycki* ukazał się artykuł podpisany przez nikomu nieznane nazwisko — Bolesław Jaksa — pt. „Zburzyć ten mur”. Poprzednio o Strzebielinku napisał w gazecie *Gromada Rolnik Polski* Andrzej Brodziński. W swoich „230 minutach wśród internowanych” wśród innych nieuczciwości pod-



dał w wątpliwość prawdziwość naszej głódówki z lutego. Jak można się zorientować, w obu przypadkach źródłem informacji był komendant obozu major Franciszek Kaczmarek, którego nie na darmo ktoś na początku nazwał „fałszywy czarny major”. Mimo pozorów pewnej życzliwości dla nas tutaj w trakcie udzielania informacji dla nieznanego pismaka, chcącego wypłynąć na ważnym politycznie temacie, nie potrafił uczciwie oddać nam tej jednej sprawiedliwości — że nasza głódówka była rzetelna, okupiona prawdziwie honorowym wyrzeczeniem, traktowana przez nas jako zobowiązanie podjęte przez siebie i wobec siebie jedynie. Tacy już oni są...

Z kolei w artykule „Zburzyć ten mur” *Dziennik Bałtycki* twierdzi, że odrzucamy rękę wyciągniętą ku nam do zgody, że sami budujemy mur swojego więzienia, czekając na wyzwolenie, mające nadejść dla nas na czołgach. Nie pisze na jakich, nie pisze też czyja to ręka wyciąga się do nas. A może to ręka ubecka i my nie chcemy jej dotknąć, bo wcześniej ta sama ręka zacisnęła się na gardle zdążającego do wolności społeczeństwa...

Co robić? Co dalej? Docierają przedziwne przecieki z tzw. kręgów władzy. Że Jaruzelski nie jest taki zły, że jego gwiazda w Układzie Warszawskim wydaje się gasnąć, że on sam powoduje ataki ze strony przedstawicielstw państw obozu socjalistycznego. Twierdzą oni podobno, że nie o taki stan wojenny chodziło, że kurs generała jest zbyt liberalny. W przeciekach dają nam do zrozumienia, że formuje się gabinet cieni znacznie gorszy, oparty na ubeccji, bezwzględnie zdecydowany na zduszenie wszelkich odruchów demokratycznych. Tezy te, jak się wydaje (świadczy o tym wystąpienie Glempa po 3 maja) nasz prymas „kupił”. Rzucając na szalę swój tak jeszcze kruchy autorytet, poparł w jakimś sensie Jaruzelskiego, mówiąc do młodzieży, że sporów nie rozstrzyga się kamieniem miotanym na ulicy. Zdaniem osób zbliżonych do episkopatu słowa te były podyktowane obawami, że rozwój sytuacji może spowodować interwencję sowiecką. Sądzę, że prymas uwierzył w realność podziałów w kręgu władzy, która podtrzymuje mit „betonu” i tendencji liberalnej. Zapomina nasz prymas o jednym, że podziały te są iluzoryczne, markowane na użytek maluczkich, stwarzające od lat szantaż psychiczny, że „jak nie ja, to przyjdzie gorszy”, więc siedźcie cicho i bądźcie zadowoleni. Kiedy dochodzi do wyłożenia kart okazuje się za każdym razem, że jest to jednolita paczka, zdecydowana w obronie swojego interesu działać w sposób absolutnie skoordynowany. Liczy się ubecka kadra, która w ostatecznej instancji o wszystkim decyduje, niezależnie od odcieni w cywilnych kręgach władzy. Wy-

powiedziawszy wojnę społeczeństwu przygotowała także nowy typ więzienia — obozy dla internowanych. Wiadomo, że przed 80 laty wynaleźli je Anglicy w wojnie z Burami. Miejsca odosobnienia nazywały się wówczas obozami koncentracyjnymi. Natomiast pomysł zamykania własnych obywateli w takich obozach zrealizowały hitlerowskie Niemcy. W naszych obozach, mimo stosunkowo — jak na polskie więziennictwo — łagodnych warunków, zachowały się trzy jego elementy: ścisła izolacja od społeczeństwa, przymus przebywania w losowo dobranych składach osobowych (?) w celach, absolutna zależność od dobrej woli komendy lub klawiszy. Władze uważają internowanie za normalny składnik życia w naszym kraju, dając przy tym do zrozumienia, że wobec internowanych mogły zastosować bardziej bezwzględne działania.

*1 czerwca, wtorek*

Dochodzi do zaostrzenia stosunków Kościół-państwo. Podczas uroczystości w Gierzwaldzie (20 maja), pierwszym miejscu, w którym przetrzymywano internowanego prymasa Wyszyńskiego, Glemp powiedział, że nadchodzi czas, że i on może pójść w ślady swego poprzednika. Znowu wraca sprawa wystawionych nakazów internowania dla wielu księży zaangażowanych w organizowanie pomocy dla internowanych, skazanych i ich rodzin. W chwili obecnej żadna z koterii funkcjonujących we władzach nie prowadzi jakichkolwiek rozmów z episkopatem. Ostatnia wypowiedź biskupa katowickiego Bednorza na temat przyjazdu papieża do Polski w sierpniu br. może spowoduje przełamanie tego impasu. Jedni z nas uważają, że oznaczałoby to usankcjonowanie stanu wojennego, drudzy — że jest to typowe dla Jana Pawła II szukanie rozwiązań w każdej sytuacji (np. wizyta w Anglii w czasie konfliktu brytyjsko-argentyńskiego o Falklandy). Jego przyjazd do Polski znów poderwałby nasze społeczeństwo, dałby mu wiele nowych impulsów, których dalekosiężne działanie może mieć znaczenie nadrzędne wobec obecnej sytuacji.

Stan obozu na wczoraj: 164 + 12 w szpitalu = 176 internowanych.

*2 czerwca, środa*

Niektórzy klawisze stają się wobec nas coraz bardziej otwarci; mówią o swych rodzinnych kłopotach, przynoszą plotki i infor-

macje z komendy. Po raz już któryś powtarzają, że na dwa miesiące przed stanem wojennym przyjechała do Strzebielinka jakaś specjalna komisja, uważnie lustrująca stan obiektów i ich zabezpieczenia. W nocy z 12/13 grudnia ub. roku przebywającym wówczas tutaj więźniom mówiono, że rozpoczęła się wojna i że mogą być rozstrzelani. Mówiono im to, aby przyspieszyć ewakuację do Wejherowa. Stąd zrozumiałym stało się, dlaczego tak długo czekaliśmy na przeprowadzenie nas tamtej nocy do cel.

Gdzieś po głowie kołaczą mi się strzępy kryminalnych teorii o dziwnych relacjach ścigający-ścigany, ofiara-kat i inne pochodzące z przypadkowych lektur i filmów. Coś w nich jest. Z wpływem miesięcy internowania i u nas zawiązuje się dziwny związek naszej społeczności z klawiszami. Bardzo zróżnicowany w zależności od doświadczeń, jakie mamy z nimi. Jeśli przedtem traktowaliśmy próby ich zbliżenia się do nas jako rodzaj gry, to przecież już wspólna komunia św. w kaplicy obozowej wytwarza jakąś więź, nad którą nie sposób przejść do porządku dziennego — a przypadek taki miał miejsce. Wielu z nich ma pseudonimy, nieraz zaskakująco trafne. „Helmut” — dlatego, że jego ideą fixe jest wyjazd do RFN i urządzenie się tam. Nieraz przynosił komuś z naszych listy po niemiecku z prośbą o przetłumaczenie, jeden zaś z kolegów udzielił mu kilku lekcji języka na dyżurce, na którą sprowadził magnetofon i taśmy z nagraniami lekcji. Wkrótce po tym przeniesiono go na bramę. Dopiero pewne wydarzenia pozwalały orientować się w nastawieniu niektórych klawiszy do całej sprawy internowania. W okresie, gdy w obozie czytany był list Stefana Bratkowskiego, stanowiący analizę przestępstw junty i bilans ogromnych strat społecznych, łącznie z biologicznymi jakie spowodował ten stan — jeden z kolegów nie dość zręczny dał się zaskoczyć przez klawisza, który wyciągnął mu z kieszeni wystający egzemplarz. Spodziewaliśmy się reakcji za kolportaż tego dokumentu, ale list wpadł jak kamień w wodę i nie spowodował żadnych konsekwencji. Myślę, że zaczął krążyć w środowisku klawiszowskim.

Jeden z klawiszy pilnujących kolegów w szpitalu w Wejherowie miał z kolei zwyczaj pozostawiania w sali służbowego pistoletu. Ponieważ służba trwała tam 12 godzin, a w okresie wiosenno-letnim było już gorąco, pistolet odznaczał się pod cienką kurtką i stanowił przedmiot zainteresowania chorych. Klawisz, który w trakcie służby chciał korzystać z możliwości prowadzenia „życia towarzyskiego” w szpitalu, a było tu sporo młodych pielęgniarek, nie chciał paradować z „kopytem”. Najlepszym rozwiązaniem wydawało mu się pozostawianie go u internowanych.

Bambuła, Maroko, Piwko, Belladonna, Panienska, Prężysty, Boczek, Laufer, Bawół, Zamoza... Było ich wielu i po jakimś czasie wiedzieliśmy, którego z nich się strzec, który jest w stanie tuż przed widzeniem zarządzić idącemu na spotkanie z rodziną „kipisz”, a który przymknie oko, cokolwiek by się nie działo.

Znając mechanizm osmozy boimy się o Lecha, od miesięcy przebywającego samotnie z dobranymi na pewno wyjątkowo starannie ubekami, z którymi spędza tyle już czasu.

Pewną zauważalną ewolucję przechodzi też nasz major, szczególnie od czasu, gdy lekarze stwierdzili u jego 3-letniej córki guz mózgu. Podczas jakiejś rozmowy zgnębiony powiedział nam o tym i wtedy ktoś z naszych zaofiarował się z pomocą w załatwieniu miejsca dla tracącego wzrok dziecka w warszawskim Centrum Zdrowia Dziecka. Później, o ile by ten plan doszedł do skutku, dziecko miało być leczone przez pewnego księdza-homeopatę. Dopiero losowe wypadki, zwykłe ludzkie nieszczęścia, ujawniały normalne postawy występujące po obu stronach tego frontu.

Przebiegał on wyjątkowo pokrętnie. Struktura obozowej władzy na pewno nie była monolitem, a pod pokrywką jednolitych mundurów toczyła się gra o kariery, emerytury, odznaczenia, awanse. Utwierdził nas w tym następujący fakt: pewnego razu jeden z kolegów korzystając z okazji przetrząsnął kieszenie służbowej kurtki zastępcy komendanta obozu kapitana Wojciecha Biegaja. Z wewnętrznej kieszeni wystawał protokół zebrania partyjnego w więzieniu. Z jego pobieżnej lektury wynikało jasno, że organizacja partyjna dokonała oceny „ideologicznej” części kadry funkcjonariuszy więziennych. O jednym z przełożonych oddziałów mówiono na tym zebraniu, że jego wystąpienie z partii świadczy o chwiejności i fakt ten winien być wzięty pod uwagę w jego dalszej karierze. Wnioskowano odwołanie go z tego stanowiska. Partia chciała w więzieniu swoich ludzi na stanowiskach kierowniczych.

Podobnie w sądach, propagandzie, milicji, administracji, wojsku i gospodarce. Czyli wszędzie poza Kościołem. Chociaż i tu pewnie miałyby zakusy. W telewizji zaczęły ukazywać się dziwne informacje o zebraniach Rady Ekumenicznej tak spreparowane, że wynikało z nich, iż Kościół katolicki w Polsce jest przecież tylko jednym z funkcjonujących tu kościołów. Ekspozowano nowych PAX-owskich, CHSS-owskich i PZK-owskich działaczy próbujących powtórzyć model PAX-owskiego awansu ekonomicznego u boku pozwalającej na to partii, za cenę popierania i firmowania jej posunięć. Ugrupowania te, ich postawa i wystąpienia niektórych działaczy sięją niemały zamęt w głowach ludzi, którzy nie

odróżniają tych szyldów. Aż dziwne, że episkopat nie wypowie się wyraźnie, kto jego zdaniem wyraża stanowisko Kościoła Polskiego w tej grze. Jak mówi plotka, tej podjętej przez władzę próbie zmontowania frontu działaczy katolickich popierających WRON-ę Stefan Kisielewski zaproponował wspólną nazwę: Chrześcijańska Unia Jedności, której skrót jest raczej niecenzuralny, w stylu Kisiela.

Ubeków przyjeżdżających na tzw. rozmowy ostatnio nazywamy „kupcami”. Nazwa ta oddaje doskonale ich funkcję. Dzisiaj „kupy” przyjechali z Gdańska i Torunia. Jak zwykle chcieli podpisów, ale obok tego pojawiły się próby szantażu dotyczące żony czy dzieci: — Może im się coś przydarzyć... Zbyszkowi Iwanowowi wręcz powiedziano, że mu zamkną żonę, jeśli nie przestanie ona organizować pomocy dla internowanych i aresztowanych. Przy okazji okazało się, że w Toruniu kilku taksówkarzy, którzy przywozili rodziny naszych kolegów do Strzebielinka, straciło licencje.

Po wyczerpaniu argumentacji „ideologicznej” „kupy” nasi straszą wieloletnim internowaniem a nawet, że jak będzie trzeba, „to na Syberii jest dużo miejsca dla takich jak wy”. Mają jednak pewien kompleks, poczucie wykonywania brudnej roboty, gdyż większość z nich ostatnio podkreśla, że są funkcjonariuszami zajmującymi się sprawami gospodarczymi. Mówią: — Kazano mi przeprowadzić tę rozmowę. Tak naprawdę, co mam napisać w raporcie? Może odnotuję, że został pan zapoznany z rygorami stanu wojennego? Sugerowali też, że najlepszym rozwiązaniem byłby wyjazd za granicę. Gdy rozmowa schodziła na tematy dotyczące oceny milicji chętnie przyznawali, że najgorszą formacją jest ZOMO. — Wie pan, tam idzie najsłabszy element, natomiast co innego praca w innych specjalnościach. Tam przychodzą ludzie przygotowani, często z wyższym wykształceniem. O nich nie można powiedzieć, że są bandytami. To są ludzie, którymi poszczycić mogłaby się niejedna policja na świecie. — Mówiliśmy im otwarcie, że milicja tak długo nie odzyska swojego autorytetu, dopóki nie będzie zajmować się sprawami do niej należącymi.

### *3 czerwca, czwartek*

Jest wiadomość o ujawnieniu się grupy 12 członków Ruchu Młodej Polski. Cała ta grupa ukrywała się od początku stanu wojennego i niektórzy z nich odgrywali dużą rolę w podziemiu. Sensacyjna ta wiadomość jest problemem numer jeden wszystkich

dzisiejszych dyskusji. Nasi RMP-owcy uchylają się od komentarzy, uzasadniając to brakiem bliższych szczegółów poza informacją, że w tej grupie są takie osoby jak: Bożena Rybicka, sekretarka Lecha, Maciej Grzywaczewski, kierownik Biura Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, Grzegorz Grzelak z Biura KK, Magdalena Modzelewska, znana z prowadzenia modlitw w intencji kolegów aresztowanych po 3 maja 1980 roku w Bazylice Mariackiej w Gdańsku i w czasie sierpniowego strajku w Stoczni Gdańskiej, Ireneusz i Zofia Gustowie. Wiedzą także, że promotorem wyjścia z ukrycia tej grupy jest doc. Wiesław Chrzanowski, współautor statutu „Solidarności”, który poprzez wice-marszałka sejmu Halinę Skibniewską uzyskał od ministra Kiszcza-ka zapewnienie, że w momencie ujawnienia się anulowane zostaną czekające na nich od 12 grudnia ub. roku nakazy internowania. Pomimo, że decyzję w tej sprawie podejmował sam minister spraw wewnętrznych, gdańska ubecja nie chciała dać tak łatwo za wygraną. Wczoraj cała ta grupa wróciła do swoich domów.

W obozie nastąpił wyraźny podział zdań: jedni uważają, że dalsze ukrywanie się było bezsensowne, gdyż wcześniej czy później zostaliby wyłapani, powiększając listę osób aresztowanych a następnie skazanych na wieloletnie wyroki. W dodatku ich działalność w podziemiu była minimalna, gdyż jako osoby od wielu już lat obserwowane, nie mieli zbyt dużego pola manewru. Ujawniając się chcieli nie tylko rozwiązać swoje osobiste problemy, ale również powstrzymać napływ coraz do młodszych „kspiratorów” do podziemia. Część naszych kolegów uważa, że ujawnienie się właśnie teraz tej grupy jest jak gdyby uderzeniem w plecy konspiracji. Znacznie ją osłabia i podważa zaufanie do ludzi, którzy nadal w niej pozostali. Nigdy bowiem nie wiadomo, czy i im nie przyjdzie do głowy nagłe porzucenie walki o sprawę, pozostawienie społeczeństwa bez żadnej reprezentacji.

Wkrótce potem grupa ta odwiedziła kolegów w wejherowskim szpitalu. Towarzyszyło im kilka nieco podejrzanych osób. Można było się spodziewać, że ujawniona grupa znajduje się pod dyskretną obserwacją służb specjalnych.

*5 czerwca, sobota*

Konfrontujemy nasze doświadczenia z pobytu na przepustkach. Generalna ocena wydaje się następująca: społeczeństwo być może jest gotowe do walki, nawet na barykadach, byle szybko. Brak

nastawienia na długotrwały wysiłek dla osiągnięcia tego, co utraciono. Równocześnie nas, internowanych, traktuje się specjalnie, nieco na wyrost, wyolbrzymiając nasze ewentualne zasługi i możliwości wpływu na przyszły bieg wydarzeń. Nam samym wydaje się raczej, że wirówka historii wyrzuciła nas na obrzeża tego procesu. Począwszy od 13 grudnia czas działania wyznaczony nam stanął. Nowo internowani, przybywający do Strzebielinka są rozczarowani, że nie dysponujemy jeszcze pełnym programem przyszłego działania. Żądają od nas alternatywnych rozwiązań. „Starczy” uważają, że takie rozwiązania wypracować można po tamtej stronie muru, ci, co zostali muszą przejąć od nas pałeczkę działania. Od nas oczekuje się jednego i z tym się zgadzamy: abyśmy nie podpisywali aktów lojalności i nie wyjeżdżali za granicę.

Podział środowisk podziemnych jest faktem. Istnieją dwa nurty — Ogólnopolski Komitet Obrony „Solidarności” (OKO) i drugi, wywodzący się bezpośrednio ze starych struktur „Solidarności”, z takimi ludźmi na czele jak Bogdan Lis w Gdańsku, Zbigniew Bujak w Warszawie i Władysław Frasyniuk we Wrocławiu. OKO chciało działać jak wielka, centralnie sterowana podziemna struktura. W istniejących warunkach okazało się to nierealne. Następowwały kolejne wpadki i aresztowania. Większe szanse przetrwania ma działalność luźno z sobą powiązanych grup działających w swoich środowiskach. Działania te polegają głównie na dwóch „p” — poligrafii, czyli wydawnictwach i pomocy materialnej dla rodzin skazanych, internowanych i pozbawionych pracy. Niestety zaczyna brakować pieniędzy, a także, mimo dużej ilości ukrywających się, ludzi gotowych do działania konspiracyjnego bez względu na coraz bardziej wzrastające ryzyko. Działający w podziemiu wydają się zmęczeni, nie mają jednak zamiaru kapitulować. Ulotną propagandą chcą rozszerzyć krąg działań. Mówi się o stworzeniu radiostacji „Solidarności”, w tym także dla Polski północnej. Krystalizują się dwie koncepcje walki: strajk generalny, mający nastąpić już wkrótce, 16 czerwca, i ukażać się Związkowi, oraz taktyka na przeczekanie, aż do czasu, gdy społeczeństwo wyraźnie odczuje trudności dnia codziennego. Na razie ludzie gonią za dodatkowym zarobkiem, za potrzebnymi artykułami, ciągle jeszcze, mimo trudności — do zdobycia. Dopiero kiedy to się definitywnie urwie, staną się gotowi do wystąpienia. Sytuację tę rozeznaje i wykorzystuje władza, wyraźnie koncentrująca się na tworzeniu dalszych podziałów na dobrze sytuowanych robotników wielkich zakładów i kopalń przede wszystkim, łącznie z systemem talonów i ulg, oraz mniej groźną dla władzy inteligencję i załogi małych zakładów pracy. Pogłębia się

faktyczne zróżnicowanie materialne różnych warstw społeczeństwa, według maksymy „dziel i rządź”. „Podsypano” braci górniczej, zaś na Wybrzeżu zwiększył się terror i inwigilacja środowisk wraz z pokazowymi procesami „mącieli”.

### 10 czerwca, Boże Ciało

Polski stan wojenny. Kapitan Maciuk jeździł dziś po okolicznych parafiach wraz z naszym kapłanem w poszukiwaniu potrzebnej na procesję obozową monstrancji. Jeździli tak ponad godzinę.

Po mszy św. miała miejsce tradycyjna procesja. Trasa prowadziła wokół spacernika poprzez cztery ołtarze-stacje. Stacje przygotował Antek Szymkowski z Torunia. Stały one kolejno — przy wejściu do IV pawilonu, przy hydroforni, przy bramie wjazdowej do obozu i przy II pawilonie. Nie wszyscy uczestniczyli w uroczystościach, gdyż Maciuk uznając, że takie zgromadzenie jest niebezpieczne, kazał pozamykać przejścia między pawilonami, co uniemożliwiło wyjście do kaplicy około 40 osobom. Był to chyba pierwszy i jedyny w Polsce przypadek odbycia uroczystej procesji z czterema stacjami w „pudle”.

### 11 czerwca, piątek

Wychodzi na wolność 15 osób, z tego aż 10 tych, którzy byli tu od samego początku, a więc równo w pół roku od zamknięcia w obozie.

### 12 czerwca, sobota

„Rota”, „Boże coś Polskę” i hymn oraz zapalone świece przypominają dzisiaj upływ 6 miesięcy internowania.

Po północy, po zakończeniu śpiewu rozpoczął się „łomot”. Tym razem nasz major przygotował małą niespodziankę w postaci grupy interwencyjnej uzbrojonej po zęby, która między pawilonami demonstrowała gotowość działania. Równocześnie do akcji weszli dwaj fotoreporterzy, którzy błyskając fleszami usiłowali fotografować kolegów operujących w pobliżu krat. Byli dość płochliwi i czmychali na widok wystawionego przez kraty kija od szczotki.



Dziś miałem w rękach krążący po obozie odpis, podobno autentycznego pisma Urzędu Rady Ministrów — Komitetu d/s Związków Zawodowych z 13 maja br., stanowiący wytyczne dla komisarzy wojskowych. Główne tezy: do września nastąpi ostateczne zakwestionowanie dalszego istnienia „Solidarności” wraz z powołaniem nowych związków zawodowych. Do tego czasu należy załatwić problem wyjazdu z kraju części internowanych. Na froncie propagandowym nastąpić ma konfrontacja z Kościołem.

Radio podało informację o przewidywanym zwolnieniu 257 internowanych.

### *13 czerwca, niedziela*

WRON-a ma niemały fart. Po zimowej powodzi na wiosnę uwagę ludzi zaprzętać będą — od dziś — mistrzostwa świata w futbolu. U nas na ten czas zawieszamy wszelkie wykłady i zajęcia.

Podczas mszy św. odczytany został komunikat z konferencji episkopatu z 8 czerwca. Jest to oficjalne zaproszenie Ojca Świętego do odwiedzenia ojczyzny w sierpniu. Dziś radio podało komunikat precyzujący warunki, jakie stawia władza w związku z tym przyjazdem.

### *20 czerwca, niedziela*

Dane z opracowanej ostatnio w obozie ankiety, przygotowanej od miesiąca:

średnia wieku — 33,6 lat.

pochodzenie społeczne — robotnicze: 72 osoby, inteligencja: 73, chłopskie: 12, łącznie stan na 13 bm. — 157 osób.

### *26 czerwca, sobota*

Dzisiaj wywieziono do szpitala Ryśka Olkiewicza, zwanego „Cyganem”, albo „Słoneczkiem wolności”. Ma zapalenie płuc i inne zmiany oraz gwałtownie postępującą astmę. „Cygan” był postacią, o której już dawno powinienem był napisać, ale poznałem go w obozie w okresie późniejszym. Był to 42-letni sztauer z portu gdyńskiego, prawdziwa klasa robotnicza, na której skórze

partia i WRON-a wygarbowały całą swoją interpretację teorii dyktatury proletariatu. „Cygan” był postacią popularną w gdyńskim zarządzie portu, znaną z przebojowej postawy w okresie strajku sierpniowego 1980 roku. W późniejszym okresie, podczas niekończących się negocjacji jakoś pogubił się, odstał i dopiero decyzja o internowaniu ponownie wpędziła go w szeregi wyróżnionych specjalną uwagą ubecji. Uznano widocznie, że jako jeden ze strajkowych liderów sprzed półtora roku i tym razem mógłby poderwać ludzi do protestu. „Cygan” kierował się w wyborach nieźle funkcjonującym instynktem, o którym marksiści mówią, że „klasowy”. Ten to czysty klasowy instynkt zaprowadził go do obozu. Martwiliśmy się nieraz o niego; był bardzo schorowany, mimo na pozór mocnej budowy i męskiego sposobu bycia. Od początku kaszlał strasznie, aż przypominał się mi ten fragment szkolnego wiersza, zupełnie inaczej dla mnie brzmiącego w tym kontekście pt. „Elegia o śmierci Ludwika Waryńskiego”: „Już płuca wypłute nie bołą...”. Nie było sposobu, by nakłonić go do starań o wydostanie się stąd do szpitala. Mówił — to sprawa lekarza, jak nie chce, niech nie puszcza, ja Wrony prosić o nic nie będę. Istotnie, lekarze często działali i podejmowali decyzję naciskani przez zainteresowanych, Rysiek nigdy nie prosił... Nieraz wstawał z rana, z tym swoim kaszlem, patrzył w okno i mówił: patrzcie, dziś świeci mi słońko wolności. Był honorowy, bez cienia jakiegokolwiek taktyki. Kiedy przed 1 maja będąc na liście do zwolnienia został zaczepiony przez Maciuka, który go spytał — co pan będzie robił po wyjściu z obozu? — „Cygan” odpowiedział: będę walczył do końca o „Solidarność”. Nie wyszedł wtedy.

## *28 czerwca, poniedziałek*

Obchodziliśmy rocznicę poznańskiego czerwca z 1956 roku, a dwa dni temu wypadła rocznica wydarzeń w Radomiu w 1976. Modliliśmy się w kaplicy za poległych w tych wypadkach. Po południu odbył się apel poległych, po nim okolicznościowy wykład dr. Jerzego Keilinga z Uniwersytetu Gdańskiego (przywieszono go pod koniec maja).

Do toruńczyków dotarł gryps z wolności:

„(...) Atmosfera jaką spowodował przebieg procesu naszych kolegów, nowe aresztowania, internowania, przesłuchania, wszystko to nie sprzyja pisananiu listów do obozów internowania. Nie chciałabym jednak byćście myśleli,

że zapomnieliśmy o Was. A więc siadam do pisania, choć będzie to z pewnością list pełen pesymizmu i czarnych kolorów.

Pytał Pan w swoim liście (serdeczne dzięki) o nasz stosunek do tez episkopatu — w zasadzie — żaden, czy raczej obojętny, ponieważ nikt nie wierzy w wolę junty prowadzenia jakichkolwiek rozmów. Jeżeli je prowadzą, to są to rozmowy mające stanowić fasadę dla rzeczywistych poczynań komuny. Zresztą, zawsze tak było, że do rozmów przystępowali wtedy, gdy czuli się zagrożeni, gdy zostawali przyparci do muru. Nawet jednak wówczas nic w zasadzie z tych rozmów nie wynikało. Cała powojenna historia polskiego komunizmu jasno pokazuje, że zawierali oni porozumienia wtedy, kiedy dany partner był im potrzebny do uwiarygodnienia ich w oczach społeczeństwa. Kiedy jednak tylko poczuli się dostatecznie silni, zdecydowanie się z nimi rozprawiali. Tak przecież było i w przypadku PPS-u i PSL-u, choć pogromów tych partii dokonano w różny sposób. Jednak w obu przypadkach bardzo skutecznie. Teraz do kolekcji unicestwionych 'partnerów' ma dojść 'S'. Jako próbę odpowiedzi o mój stosunek do tez przesyłam list Anki Kowalskiej — podpisuję się pod nim, z podkreśleniem stwierdzenia, że nie jest to stanowisko polityczne. Ten list to oczywiście wybieg z mojej strony, bowiem moje zdanie o przydatności też jest takie jak wyżej — tj. zainteresowały mnie one wyłącznie teoretycznie — też nie wierzę w rzeczywiste zainteresowanie się nimi władz. Junta nie życzy sobie odpowiedzi, a sądząc z przecieków z zamkniętych partyjnych spotkań z Wysokimi Towarzyszami, nie zamierzają oni negocjować ze społeczeństwem. Spacyfikowanie nas do końca — to jedyny w tej chwili cel junty. Nazywa się to oficjalnie — normalizacją! Wchodzą w tę normalizację także procesy jakie się już odbyły i jakie toczą się aktualnie w Toruniu. Na szczęście Rockefellerowie przestali przysyłać nam pieniądze i chyba tylko to może zmusić komunę do myślenia o ewentualnym popuszczeniu petli.

Ostatnio francuski korespondent podał 4-punktowy projekt, jaki podobno wymyślił towarzysze z PZPR dla otrzymania dolarów z Zachodu. Niestety zapamiętałam tylko 3 punkty: 1) zakończenie stanu wojennego, lecz sejm uchwała specjalne uprawnienia dla rządu (a więc jak to trafnie ktoś określił zmiana scenografii przy niezmiennym scenariuszu); 2) zwolnienie internowanych (nie pamiętam, co mówili o skazanych z dekretu) 3) wznowienie działalności związków zawodowych w tym 'Solidarności', lecz wyłącznie na terenie zakładów pracy. A więc znowu oszustwo, bo istniałyby tysiące nie powiązanych ze sobą związków, które pozostawione sobie nie miałyby żadnej siły przebicia, nawet gdyby pozostali w nich starzy działacze związkowi (a tu też duży znak zapytania, czy zechcą). Poza tym w takiej strukturze, a właściwie przy jej braku, organizacje takie mogłyby zajmować się wyłącznie drobnymi sprawami socjalnymi załogi. A przecież nie oszukujmy się — nam związki zawodowe w takim znaczeniu nie są potrzebne. Polsce potrzebna jest 'Solidarność' taka jaka była — jako ruch społeczny. Zresztą, po cóż ja to piszę, toż to truizmy. Z pewnością przewalkowane i przedyskutowane przez Was wielokrotnie.

Jurek miał rozprawę sądową 9.06. — okazało się, że niezły z niego chuligan! Mało, że bierze udział w nielegalnych manifestacjach, wykrzykuje publicznie, głośno i prowokacyjnie pewne niedozwolone wyrazy dźwiękonaśladowcze (wołał podobno kra, kra — co ludziom nieswiadomym może wydać się po prostu śmieszne, ale dla zwolenników przodującego systemu jest szkalujące, obrażające i poniżające najwyższe — choć nielegalne — organy państwowe), nie poszedł sobie do domu mimo nawoływań przedstawicieli władz i chyba coś tam jeszcze, ale już nie pamiętam co. Na szczęście nasze władze są wyrozumiałe i ukarano go jedynie 6-tygodniowym wię-

zieniem. Odsiedział już część, a teraz ma urlop 2-miesięczny (odroczenie wykonania kary na 2 miesiące), więc 25 lipca weźmie tobolek ze szczoteczką do zębów i innymi drobiazgami osobistymi i zgłosi się do Zakładu Karnego w Grudziądzu na 16 dni jakie mu jeszcze pozostały. I dobrze, przynajmniej proces resocjalizacji przebiegnie do końca i jego chuligańskie ciągoty zostaną wyplenione! Chociaż kto wie — proszę sobie wyobrazić, że kiedy wychodził na urlop do domu, ukradł z więzienia czapkę! Oczywiście, jak twierdzi, na wystawę!

Zostałam niewinnie skarcona za kartkę pierwszomajową — że była nieostrożna, nierozważna i może przynieść nieprzyjemności (!). Wprawdzie nie określono kogo miałyby one dotyczyć — nadawcy czy adresata — byłoby mi bardzo przykro, gdyby miały one dotknąć Pana. W momencie wysyłania nie przyszło mi to po prostu do głowy. Dopiero też przed kilkunastu dniami przeczytałam dokładnie dekret z 12. (?) XII. 1981 i wiem, dlaczego znaczna część treści na kartce została zatarta; otóż jej treść 'zagrozała interesom bezpieczeństwa lub obronności Państwa!' I tak to na tej tzw. wolności jeden kretynizm goni drugi.

Z ploteczek: podobno na I sekretarza KM został wytypowany wybitny działacz partyjny okresu przedsierpniowego, wykopany przez członków partii przy pierwszej sposobności jaka się nadarzyła — tow. Józef Szymański!

I na koniec dowcip, jaki krążył po Toruniu po 1-szo- i 3-ciomajowym pałowaniu: dwoje ludzi umknąwszy cudem ZOMO-wcom dysząc wbiega do domu i nawzajem dzieli się uwagami o tym, co się dzieje na ulicach. Babcia siedząca w domu niedosłyszy i z niepokojem pyta: dzieci, co wy mówicie? Biją? To trzeba wezwać milicję!!

Ano właśnie.

Do rychłego zobaczenia! H".

*30 czerwca, środa*

Minęło 200 dni obozu. Jakby dla uczczenia tej okrągłej daty od rana pracuje na pawilonach 10 ubeków z Gdańska i Torunia. Według ich informacji niektórzy z internowanych otrzymali tzw. poręczenia z zakładów pracy. W czasie rozmów Antek Szymkowski, historyk sztuki, człowiek o ascetycznym wyglądzie i sposobie bycia nieco szokującym, wyrażający się językiem ewangelii — tytułował ubeka „Bracie mój”. — Co zrobisz, Bracie, gdy przyjdzie ci stanąć przed Panem, czy Twoje ręce są czyste? — pytał retorycznie, aż ubek nie wytrzymał tej przemowy i wyprosił go z pokoju, rezygnując z dalszej wymiany zdań.

Dziś wyszło 12 osób, pozostało 133, z tego 14 w szpitalu w Wejherowie.

*4 lipca, niedziela*

W czasie wizyty księży z Gdańska z biskupem Kazimierzem Kluzem powracamy do tematu wizyty papieża. Sprawę tę na-

światła najlepiej dokument przekazany przez władze na ostatnią konferencję episkopatu z 21 czerwca:

„Notatka dotycząca przewidywanych zagrożeń w przypadku przyjazdu papieża do Polski w sierpniu bież. roku.

1. Jednym z najważniejszych elementów wizyty Jana Pawła II jest sprawa zapewnienia mu absolutnego bezpieczeństwa osobistego, czego realizacja w aktualnej sytuacji jest niemożliwa:

a) obecny stan bezpieczeństwa w kraju różni się od 1979 roku i nie możemy sobie pozwolić na tak znaczną jak wówczas koncentrację sił porządkowych, gdyż spowodowałoby to odsłonięcie pozostałych rejonów kraju;

b) nie można wykluczyć prób wykorzystania zgrupowań ludzi do wywołania poważnych ekscesów ulicznych, czego przykłady odnotowano ostatnio w Krakowie, Gdańsku, Wrocławiu, gdzie mieliśmy do czynienia z dużo mniejszymi zgromadzeniami osób;

c) siły porządkowe także borykają się w kłopotami transportowymi i paliwowymi, co uniemożliwia ich natychmiastowy przerzut, stosownie do zaistniałych potrzeb;

d) ostatnie doświadczenia wskazują, że ilość nielegalnie posiadanej broni jest znaczna. W kilku miesiącach bież. roku odebraliśmy blisko 1.000 egzemplarzy broni i ok. 40.000 sztuk amunicji i ponad 150 kg materiałów wybuchowych. W związku z tym nie można lekceważyć znacznych ilości materiałów wybuchowych, znajdujących się w rękach prywatnych. Świadczy o tym ujawnienie w ostatnim okresie kilku prób, lub dokonani wysadzenia różnych obiektów i pomników przy pomocy materiałów wybuchowych. Sygnały o kradzieżach trotylu, dynamitu oraz innych środków wybuchowych z kopalni i kamieniołomów napływają prawie codziennie.

Dzięki czujności udało się zapobiec większości takich działań.

Na terenie kraju ujawniono grupy, między innymi w Krakowie, które przygotowywały wysadzenie pomników i grobowców ludzi o znanych nazwiskach, zasłużonych dla polskiej kultury i nauki. Zamierzali tak to uczynić, by podejrzania skierowane były na Służbę Bezpieczeństwa. Takie zamysły u niektórych ludzi istnieją nadal;

e) w świetle zamachów na życie papieża, w tym ostatnio w Portugalii, nie można wykluczyć podjęcia podobnej próby w Polsce, tym bardziej, że akt taki mógłby być podjęty w celu skompromitowania aktualnego kierownictwa państwa;

f) w okresie ostatniego półrocza ujawniliśmy przeszło 350 różnych grup i organizacji młodzieżowych, z których poważna część miała charakter terrorystyczny. Wiele z nich oparte było na ideologii faszystowskiej i posługiwało się emblematami hitlerowskimi. Dokonanie wrogiego aktu w warunkach znacznego zgromadzenia ludzi nie stanowiłoby dla sprawcy żadnej trudności, a wcześniejsze rozpoznanie i przeciwdziałanie takim planom w obecnych warunkach jest prawie niemożliwe;

g) nie można też zlekceważyć ewentualności zamachu na papieża ze strony różnego rodzaju chorych psychicznie lub osób będących pod wpływem silnego wzruszenia emocjonalnego.

2. W odróżnieniu od 1979 roku mamy obecnie olbrzymie trudności transportowo-komunikacyjne. Braki na tym odcinku taboru kolejowego i drogowego oraz paliw płynnych w zasadzie uniemożliwiają przywiezienie ludności do miejsc pobytu papieża. W przypadku dojazdu do takiej wizyty wiele osób nie zawahałoby się zdobyć paliwo na drodze nielegalnej lub samowolnie zawładnęłoby transportem zakładowym. Mogłyby wystąpić znaczne zakłócenia porządku w ruchu kolejowym i drogowym”.

Dokument ten, którego ksero mieliśmy w ręku, nie nosił żadnego podpisu ani pieczętki.

Ze swej strony papież stawia WRON-ie swoje warunki — zniesienie stanu wojennego, zwolnienie internowanych i aresztowanych. Władze skłonne są nawet zwolnić część internowanych, ale — według naszych informatorów — zamierzają pozostawić około 120 osób, z Komisji Krajowej i grona ekspertów. Na 22 lipca zamierzają ogłosić częściową amnestię dla skazanych z dekretu.

Rozmowy episkopatu z rządem w ramach Komisji Wspólnej nie prowadzą do niczego. Kościół uczestniczy w nich, aby nie dawać pretekstu do zerwania tego jedyne go oficjalnego kontaktu.

W trakcie naszej rozmowy z biskupem postawiliśmy również sprawę przeniesienia Lecha do jednego z obozów dla internowanych, roztoczenia przez Kościół opieki nad kobietami skazanymi za działalność związkową oraz nad zwalnianymi z pracy (to w kontekście zapowiedzianych „weryfikacji” w różnych zawodach) .

Tak jak stoczniovców „odczarowywano” poprzez tzw. weryfikację prowadzoną w hali „Olivii”, tak działacze chce się za wszelką cenę pokazać w studio telewizyjnym. Ostatnio taką propozycję otrzymał po raz drugi Henryk Tarasiewicz z Zarządu Portu Gdynia. Tematem audycji miała być tzw. blokada portów przeprowadzona przez „Solidarność” w lipcu i sierpniu ubiegłego roku, a polegająca na wstrzymaniu wywozu żywności z kraju, do czasu przedstawienia przez rząd wiarygodnych informacji na temat gospodarki żywnościowej. Kiedy zażądał scenariusza, sprawa zaczęła się przeciągać aż upadła. Kolejną propozycję złożono, tym razem poprzez żonę, Andrzejowi Kozickiemu. Miał on wystąpić w programie telewizyjnym poświęconym „Solidarności”. Jak można się było domyślać — tej „właściwej” „Solidarności”...

Poprzez biskupa gdańskiego rozpoczęliśmy starania o przeniesienie naszego krzyża z kaplicy obozowej do Bazyliki Mariackiej w Gdańsku. Mimo wstępnej zgody, jak się wydaje — taktycznej — sprawy tej nie możemy posunąć naprzód. Pewnie chodzi tutaj o wrażenie, jakie ten ekspresyjny krzyż z naszymi podpisami zrobiłby na społeczeństwie. Władze obawiają się kolejnej związkowej relikwii.

*7 lipca, środa*

Sensacją dzisiejszego dnia jest wyjście z obozu Konrada Maruszyka. Decyzję władz o jego zwolnieniu poprzedziły dwukrotne

wizyty w obozie dwóch przedstawicieli Komendy Wojewódzkiej MO, w randze ppłk. i por. Wyjście Konrada, w końcu wiceprzewodniczącego Regionu i prawej ręki Lecha na naszym terenie, ma również znaczenie po drugiej stronie muru.

Być może jest to raczej sygnał, że władza czuje się już bezpiecznie. Konrad nie miał w obozie łatwego życia. Musiał się zmieścić w wąskiej formule, jaką zakreślały postanowienia regulaminowe, stanowiące, że nie ma mowy o jakiegokolwiek formie reprezentacji społeczności internowanych. Każda próba przełamania tego chyba najważniejszego prawa ustanowionego w obozach, które miało również tutaj rozbić istniejące struktury związkowe, skończyłaby się wywiezieniem ewentualnych organizatorów do innego obozu lub zamianą internowania na areszt. Z drugiej strony istniały oczekiwania na wypełnienie funkcji przywódczej. Konradowi udało się — naszym zdaniem — wyjść jakoś z tego dylematu i jego postawa była w pewnym sensie jakby kontynuacją cieszącej się największym poparciem — linii Wałęsy. Charakterystyczne było przy tym, że Konrad w sytuacji stanu wojennego przyjął jakby narzuconą stylistykę, czyniąc z niej oręż. Podczas spotkania z pułkownikiem Ringiem jeszcze w grudniu, kiedy ten zaczął krzyczeć i okazywał delegatom cel widoczne lekceważenie, zresztą z wzajemnością — Konrad przeciął narastającą atmosferę kłótni, żądając dla siebie jako dla oficera — porucznika wojska polskiego — należnego szacunku. Wtedy to Ring zrewanżował mu się, przedstawiając się jako pułkownik. Od tego wystąpienia zaznaczył się styl Konrada, akceptowany mimo pewnych zastrzeżeń przez większość. Szczególnie od momentu przyjazdu do obozu grupy potuliczan, którzy traktowali Konrada jako człowieka Wałęsy i wyraźnie podporządkowali mu się organizacyjnie. Na autorytet Konrada złożyły się także jego pokrewieństwo z szanowanym powszechnie mecenasem Siła-Nowickim, no i z pewnością fakt, że żona jego, Maria, była matką chrzestną małej Marii-Wiktorii Wałęsówny. Żegnaliśmy go przy bramie trzykrotnym hip, hip-hura.

*8 lipca, czwartek*

Trzeba przyznać, że nasz „kontrwywiad” obozowy działa nie najgorzej — już dziś jest informacja, w jaki sposób doszło do zwolnienia Konrada. Otóż nastąpiło to na osobistą interwencję ministra Kiszcza, po raz kolejny dającego do zrozumienia, że jest „ludzki”. Każdy satrapa, skupiający w ręku wielką władzę

ma z niej przyjemność dopiero w momencie, gdy czyni teatralny, wyraźnie dostrzegalny gest. Poprzednio Kiszczak przyjął jednego z przebywających na przepustce znanych literatów, komplementował go, że zna jego twórczość, podejmując go kawą uraczył przemówieniem w tonie patriotycznym, utrzymując, że „ojczyzna potrzebuje takich twórców”! Mówił to w tym samym czasie, gdy zawieszono pozostawały prawie wszystkie związki twórcze, cenzura szalała, a wszelkie niezależne myślenie tępili jego ludzie w województwach. Ot — gest...

Tzw. rozmowy, które są obowiązkowym obrzędem kończącym internowanie (decyzja o zwolnieniu zawiera klauzulę o zgłoszeniu się w komendzie wojewódzkiej) polegają na udowadnianiu delikwentowi, że stan wojenny był koniecznością, że w ten sposób władza wojskowa uratowała państwowość, będącą po zbankrutowaniu partii w rozsypce. Poza tym rozmowa stanowiła sondaż nastawienia zwalnianego do nowej rzeczywistości. Chodziło w szczególności nie o to, czy ją polubi, ale czy przypadkiem nie podejmie aktywnych działań przeciw władzy. W zależności od przebiegu takiej rozmowy dysponowano następnie śledzenie zwalnianego lub przeprowadzenie rewizji w domu, albo też dawano spokój...

*12 lipca, poniedziałek*

Obok obozowych afer i naszych stałych użerań, obok wielkiej polityki i wydarzeń poza murami, których tylko echa docierają tutaj — życie wydeptuje swoje zawiłe ścieżki. Jarek Pirowski, 24-latek bierze ślub. Ze ślubem Jarka jest sporo kłopotów. Dostał 6-dniową przepustkę na załatwienie formalności w USC w Gdańsku, przy czym wypuszczając go z obozu nie wydano mu dowodu osobistego. Kiedy zwrócił się z tym problemem do Komendy Wojewódzkiej, polecono mu powtórnie udać się do USC, „a oni już tam sprawę załatwią”. Okazało się, że biurokracja jest nie do przejścia nawet dla ubeka w stanie wojennym. Jurek wrócił do obozu z niczym.

Inny z naszych kolegów dostał pozwolenie na załatwienie ślubu cywilnego w najbliższym USC, czyli w Wejherowie. Dwie ze znanych nam żon naszych kolegów wycofały z kolei pozwy rozwodowe złożone w sądach jeszcze przed grudniem. Czas internowania sprzyjał wybaczeniom, powrotom, mimo wszystko dawał nadzieję na zawieszenie nieudanych osobistych spraw, które powinny zejść na dalszy plan. Zdarzały się jednak przypadki, że



uczynny kolega „dekownik” korzystał z nieobecności gospodarza. Atmosfera porozumienia, konspiracji pewnie też sprzyjała takim zbliżeniom i podczas kolejnego, któregoś tam widzenia okazywało się, że żona zachowuje się dziwnie sztywno, nie reaguje i nie odwzajemnia tych nieuchwytnych sygnałów płynących ze strony oczekującego z niecierpliwością na spotkanie męża...

Dzisiaj wyszło na wolność — 12 kolegów.

*15 lipca, czwartek*

Okres kanikuły rozprzęga także obozowy mechanizm. O czym tu dumać... Tematem są — niestety — nasze zwolnienia. Trudno uciec od spekulacji, jak to będzie 22 lipca. To jedno władza wbiła nam w głowę — w czasie święta narodowego, tego najbardziej oficjalnego, gdy zawsze ogłaszało się amnestie, przeprowadzało się pokazowe akcje — i tym razem pewnie coś się wydarzy. Dziś wyszło trzech na wolność.

Z kolei z wolności, poprzez szpital i od powracających z przepustek dochodzą ciągle elementy informacji, z których budujemy naszą wiedzę o zachowaniu się społeczeństwa; jak reagują sąsiedzi na powrót naszych do domów, jak wygląda tzw. konspiracja i praca podziemia. Jeden z naszych podczas pobytu na przepustce był w budynku „Solidarności” na Grunwaldzkiej.

Na opustoszałych korytarzach, wśród ścian pozbawionych życia, z pozrywanymi ogłoszeniami, plakatami, satyrkami — snuje się kilkanaście osób pozostawionych tutaj przez urzędującego w jednym z pokoi pełnomocnika wojewody gdańskiego d/s zarządu tym, co zostało. Surrealizm tej sytuacji pogłębia scenografia nowego typu — w miejsce tamtych ogłoszeń, gorących od treści — teraz ogłasza się daty, w których następują wypłaty dla ludzi pozostających na związkowych etatach, ogłoszenia o dofinansowaniach dla dzieci jadących na kolonie i inne tego typu kawałki. Korzystając z okazji kolega sforsował żelazną kratę oddzielającą część korytarza, w której znajdował się pokój Wałęsy. W pierwszym pomieszczeniu, gdzie zawsze urzędowały sekretarki Lecha i zwykle siedział pan Heniu, gdzie krzyżowały się w powietrzu telefony i ciągle masa ludzi z różnymi sprawami — zostały dwa stoły i szafa, w kącie za drzwiami biało-czerwona flaga. Wśród papierów walających się po podłodze, zdeptanych dziesiątkami butów — telegramy do Lecha pochodzące z okresu marca 1981 roku, z wyrazami poparcia dla tego, co wtedy zrobił, odwołując strajk generalny, telegramy z okresu Zjazdu, wśród nich imieni-

nowe. Najsmutniejszy był widok jego pokoju: zdarte firanki, puszka telefonu wydartą ze ściany, przekrzywiony stół, z prawej strony rozwalona wersalka, na której Lechu „łapał formę”, spędzając po kilkanaście minut na odpoczynku w najbardziej gorących okresach. I jeszcze w rogu — gipsowy projekt jakiegoś pomnika — postać w niemym geście unosząca ręce. Wszystko to pokryte grubą warstwą kurzu, skazane na zapomnienie...

*22 lipca, czwartek*

Z tekstu przemówienia sejmowego pośła Romualda Bukowskiego: „Wnoszę więc o gest wielkoduszny. Niech zapoczątkuje to porozumienie powszechna amnestia, uruchomienie zawieszonych struktur i organizacji społecznych, przywrócenie swobód obywatelskich, wreszcie zniesienie stanu wojennego, lub choćby zastąpienie go mniej drastyczną formułą”.

Takie też były i nasze nadzieje. Skończyło się na wypuszczeniu kilkudziesięciu naszych w ciągu lipca. Nie ma mowy o amnestii dla osądzonych z dekretu, nic nie zmienia się w sprawach zwolnień z pracy za przekonania. WRON-a zapowiedziała zwolnienie 913 internowanych, w tym wreszcie wszystkie kobiety, 314 internowanych otrzymuje tzw. urlopy.

*27 lipca, wtorek*

Brzozowy lasek otaczający szpital w Wejherowie zainspirował naszych chorych, którzy wykonali piękny i prosty drewniany krzyż z kłęcznikiem. Przekazali go, jako dar, dla stoczniowej parafii św. Brygidy w Gdańsku. Ma stanąć obok pamiętnego z okresu strajku sierpniowego krzyża stoczniovców, stanowiąc świadectwo losów robotniczego związku.

*31 lipca, sobota*

Nasz bilans na koniec lipca przedstawia się następująco — wyszło 78, pozostało 54. Podniosła się średnia wieku w obozie na 35,5 lat. Urlopowano 9 osób (7 z Gdańska i 2 z Torunia), 3 osoby odmówiły przyjęcia proponowanego urlopu, żądając uwolnienia bez dodatkowych warunków... Od Wielkanocy ciągnie się sprawa zwolnienia Andrzeja Zarebskiego z agencji pras-

wiej „Solidarności” BIPS. W czasie internowania urodziła mu się córka, on sam zaś jako poważnie chory znajdował się od dawna na liście MCK do zwolnienia z powodu stanu zdrowia. Wyglądało na to, że tym razem obejmą go już na pewno planowane zwolnienia, przygotowywane na 22 lipca. W ostatniej chwili telefon z komendy milicji z Gdańska wstrzymał jego wyjście. BIPS-owcy byli pod specjalnym nadzorem ubeckich służb. Reżim mścił się wyraźnie za próby przełamania państwowego monopolu w dziedzinie informacji. Raczej darowano winy przywódcom strajkowym, członkom opozycyjnych ugrupowań. Widać zapadły decyzje, by te pierwsze próby niezależności wypalić gorącym żelazem. Chłopcy z BIPS-u są pewnego rodzaju zjawiskiem w obozowym pejzażu. Wszyscy prawie z przygotowaniem uniwersyteckim, uczestniczący w tworzeniu na Wybrzeżu nowej fali humanistycznej, wielu z nich z pewnym już dorobkiem literackim, niewątpliwie utalentowani.

Andrzej zostaje w obozie.

*3 sierpnia, wtorek*

Wczoraj wieczorem przywieziono do obozu nową grupę internowanych ze Szczecina. Na dyżurce zrobił się zwyczajny w takim przypadku ruch. Od garusów nadeszła wiadomość, że szczeciniaków, a raczej pensjonariuszy obozu w Wierzchowie jest 34. Wśród nich Marian Jurczyk — przewodniczący regionu, Stanisław Kocjan — członek Komisji Krajowej, Przemysław Fenrych — rzecznik prasowy regionu i członek Społecznej Rady Prymasowskiej.

Tym razem po wieczornym apelu nasze cele pozostały zamknięte. Kolegów z transportu dokwaterowano do cel na pawilonie II w przypadkowych składach, po trzech, czterech. Klawisze nie reagowali na zgłaszane w trakcie „specjalne życzenia” co do kwaterowania w innych niż wynikało to z przypadku celach, mówiąc, że wszelkie zmiany będą mogły zostać dokonane nazajutrz.

Późnym wieczorem, po zagospodarowaniu się, zaczęły się opowieści i wymiana wrażeń. Byli bardzo zmęczeni transportem. Jechali w sukach, zwanych też lodówkami, choć w czasie przejazdu z Wierzchowa, który trwał cały dzień w upalnym słońcu, ta nazwa była nie na miejscu. Wielu z nich dostało torsji, wyglądali na schorowanych, były też przypadki omdleń. Mimo to konwój nie zatrzymał się ani razu.

4 sierpnia, środa

Po dwóch dniach rozmów z grupą wierzchowską wyłania się zarys ich opowieści o internowaniach w szczecińskim:

„W nocy z 12 na 13 grudnia rozpoczęły się zgodnie z planem stanu wojennego zatrzymania działaczy 'Solidarności' w województwie szczecińskim. Zatrzymania odbywały się nocą, niektórym wyważono drzwi. Zwożono nas na Komendę Wojewódzką MO, a po pewnym czasie dwoma samochodami więziennymi transportowano do Zakładu Karnego w Goleniowie, jednego z najcięższych więzień. Wśród tej grupy znalazły się trzy kobiety, które jednak po kilku dniach zabrano do miejsca internowania dla kobiet w Kamieniu Pomorskim. Osoby spoza Szczecina przywożono bezpośrednio do goleniowskiego więzienia. W ciągu kilku dni liczba internowanych wzrosła do osiemdziesięciu sześciu. Wśród nas znajdowali się Marian Jurczyk, przewodniczący ZR i Stanisław Kocjan, sekretarz ZR — aresztowani w drodze do Szczecina z obrad KK w Gdańsku. Osadzono wiceprzewodniczącego ZR Pomorza Zachodniego Aleksandra Krystosiaka, całe prezydium ZR. Na początku stycznia przywieziono ze Strzebielinka wiceprzewodniczącego KK Stanisława Wądołowskiego ze Stoczni Szczecińskiej. Siedziały także osoby z Solidarności Rolników Indywidualnych, kilku działaczy niezależnych oraz pięciu członków Związku Zawodowego Funkcjonariuszy MO głodujących do chwili zatrzymania na terenie Stoczni.

Internowanych umieszczono w jednym z kilku paropiętrowych dużych skrzydeł kompleksu więziennego. Czterooosobowe cele pozostawiały internowanym niecały metr kwadratowy powierzchni mieszkalnej, nie licząc łóżek. Nie było WC ani bieżącej wody. Znajdowały się tylko metalowe kubły nazywane u nas 'wojtkami'. Po paru dniach umożliwiono nam korzystanie w ciągu dnia z pomieszczenia z instalacją WC i zimną wodą. Umożliwiło to kontakt, odbywanie krótkich spotkań pod drzwiami, odbyło się nawet posiedzenie prezydium ZR w tym pomieszczeniu. Upřednio skrzykiwaliśmy się przez okna.

Początkowo zamiarem naszym było czas spędzić byle jak, aby przeczekać, aby szybko upływały dni. Wydawało się, że to musi się skończyć niedługo. Oczekiwano nagłych rozwiązań. Emocje były duże. Strach, szok, niedowierzenie mieszały się z chęcią działania przeciw złu. Odczuwaliśmy zupełny brak informacji. Zbierano pewne dane na podstawie wiadomości z głośników radiowych zawieszonych w celach. Niewielkie przecieki o strajkach

były przedmiotem wiecznych rozmów. Jedni twierdzili, że należy mieć nadzieję, że to ostatnie tchnienie zniechęconej władzy, inni mówili, że to może oznaczać koniec Związku, że nastąpią niesamowite represje i będzie trwał terror. Wszyscy jednak coraz bardziej przekonywali się do opinii, że jutro jeszcze nie wyjdziemy i że należy wobec tego czas jakoś zapełnić, spożytkować, wykorzystać. Czytało się książki. Co jakiś czas można było korzystać z biblioteki. Później szereg osób zaczęło uczyć się języków obcych. Wieczorami przeprowadzało się różne rozmowy, wspomniano, żartowano. Po tygodniu można było sporadycznie odwiedzić inną celę, jeżeli się poprosiło o to kławisza. Później praktykę tę można było stosować bez przeszkód. Umożliwiło to organizowanie małych zebrań i spotkań w którejś z cel. Odbywały się spotkania w celi M. Jurczyka, Edmunda Bałuki, Z. Zdanowicza i w innych. Jedno z nich np. dotyczyło strajku z czynną obroną zakładów pracy, o którym były podzielone opinie. Analizowano miniony okres, podejmowano próby przedstawienia prognoz rozwoju sytuacji. Prognozy ewentualnego zakończenia stanu wojennego były przesuwane już o miesiące. Pierwsze grypsy, pierwsze ulotki wydane w stanie wojennym były u nas wydarzeniem. Dyskutowało się o tym bardzo żywo. Podnosiło to emocje i nastroje. Masakra w kopalni 'Wujek' wywołała pewne przerażenie i refleksje.

Spacery umożliwiały kontakt w grupach spacerowych, obserwowano je ściśle. Stosunek do kławiszy był na ogół przyzwoity, dość często rozmawiało się z nimi. Przeważnie byli to ludzie kulturalni, nie złośliwi, zachowywali się uczciwie. Nie wzmagaliśmy napięcia z nimi, wkrótce też usunięto z bloku grupę ZOMO, która miała być na 'wszelki wypadek' skoszarowana na trzecim piętrze w świetlicy. Pierwsze widzenie z rodziną odbywało się przez szybę i słuchawki, następne w dość znośnych warunkach przy stoliku. Niedługo potem można było wypić po dłuższym czasie pierwszą kawę, zjeść przywiezioną przez rodzinę domową żywność. Posiłki więzienne początkowo bardzo złe, później uległy pewnej poprawie. Obiady np. składały się początkowo z jednego dania. Były niezbyt smaczne i nie syciły głodu. Pomoc medyczna była słaba, do dyspozycji był tylko felczer. Sprawę uzupełniała obecność wśród internowanych dr. Zdanowicza, członka ZR.

Wzruszającym momentem była Wigilia Bożego Narodzenia. Wszyscy zebrali się na korytarzach, śpiewali kolędy. Przy kolacji dzieliliśmy się chlebem i opłatkiem, rozmawiano o przeszłości i przyszłości. Rozważaliśmy sytuację w jakiej przyszło nam być, nietypową i niespodziewaną. Każdy myślał o swojej rodzinie,

o bliskich, o 'Solidarności'. Równie wzruszająca była pierwsza msza św., która odbyła się 3 stycznia.

Dzielił się opłatkami również z więźniami, którzy obsługiwali pawilon. Byli oni bardzo przychylni wobec nas, uczyli jak radzić sobie w takich warunkach.

11 stycznia po wielu zapowiedziach przewieziono nas do Zakładu Karnego w Wierchowiu Pomorskim (woj. koszalińskie). Spodziewaliśmy się wszyscy czegoś lepszego, warunków znośniejszych, luźniejszej dyscypliny. Zastaliśmy wrogą atmosferę ze strony służby więziennej i kadry Z.K. w Wierchowiu. Kławisze byli opryskliwi i pedantyczni w wykonywaniu swych czynności. Obserwowaliśmy zwykłą nienawiść wobec 'Solidarności'. Jeden z poruczników twierdził, że dla niego jesteśmy przestępcami i tak będziemy traktowani. Powstała atmosfera pewnego rozgoryczenia. Jedyną możliwością kontaktu były okna, spacer i 'kalifaktorzy' roznoszący posiłki. Poza nami w Wierchowiu było kilkunastu działaczy 'Solidarności' z woj. koszalińskiego. Rozpoczęły się częste rewizje w celach, a nawet rewizje osobiste przy wychodzeniu na spacer. Wkrótce przybył do nas bp Ignacy Jeż z Koszalina. Wizyty biskupów były dla nas przeżyciem. Od następnej niedzieli przybywali do nas biskupi szczecińscy. Odwiedził nas m.in. bp Kazimierz Majdański. Nastrój mszy św. uroczysty, patriotyczny i wzruszający, śpiewano hymn, 'Rotę', 'Boże coś Polskę', Pieśń Konfederatów i inne.

Z czasem nieco ucichły emocje. Mniej dyskutowano, mniej prowadzono ożywionych rozmów, z wyjątkiem sytuacji, gdy zaistniało coś interesującego. Dochodziło więcej prasy podziemnej, którą czytano 'od deski do deski'. Sporo żartowano, próbując tym samym — jak sądzę — zatrzeć niecierpliwość i niepokój. Większość czasu przeznaczono na naukę, czytanie książek, grę w karty i szachy. Próbowano się uporządkować to wszystko, co zdarzyło się od 13 grudnia. Z dnia na dzień czekano na coś, co by przysporzyło nadziei, określiło w jakiś sposób termin ewentualnego wyjścia i rozwiązanie sytuacji w kraju. SB dokonywała przesłuchań. Propagowana była idea niechodzenia na przesłuchania, ale ze zrozumieniem odnoszono się do tych, którzy jednak tam szli. Negatywny był stosunek do podpisywanych aktów lojalności (u nas nazywanych 'zajawkami'). Nie robiono wszakże wyrzutów osobom, które je podpisały.

Służba więzienna zaczęła stosować wobec niektórych internowanych przemoc. Pobito kilku kolegów z Koszalina. Po odkryciu przez internowanych podsłuchu w kilku celach kławisze zaczęli zachowywać się prowokacyjnie. Przez trzy dni przeprowa-

dzano rewizję w celi, aby znaleźć ukryty przez internowanych sprzęt podsłuchowy. 13 lutego doszło do brutalnego pobicia więźszości z nas. Do cel wchodzili funkcjonariusze więzienni wyposażeni w długie pałki, gaz, tarcze, hełmy. Siłą ustawiono nas do tzw. apelu. Wywlekano internowanych i urządzono 'ścieżkę zdrowia'. Niektórych boso przepędzono po śniegu. Wszystkich bito, cele gazowano. Od następnego dnia część internowanych podjęła głodówkę. Stosowano tę formę protestu wcześniej. Głodujący żądali przyjazdu MCK, władz odpowiedzialnych za zachowanie funkcjonariuszy służby więziennej i wszczęcie sprawy. Nazajutrz przyjechał biskup Gałęcki ze Szczecina, Sprawa pobicia nabrała rozgłosu. Przyjechali przedstawiciele Centralnego Zarządu Więziennictwa, prokuratura wojskowa wszczęła śledztwo, które jest jeszcze w toku...

W marcu można było oficjalnie kontaktować się w grupach spacerowych, korzystać szerzej ze świetlicy. Sytuacja internowanych przedstawiała się tak jak w Goleniowie. Atmosfera stawała się luźniejsza. Codziennie przyjmował lekarz, co tydzień można było chodzić do dentysty. Częściowo wymieniono klawiszy i oficerów służby więziennej na pawilonie. Wprowadzono dwukrotną kąpiel w tygodniu. Przyjechali w końcu przedstawiciele Międzynarodowego Czerwonego Krzyża oraz PCK. Nawet nadeszły paczki z MCK. Rewizje były nieco rzadsze. Dokonywano ich tylko przed rocznicami, świętami, przed 13 każdego miesiąca.

29 marca otworzono w Wierzchowie cele. Atmosfera podniosła się. Rozpoczęto niekończące się dyskusje, polemiki, spotkania. Rozwijały się namiastki życia kulturalnego. Zaczęło ukazywać się więzienne codzienne pismo *Wierzchowo Nius*. Ogółem ukazały się 64 numery tego pisma. Rozwinęła się produkcja stempli o najprzeróżniejszej treści. Organizowano odczyty, prelekcje, kursy. Największym powodzeniem cieszyły się wykłady z historii prof. Łuczki. Organizowano również wykłady z socjologii, historii sztuki, religioznawstwa i inne. Leczeniem zajmował się praktycznie internowany dr Z. Zdanowicz. Powstał chór, który był prowadzony przez Zygmunta Dziechciowskiego, jednego z internowanych, dobrze znającego się na muzyce. Dysponowaliśmy organami elektronicznymi, dostarczonymi przez bpa szczecińskiego. Msze św. były bardzo uroczyste i śpiewne, na organach grał Z. Dziechciowski. Kończyły się długą rozmową na tematy dotyczące kraju i religii.

Wielkanoc spędziliśmy w miarę spokojnie. Widzenia 11 i 12 kwietnia były znacznie dłuższe. Znalazły się świąteczne jajka

i baranek z cukru. Panowała rodzinna atmosfera. W oba dni przybyli ze Szczecina biskupi Gałęcki i Stefanek.

Wszystkie rocznice przygotowywane były i obchodzone uroczyście. 13-go każdego miesiąca o godz. 21.00 zbieraliśmy się wszyscy w świetlicy głównej na wieczór wspomnień. Stół ping-pongowy zastawiony był po brzegi świecami, modliliśmy się za ojczyznę, śpiewane były pieśni, nastrój był podniosły. Minutą ciszy czciliśmy pamięć poległych górników z kopalni 'Wujek'. Wieczór prowadził Przemysław Fenrych.

Dużo emocji i dyskusji wzbudził dokument Społecznej Rady Prymasowskiej na temat porozumienia narodowego. Jednakowego zdania wówczas nie wypracowaliśmy. W tym czasie niektórych internowanych zwolniono. Do maja było nas już około sześćdziesięciu. Wydarzenia 1, 3 i 13 maja wzbudziły radość i nadzieję, iż społeczeństwo nie jest ostatecznie rozbite i zniszczone. Po tych wydarzeniach obóz zaczął się zapełniać, w przeciągu kilkunastu dni było nas już ponad 130. Emocje się podniosły. Ponownie mnóstwo rozmów, narad, wykładów. Dyskusje na temat sytuacji w kraju, ewentualnego jej rozwoju, możliwości rozwiązania istniejącego impasu.

W wierzchowieckim obozie huczało od gwaru, powstawały sytuacje, zarówno smutne, jak i wesołe. Przeprowadzono ligowe rozgrywki w ping-ponga, szachy, bridge'a. Jeden z internowanych, Sławiński, przygotował spektakl kabaretowy. *Wierzchowo Nius* zamieszczał poza informacjami z kraju i ze świata felietony, satyrę rysunkową. Ogólnie żartowano na temat 'rodziny', tzn. internowanych osób z władz regionalnych 'Solidarności' w Szczecinie, którzy tworzyli nieformalną reprezentację. Wysuwano 'kandydatów' do grona zbliżonych do 'rodziny'. Robiono na ten temat satyryczne rysunki, żartowano. Przeprowadzono ankietę na temat poglądów politycznych. Pewna część osób twierdziła wówczas, że nie ma sprzeczowanych poglądów politycznych. Większość natomiast twierdziła, że ma poglądy socjaldemokratyczne, potem chadeckie i liberalne. Wyniki publikował *Nius*. Życie kulturalne i społeczne kwitło. W czerwcu i lipcu Jerzy Zimowski prowadził dyskusję na temat metod 'walki bez przemocy'. Wrócił temat też Społecznej Rady Prymasowskiej, uznanych tym razem za godne uwagi i poparcia. W dalszym ciągu dużo czasu poświęciliśmy na czytanie, uczenie się języków obcych, więcej czasu poświęciliśmy odpoczynkowi w związku z dłuższymi spacerami i ciepłym latem. T. Demko zorganizował kurs gramatyki języka polskiego.

Stosunek do klawiszy i oficerów służby więziennej był na



ogół bezkonfliktowy. Od maja organizowane były przez internowanych niemal codzienne nabożeństwa. W czerwcu powstało drugie pismo *Solidarność Internowanych*. Duży był dostęp do publikacji podziemnych.

Od czerwca rozpoczęto stopniowe zwalnianie internowanych. Po 22 lipca zwolniono większość. Pozostało nas wówczas trzydziestu czterech. Posunięcia władz na 22 lipca uznaliśmy za pozorne, za straconą szansę. Wyczuwało się wśród nas rozczarowanie. Przerzedzenie osłabiło tempo życia w obozie. Rozpoczął się okres nieco spokojniejszy i wolniejszy. Dzień był odmierzany jednakowym rytmem. Wiele czasu poświęcano na niewielką działkę, gdzie rosły warzywa. Mnóstwo czasu było wówczas na refleksje, na przeanalizowanie raz jeszcze wszystkiego, chociażby swego miejsca w toczących się wydarzeniach w kraju.

Dnia 2 sierpnia wywożono nas do Strzebielinka. Rewidowano tym razem blisko 6 godzin, rozrywając nawet proszki do prania. Czekaliśmy na długą podróż w dusznych 'sukach' milicyjnych. Słońce wówczas grało niemilosierdzie”.

*10 sierpnia, wtorek*

Dziś byłem na plaży w Sopocie! To był jeden z obrazów prześladowających mnie od wielu miesięcy — zobaczyć morze, zobaczyć góry. Na własne oczy.

Jestem nad morzem, naprawdę. Od kilku dni na wolności. Termin „na wolności” wymyślono na długo przed stanem wojennym. Nie czuję się wolny. Już mam za sobą kolejną „rozmowę” z ubekiem w Komendzie Wojewódzkiej milicji. Wynika z niej, że dla mojego pokolenia trudno będzie o miejsce do życia i pracy. Pokolenie Sierpnia Polskiego jeszcze musi stoczyć walkę o miejsce do życia. Czy to będzie tak, jak z akowcami, czy miejsca dla nas w więzieniach, czy miejsca dla nas na marginesach, nieważnych poboczach życia kraju... Chyba społeczeństwo nie zapomni o nas, chyba nie da się zastraszyć.

Sam początek był wspaniały. Odwiedziny, odwiedziny — znajomych, kolegów, sąsiadów. Kwiaty, pomoc. Ale co będzie z pracą, czy będę miał szansę normalnej aktywności — zawodowej, związkowej... Wiem jedno — jestem częścią naszego narodu, mój los związany z jego losem. Jeśli uda się nam — uda się i mnie.

29 sierpnia, niedziela

Obozowa szkoła konspiracji sprawiła, że pozostając z tej, czy raczej — z tamtej strony muru, nadal mogę kontynuować ten zapis. Już w krótkim czasie przetarliśmy wspólnie kilka kanałów wzajemnych kontaktów. Jednym z nich nadeszła do mnie paczka grypsów:

„24. 08. Sprawa Mariana Jurczyka.

W ostatnim czasie obóz żył tragedią Mariana Jurczyka. Wiesz zapewne o samobójstwie jego syna i synowej. Wszystko to spadło na niego i na nas 6 bm., w piątek, niespodziewanie. Pamiętam, jak zawołano go po południu ze spacernika 'do przodu'. Właśnie tak, zupełnie bezosobowo, urzędowo. Teraz wiem, że usłyszał tam, mniej więcej coś takiego:

— Czy pana syn ma na imię Adam?

— Tak.

— Synowa jest?

— Tak.

— Mam obowiązek panu przekazać bardzo smutną wiadomość — oboje nie żyją. Popełnili samobójstwo. Przed chwilą otrzymałem telegram z Komendy Wojewódzkiej MO w Szczecinie z tą wiadomością oraz z poleceniem przekazania jej panu. Nic więcej nie wiem.

Tyle dowiedział się Jurczyk od porucznika Szafrąńskiego. Wiadomość o tragedii Jurczyka przez dłuższy czas szła przez pawilon, z celi do celi. Nie wiem, co myślał wówczas Jurczyk, ale naszą najczęstszą reakcją było potworne podejrzenie o zemstę polityczną na Marianie. Nie widziałem go przez parę godzin, siedział w celi.

Jeszcze wieczorem zebrała się Rada Obozu. Postanowiono zrobić wszystko, by uzyskać maksimum informacji o tym co się stało i by Marianowi umożliwiono kontakt z rodziną. Zupełnie poważnie mówiło się o możliwości buntu w obozie, o podpaleniu tej budy, jeśli następnego dnia Jurczyk nie otrzyma wiarygodnych i pełnych informacji.

Następnego dnia była jednak wolna sobota. Jurczyk wraz z Jackiem Markelem uzyskali zgodę na telefonowanie w tej sprawie do Szczecina. Nie załatwili nic. Do Szczecina nie dodzwonili się, nie zastali też komendanta obozu — nie było go. Pustka. Obłąd.

Został z tym do poniedziałku.

Jeszcze w sobotę, w południe, na parodniową przepustkę wypuszczono Przemysława Fenrycha ze Szczecina. Zrobiliśmy składkę na taksówkę. Miał jak najszybciej znaleźć się w Szczecinie i dowiedzieć się czegoś konkretnego. W poniedziałek powtórzyła się historia z soboty z nieudanymi telefonami.

W noc poprzedzającą pogrzeb przyjechali ubecy ze Szczecina i zabrali Mariana. W 24 godziny później — wrócił. Był bardzo zmęczony, wydawało mi się, że posiwiął. Nie pytaliśmy go o nic. Z tego co sam opowiedział dowiedzieliśmy się, że przez cały ten czas był pod nieustanną 'opieką', nie zezwolono mu na odwiedzenie domu i kontakt z rodziną na osobności. Po pogrzebie na Komendzie MO w Szczecinie proponowano mu w zamian za wystąpienie w telewizji z apelem o spokój na ulicach miasta wynajęcie mieszkania na trzy dni i sprowadzenie tam jego i jego rodziny. Odmówił.

Nie wiemy nawet, jak mu pomóc. Zajmują się nim najbliżsi koledzy, nie narzucamy się mu ze swoim współczuciem. Trzyma się dzielnie.

26. 08. *Obchody 600-lecia Obrazu Jasnogórskiego:*

Godzina 10-ta — msza św. (zamiast homilii wybrane przez nas fragmenty kazań prymasa Wyszyńskiego oraz modlitw papieża).

Godzina 17-ta — konferencja maryjna, na której Jasiu Bartzak mówił o społecznej nauce Kościoła.

Godzina 22-ga — apel jasnogórski (modlitwy i pieśni w kaplicy).

Przez cały dzień w oknach cel okolicznościowe plakaty.

27. 08.

O piątej rano przywieziono 18 osób z Białogłki (region Mazowsze). Wśród nich jest dr Gabriel Janowski, wiceprzewodniczący NSZZ Rolników Indywidualnych Solidarność.

Po południu przywieziono dary z parafii księdza Jankowskiego z Gdańska. Przywieźli je Anna Kowalczykowa i dr Budny: margaryna, szynka, puszki mięsne, ser, kawa, herbata, kakao, cukierki, papier toaletowy. Jacel Merkel dowiedział się, że urodziła mu się córka.

29. 08.

Drogi...

Nie wiedzieliśmy, że już jesteś. Następne wiadomości będziesz dostawał regularnie. Jest u nas Szczecin. Szczecin ma wyraźnie związkowy charakter. Brak u nich różnych tendencji politycznych. Marian Jurczyk ma ogromny autorytet i jego stanowisko lub zdanie bardzo ich jednoczy. W mowie i myśleniu bardzo mocno wychodzi ich dbałość o prawdę. Tak mówią, jak było. Brak u nich, np. w listach do Episkopatu czy papieża, chęci takiego pisania, by zyskać coś na przyszłość itp. W Strzebielinku czują się zaszokowani grupami politycznymi, swobodą poruszania się po ośrodku i organizowaniem — dość swobodnym — życia, możliwością dbania o zdrowie (dentysta, szpital). Są bardzo ostrożni w wyrażaniu opinii o aktualnej sytuacji, szczególnie w ujawnianiu ich na piśmie, w prasie podziemnej. Do takiej postawy zmusiło ich w Wierchowiu traktowanie przez komendanta (bicie w lutym) oraz taktyka komendanta MO w Szczecinie i dość słabo zorganizowane tamtejsze podziemie. Cała grupa szczecińska zwarcie bierze udział w nabożeństwach (także niewierzący). Organizowali się wokół cotygodniowych mszy św. odprowadzanych przez jednego z biskupów oraz wokół nabożeństw i konferencji religijnych organizowanych przez członków szczecińskiego Klubu Katolików (nie jest zawieszony, WRON przeoczył ten klub). Jest to grupa wśród nich najliczniejsza, ideowo i organizacyjnie bardzo zgrana, a wśród nich Przemysław Fenrych, członek Rady Prymasowskiej, jedyny z jej składu internowany (aktualnie na przepustce).

Ta grupa nadała również zabarwienie polityczne szczecińczykom. Około 8 sierpnia przywieziono do Strzebielinka dwóch członków pprowskiego klubu 'Odrodzenie' ze Szczecina, jeden z nich jest rzecznikiem prasowym tego klubu. Trzymają się oni trochę z boku, twierdząc, że są tu przez pomyłkę i w dyskusjach politycznych nie biorą udziału. Tak to wygląda w deklaracji, natomiast w praktyce jest trochę inaczej. Odstają od grupy.

Napisałem tę charakterystykę, ponieważ NN opisze Ci inne szczegóły, a tych być może nie.

Innym ważnym problemem jest propagowanie i organizowanie legalnego działania społecznego wokół Kościoła i obok Kościoła. O tym chciałbym dłużej z Tobą porozmawiać. Tymczasem przeczytaj notatkę w *Gościu Niedzielnym* z 6 czerwca br., nr 12. Inicjatywa godna naśladowania. Czekam na ciąg dalszy wiadomości, mocno Cię ściskam, pozdrowienia dla znajomych.

## Drogi...

Dziękuję Ci za wszystkie grypsy — wiele informacji jest dla nas nowych, szkoda tylko, że taki czas, że tak dużo z nich brzmi pesymistycznie. Nasza ocena jest niestety podobna. Boję się o 31 sierpnia, bo obie strony zdają się wszystko stawiać na jedną kartę, a w takiej konfrontacji przewagę ma oczywiście władza. Jak to ładnie porównał prymas — jest to walka byka z torreadorem. Jeden posiada potężną siłę, a drugi rozwściecza byka czerwona płachtą, by mu na koniec zadać na zimno precyzyjny, śmiertelny cios. Sądzę, że szanse na powodzenie akcji są minimalne, co zresztą łatwo było przewidzieć wcześniej, decyzja o demonstracjach na 31 była więc błędem. Bardzo dużo osób w obozie (cała frakcja fundamentalistów z komendantem legionów) sądzi inaczej. Ślady rozbieżności mogłeś zauważyć na przykładzie listu do prymasa, który to list był już i tak wersją kompromisową, okrojoną z bardzo delikatnego przyznania, że i my, w tym co się stało, nie byliśmy bez winy. Straszne są takie spotkania: myślisz, że rozmawiasz z człowiekiem, a tu ściana, beton — żadne argumenty nie dochodzą. Koledzy z Białołęki są tu dopiero dwa dni, ale już chwają sobie zmianę. Tam mieli cele otwarte tylko przez 3 godziny dziennie, krótsze spacery i widzenia — wszystko ogólnie gorzej niż u nas. Resztę Białołęki rozwieziono do Darłowa (7 osób), do Załęża (tyle mniej więcej, co do nas) i jeszcze gdzieś, ale nie wiedzą gdzie. W Białołęce została tylko grupa więzienna (18 osób), będąca od początku w izolacji (w tym wszyscy których przewieziono od nas 29 grudnia: Kuroń, Gwiazda, Wujec, Rulewski itd.). Jechali tu 14 godzin tzw. łodówkami. W Grudziądzu wybili wywietrznik i na kiju wywiesili flagę 'Solidarności', krzycząc przy tym — przechodnie oglądali się za kolumną. Ciągłe spodziewamy się następnego transportu około 40-osobowego, nie wiadomo skąd. Nasza cela niewiele zmieniła wygląd (trochę tu może brudniej, od kiedy Cię nie ma) (...).

Spróbuj obliczyć może, ile już osób przewinęło się przez Strzebielinek. Uzupełnij też listę o białołęczan (ja przesłałem listę poprzednią). Na liście zaznaczyłem tzw. Amerykanów — są to faceci z puli kryminalnej. Po 31 bm. posłę Ci wszystkie wycieczki statystyczne. Zastanawiam się na ile pewny i bezpieczny jest nasz dotychczasowy kanał (przy tej częstotliwości wymiany). Może rozważyć uruchomienie kanału awaryjnego (przypomnij sobie, gdzie pracuje...). Napisz też koniecznie o sobie i swoim obecnym statusie. Łączę najserdeczniejsze pozdrowienia... i wszyscy pozostali”.



W tej samej „poczcie” dotarł również zestaw dokumentów dotyczących brutalnego pobicia 45 spośród 88 internowanych w obozie w Wierchowiu Pomorskim w dniu 13 lutego 1982 roku przez funkcjonariuszy tamtejszej służby więziennej. W sprawie tej wojskowa prokuratura garnizonowa w Koszalinie wszczęła postępowanie karne w stosunku do kilku sprawców bandyckiego pobicia, zakończone właśnie postanowieniem o warunkowym umorzeniu śledztwa i karach pieniężnych. Oto co piszą przebywający w Strzebielinku internowani z Wierchowa:

„Na marginesie postanowienia... Postanowienie o warunkowym umo-

zeniu postępowania karnego prowadzonego przez Wojskową Prokuraturę Garnizonową w Koszalinie przeciwko por. służby więziennej K. Wronkowskiemu i por. E. Ambryszewskiemu, bezpośrednim sprawcom pobicia z 13 lutego br. w Wierchowiu Pomorskim, wymaga znacznych uzupełnień. Wprawdzie miało miejsce oficjalne przyznanie się do bestialskiego pobicia, jak i symboliczne ukaranie sprawców, rażąco niewspółmierne do winy, ale pomija ono wiele faktów z nimi związanych, a mających istotne znaczenie dla samej sprawy.

Decyzja prokuratury z 18 sierpnia br. nic nie wspomina o warunkach uwięzienia internowanych w tamtejszym zakładzie karnym, o atmosferze daleko odbiegającej od jakiegokolwiek normalności, o faktach sprzed 13 lutego (np. o wcześniejszych pojedynczych pobiciach), a także o wydarzeniach po tym dniu. Wszystko to może pozwolić na dostrzeżenie właściwych przestępców kryjących się za wykonawcami rozkazów. O możliwości zaistnienia takiej sytuacji wielokrotnie ostrzegaliśmy tutejsze władze więzienne, mówiąc o wulgarności w odnoszeniu się do nas, szykanach. O faktach tych w pismach do prokuratury wojskowej w Koszalinie powiadamiał m.in. internowany G. Wiśniewski.

Ostatnie przed 13 lutego pobicie miało miejsce 3 dni wcześniej, gdy w celi numer 2 koszalinianie wykryli urządzenie podsłuchowe, a w innych celach znaleziono pozostałości po tych urządzeniach. Dla znalezienia zdemontowanych przez nas części klawisze przeprowadzili niezwykle drobiazgowo przeszukanie cel, zaś nocą miały miejsce w obecności komendanta zakładu karnego mjr. M. Gadomskiego przesłuchania internowanych, prowadzone przez płk. Frydrychowicza z Koszalina.

Klawisze będący pod wpływem alkoholu wywlekali z cel niektórych internowanych i bili. Pobity został wtedy m.in. T. Habennan z Koszalina. Wcześniejsze pobicia miały miejsce pod koniec stycznia, gdy poturbowani zostali J. Witkowski, R. Śnieg, T. Dziechciowski, W. Rudnicki.

O każdym niemal drobiazgu dotyczącym internowanych decydowała i wiedziała Komenda Wojewódzka milicji w Szczecinie i Koszalinie. One również zatwierdzały skład cel internowanych, decydowały o korzystaniu z telewizji, a nawet ze spaceru. Dla porównania warto wspomnieć, iż internowani z Pomorza Zachodniego, przebywający do 11 stycznia w zakładzie karnym w Goleniowie, mimo znacznie trudniejszych warunków bytowych (kible w celach, 1,75 m kwadratowych na osobę, pierwsze 10 dni bez spacerów, bez telewizji, świetlicy, wigilia o chlebie z margaryną) uważali, że mieli jednak lepszą atmosferę i byli lepiej traktowani przez klawiszy i ubeków. Nie było tam do pomyslenia, by wydarzyło się to, co stało się w Wierchowiu.

A teraz konkretnie: w postanowieniu o umorzeniu podaje się nieprawdziwe stwierdzenie, iż 'do użycia środków przymusu fizycznego wobec internowanych w dniu 13 lutego kierownictwo ośrodka w Wierchowiu Pomorskim nie poczyniło wcześniejszych przygotowań'.

Otóż — już 13 lutego rano wszystko wskazywało na to, że coś się ma wydarzyć: wzmocniono obsługę na wieżyczkach strażniczych, liczniejsza była obsada przy wydawaniu posiłków. Niektórzy oficerowie służby więziennej, np. tzw. wychowawcy internowanych, por. Lubomir Sikorski, odsunięty tego dnia od służby, w rozmowie z naszym kolegą L. Dłouchym powiedział, że 'to jeszcze nic — większe przyjemności czekają was wieczorem'.

Istotnie: bijąc klawisze krzyčeli do nas — 'pierdolone wałęsiaki'. 'Jaruzelski po to dał nam pały, byśmy was lali i mamy prawo zrobić z wami, co chcemy'. Te formy 'wychowawcze' zostały zupełnie pominięte w opisie prokuratora. Znaczące są również inne przemilczenia.

Prokurator pisze, że w celi 14 nikt nie został pobity, a faktycznie wynikało to z tego, iż znajdowali się w niej Marian Jurczyk i inni członkowie Zarządu Regionu Pomorze Zachodniego. Im powiedziano tylko: 'Dzisiaj wam, skurwysyny, podaruję, ale następnym razem to będzie inaczej'. Widać klawisze uznali, że ryzyko rozgłosu byłoby w tym przypadku zbyt duże.

Skargi na pobicie były pisane bezpośrednio po wydarzeniu i składało się je często na ręce oprawcy. Wielu internowanych nie wierząc w sens i skuteczność skarg, nie korzystało z tej możliwości. Stąd według obliczeń internowanych pobitych było aż 45. Podobnie miała się rzecz z obdukcją sporządzaną w godzinę, dwie po wydarzeniach przez lekarza więziennego. Zdarzało się, że do lekarza wzywał klawisz, który wcześniej bił. Część kolegów, myśląc, że to podstęp, nie zgłosiła się do lekarza.

Pominięto zupełnie działania dwóch oddziałowych, którzy, nie biorąc udziału w bezpośredniej akcji, wskazywali cele lub osoby, którym 'należy wpierdolić'. Wyróżnili się tutaj klawisze A. Cap i Maruszewski.

W niedzielę 14 lutego dla odprawienia mszy św. do obozu przybył biskup J. Gałęcki, którego powiadomiono w administracji zakładu karnego o 'sprzecznym z prawem' zachowaniu internowanych i dopiero po konsultacjach z KW MO w Szczecinie, na wyraźne nalegania biskupa doszło do odprawienia nabożeństwa. Warto przy tym wspomnieć, że cotygodniowe nabożeństwa aż do końca marca były dla nas jedyną możliwością spotkania się poza celą. Idących na te msze św. strażnicy rewidowali, a z korytarza przebieg mszy św. obserwowali oficerowie służby więziennej. Tego samego dnia widzenia z rodzinami miały inny przebieg, niż normalnie: z jednej strony — my, z drugiej, oddzieleni kilkoma długościami stołu — rodziny. Po bokach stali nasi wczorajsi oprawcy. W pewnym momencie Edmund Bałuka zdjął koszulę i pokazał odwiedzającym swoje posiniaczone plecy, wskazując przy tym na sprawców bestialstwa. Widzenia przerwano, a koledze M. Kłyścze próbowano wytoczyć postępowanie karne za obrazę przedstawicieli władzy.

Zorganizowaliśmy głodówkę, aby zwrócić uwagę społeczeństwa na te wydarzenia. We wtorek 16 lutego głodówkę przerwaliśmy, po wizycie płk. Pawlaczka z Centralnego Zarządu Zakładów Karnych, który przyrzekł znaczne złagodzenie rygorów regulaminu, odsunięcie od kontaktów z nami najbardziej 'gorliwych' klawiszy. Wiele faktów pobicia zostało dopiero opisanych i potwierdzonych w dokumencie prokuratury, my nie zaliśmy wielu nazwisk bijących. Niektóre z nich zdradzili nam życzliwi nam ich koledzy. Dowiedzieliśmy się również, że 13 lutego ktoś wezwał ze Złocienica dwie karetki pogotowia. Zostały one jednak w bramie zawrócone. Wiadomo również z przecieków z komendy więzienia, że w dniu pobicia z Warszawy przyszedł teleks, w którym była zgoda na użycie siły wobec internowanych. Trzeba przyznać, że dzięki sporządzonemu postanowieniu o umorzeniu postępowania karnego było możliwe zaalarmowanie opinii publicznej z powołaniem się na zobiektywizowany opis wydarzeń.

Od tego postanowienia kilku kolegów złożyło odwołania, podobnie jak i sami sprawcy pobicia...".

30 sierpnia, poniedziałek

Kontynuując pamiętnik „na wolności” — podlegam emocjom nie mniejszym niż te, które miały miejsce w obozie. Nagle miesz-

kanie moje, inaczej niż przedtem, nie wydaje mi się bezpieczne, nie daje mi poczucia bezpieczeństwa. Żeby dokończyć pracę, ciągle krążę z moimi materiałami po znajomych, których starannie selekcjonuję. Na ulicy, gdy poruszam się z mym maszynopisem towarzyszy mi uczucie, które dotychczas przezuwałem tylko, znając je z filmów i lektur o tematyce okupacyjnej. Poznaje smak życia w Polsce podziemnej — tą drogą. A przecież wielu jest, którzy żyją tak od ponad ośmiu miesięcy, których twarze widnieją na listach gończych, ich nazwiska na spisach poszukiwanych. Nabyłem odruchu wyłączania telefonu w miejscach w których przebywam, nasłuchiwania ruchu windy i odgłosu zatrzymującego się pod domem samochodu. Równocześnie kontynuowanie pracy daje mi poczucie przydatności, utwierdzają mnie w tym opinie kolegów — wszyscy oczekują, że zostawimy po sobie wyraźny ślad, świadectwo czasu który trwa.

31 sierpnia, wtorek

Z dzisiejszego grypsu (nosi datę 30. 08):

„Dziś o północy przywieziono 5 nowych z Gdańska (w tym Staszka Burego ze Stoczni Gdańskiej), zatrzymanych w niedzielę. Wręczając im nakazy internowania oficer pocieszał, że to tylko na 10 dni. Wszysey są robotnikami z dużych zakładów Trójmiasta. U nas pełne pogotowie klawiszowy. Wszysey skoszarowani — śpią w budynku administracyjnym. Całą noc trwał nieustanny ruch klawiszowy i samochodów”.



Jest noc. Miastem wstrząsają nadal odgłosy wybuchów petard, aż tu, do pokoju gdzie siedzę wiatr nawiewa resztki gazu łzawiącego. Walczy jeszcze Wrzeszcz i Siedlce, jedno z dzielnic Gdańska, błyska się na Starówce, już z rzadka.

Dylemat rozstrzygnąłem przed południem: zdecydowałem jednak, że mimo ryzyka ponownego internowania czy uwięzienia moim obowiązkiem jest być w tym dniu pod stoczną, pod Pomnikiem. Byłem tam przed dwoma laty, byłem przy podpisywaniu umów gdańskich i byłem też dzisiaj. Wychodząc z domu wzięłem kilka paczek papierosów, zeszyt do pisania, długopis. Dłużej niż zwykle żegnaliśmy się z dziećmi, które mimo stref ochronnych, jakie staramy się stworzyć im w domu — wyczuwają bezbłędnie wszystkie napięcia.

Żeby uniknąć legitymowania i spisania przez patrole ZOMO-wskie, wsiadłem do tramwaju jadącego wzdłuż Stoczni Gdańskiej. Przejechałem tę trasę kilkakrotnie, tam i z powrotem. Około 14.00 wysiadłem, mimo obaw, na przystanku usytuowanym najbliżej Pomnika Poległych Stoczniowców. Zmieszałem się z grupą ludzi wysiadających i oczekujących na tym przystanku. Od Pomnika oddzielał nas kordon ZOMO-wców nie dopuszczających ludzi z wiązkami pod krzyże. Dłuższą chwilę wahaliśmy się, co począć. W tym czasie pod krzyżami zebrała się duża już grupa kilkuset stoczniowców, którzy wyszli z pracy. Widząc niezdecydowanie ludzi wstrzymywanych przez ZOMO, w pewnym momencie zaczęli skandować: „Każdy Polak pod Pomnikiem”. Wezwanie podziałało, jak ostroga. Ruszyliśmy wszyscy razem, w jednym momencie, z różnych stron. Milicjanci znikli gdzieś, jakby się zapadli pod ziemię.

Na Pomniku plakat „Solidarności”, gęstniejący tłum krzyczy: „Solidarność”, „Uwolnić Lecha”. Patrzymy na siebie nawzajem. Rozglądam się, szukając znajomych. Wiec nie ma scenariusza. WRON-a osiągnęła to, że akcje protestacyjne są nieprzygotowane, mają temperaturę, jest w ludziach ogromna potrzeba wypowiedzenia się, jednak przywódcy milczą. Ubecy, których tu z pewnością nie brak, natychmiast zlokalizują ewentualnego mówcę. Dlatego zamiast wyartykułowania programu, choćby powtórzenia też rady prymasowskiej— stać nas tylko na jedno — powtarzanie tych kilku haseł. Sytuacja zagęszcza się, dochodzą nowe hasła: „Wszystkie wrony na Plac Czerwony”. To jest sygnałem do ataku ZOMO. Nagle z ulicy koło liceum ogólnokształcącego wynurza się kolumna pancerna: skoty, armatki wodne zainstalowane na brunatnych pojazdach-monstrach, okratowane autobusy z uzbrojoną bandą ZOMO, gaziki. Manewruję tak, by nie odcięto mi odwrotu. Podobnie zachowują się ludzie wokół mnie. Wjeżdżająca na Plac Solidarności kolumna wypycha nas w otaczające stocznię uliczki. Wycofuję się wzdłuż ciągle jadącej kolumny ZOMO.

Ludzie pod Pomnikiem protestują gwizdząc. Kobiety przeklinają rozchełstaną zgrają ZOMO-wską, która wyskakuje z aut szykując się do szturm. Armatka wodna wjeżdżająca pełnym gazem na plac wali w tłum wodą. Jakiś mężczyzna koło mnie wyciąga legitymację korespondenta prasowego, mówi łamaną polszczyzną coś w stronę wymachującego do nas pistoletem raketowym ZOMO-wca, przypominającego współczesnego Wikinga w hełmie. Pistolet jest na sznurku, ZOMO-wiec kojarzy mi się ze straceńcami z legionów cudzoziemskich, wynajmowanych przez dyktato-



rów do terroryzowania ruchów wolnościowych. Chyba istotnie WRON-a stworzyła etos zaciężników-straceńców, za pieniądze, premie, ekstra traktowanie, ponad prawem — walczących z narodem. Szkolących się w taktyce rozpraszenia i pałowania ludzi, wyłapywania kontyngentu przewidzianego już z góry, dla którego inni z kolei szykują kolejne więzienia, obozy, zaś sejm wymyśla ustawy, a propaganda podbudowuje to ideologicznie, sterując nastrojem poprzez gazety i telewizję. Cała totalitarna machina i my z tą naszą ideą naprzeciwko. Całość układu zabezpiecza wojsko, bezpośrednio nie mieszające się do starć. Ludzie atakowani przez ZOMO kryją się za plecami żołnierzy. Ktoś woła — brońcie nas przed bandytami. Żołnierze milczą, stojąc jak kukły rozciągniętymi szeregami. Tłum wciąga do rozmów dowódców. Na marginesie jatki trwającej na głównych ciągach wzdłuż dworca kolejowego i pod komitetem partii zaczynają się dyskusje z żołnierzami. Ludzie mówią: — komuście przysięgali — im czy narodowi? Pytają — będziecie do nas strzelać, czy nas bronić? Czy jest rozkaz użycia broni do ludzi? Dowódcy wikłają się w rozmowach. Mężczyzn starają się zlekceważyć, ale coraz więcej kobiet oblega ich z podobnymi pytaniami. Inni perswadują: ci chłopcy nie są niczemu winni, jak im każą — będą strzelać. Jeden z wojskowych obrusza się. Tłumaczy, że kwestia użycia broni jest pozostawiona do samodzielnej decyzji każdego z dowódców. Mają również pewne prawo odmowy rozkazu, jeśli sami uznają, że nie należy.

Tak rozmawiamy w drugą rocznicę podpisania umów społecznych. Taki kształt ma polski dialog w 8 miesiącu trwania stanu wojennego. Płacę, inni wokół mnie też — gaz wyciska wszystkim żyły z oczu...

Dopiero w domu, kiedy zbieram myśli, widzę wyraźnie, jak daliśmy się wciągnąć w zwarcie, z którego nie mamy wyjścia. Władzy jest bardzo na rękę sprowadzenie idei solidarności do walk ulicznych, sprowadzenia jej do starć z bandą ZOMO, zepchnięcia w podziemie, gdzie czekają już na nas listy gończe, teksty dekretów, ustaw, wysokie wyroki za działalność, kolportaż, słowo, myśl. I jednak poszliśmy na to, choć w tej grze nie mamy żadnych szans. Przecież o to właśnie chodziło, żeby uwikłać nas w awanturę z klawiszem, z komendantem obozu, z lekarką więzienną, z konwojentem ZOMO-wcem, z ubekiem przeprowadzających rewizję. Ta zbrodnia popełniona została przez wąski sztab podejmujący decyzję o stanie wojennym. Reszta jest już tylko konsekwencją tamtej nocy...

13 września, poniedziałek

Przepisuję do pamiętnika porcję grypsów, bez komentarzy:

„31. 08

Stan obozu 125. O 1.00 w nocy przywieziono nowych — robotnicy. O 15.00 obchody II rocznicy porozumień: z osób będących na spacerze tworzy się pochód. Na czele — Stanisław Bury, Jacek Merkel i Gabriel Janowski (*nota bene*: robotnik, inteligent i chłop). Robimy rundę wokół placu, po czym wchodzimy między II i III pawilon. Klawiszy dużo, ale nie reagują. Hymn, potem Bury czyta listę 21 postulatów sierpniowych. Wybrane osoby wznoszą okrzyki żądające zakończenia stanu wojennego, zwolnienia więzionych itd. Ostatni brzmi: 'Niech żyje niepodległa, samorządna Polska'. 'Rota' i koniec.

1. 09

Stan obozu 136. Przywieziono 11 nowych: 2 z zakładów z Gdańska, 3 z głodówki częstochowskiej, 6 z Torunia, w tym 3 „Amerykanów”. Wśród Gdańszczan jest Jan Eichelberger — pierwszy reinternowany z Gdańska w tym obozie. Zwolniony był przed 1 maja, kierowca WPK, mieszkał poprzednio w celi 35. Uczestnicy głodówki (Janusz Walentynowicz — syn p. Ani, Andrzej Karut z Gorzowa i Franciszek Winiarski z Nysy) opowiedzieli swoją historię: głodówkę rozpoczęli 25. 08 w kościele św. Barbary w Częstochowie pod hasłami zakończenia stanu wojennego, uwolnienia więzionych itd. Głodówka była bezterminowa i podjęło ją 12 osób (z Gdańska, Szczecina, Gorzowa, Opola, Krakowa, Warszawy) w tym również kobiety (np. z Gdańska Ala Górnowicz). Anna Walentynowicz opiekowała się cały czas głodówką, ale w niej nie uczestniczyła. Księża prosili ich o wyjście z kościoła, aż wreszcie biskup częstochowski postawił im ultimatum: albo wyjdą sami, albo ich wyprowadzą. Biskup mówił, że władze zagroziły zerwaniem wszelkich rozmów z Kościołem i cofnięciem zezwoleń na budowę kościołów w przypadku kontynuowania w nich głodówek. Po trzech dniach księża wyprowadzili głodujących. 28. 08 wyjechali (już w osiem osób) do Gdańska i tam w mieszkaniu Walentynowicz kontynuowali głodówkę. Żaden kościół gdański nie chciał użyczyć im miejsca, choć czyniono pewne nadzieje, ale po 31. Głodujący postanowili kontynuować swój protest do 17 września tak, by — jak mówili — objąć swą akcją wszystkie ważne rocznice tego okresu. Aresztowanie nastąpiło 30 sierpnia. Wraz z nimi zabrano również Annę Walentynowicz i inne osoby znajdujące się w mieszkaniu (np. Basię Hejcz, zwolnioną w maju z Gołdapi). Wywieziono ich do Tczewa, gdzie przez dwa dni nie dano im gorzkiej herbaty ani witamin (po silnie osłodzonej herbacie paru dostało ostrych bólów) — wszyscy nadal kontynuowali głodówkę. W celach nie było ani łóżek, ani koców, tylko gołe ściany i okno z wybitą szybą. 31 sierpnia słyszeli odgłosy z ulicy, kiedy to demonstranci podjęli próbę odbicia ich z komendy, a potem przed ich oknami ustawiona była 'ścieżka zdrowia'. Scenę tę mogli dokładnie obserwować. W nocy zaś słyszeli krzyki bitych na komendzie mężczyzn i kobiet. Dopiero później dowiedzieli się, że demonstracje w Tczewie objęły aż 6 tysięcy ludzi. Trzech wywieziono 1 września do Strzebielinka, a co jest z resztą, w tym z kobietami — nie wiadomo. Głodówkę przerwali po dwóch dniach pobytu tutaj na skutek rozlicznych perswazji. Ten dzień zakończyły wspólne modlitwy za Ojczyznę — pamięci września 39.

6. 09

Dziś otwarto spartakiadę strzebielińską. Trwać będzie do 25 września i obejmie 14 konkurencji: siatkówkę, ping-pong, szachy, warcaby, brydż, skok w dal, pchnięcie kulą, przeciąganie liny, bieg krótki, średni (5 małych okrążeń), długi (16 okrążeń), sztafeta 4×1 okrążenie, sztafeta dowolna. Wszystkich podzielono na cztery regiony — drużyny: Gdańsk, Pomorze (Toruń-Bydgoszcz), Pomorze Zachodnie i Mazowsze (Warszawa × reszta regionów). Udział w spartakiadzie jest masowy, całość ma konieczną oprawę, dla zwycięzców specjalne dyplomy. O spartakiadzie szerzej po jej zakończeniu. Nie pamiętam już, czy pisałem, że 1 września rozpoczęły się kursy karate-do. Kursy prowadzi internowany instruktor Mieczysław Kniaz (Szczecin).

10. 09

Stan obozu 139. Odbyła się bardzo długa i burzliwa dyskusja nad tekstami oświadczeń w sprawie więźniów politycznych (chodzi zwłaszcza o KOR). Ujawniły się bardzo głębokie różnice, w końcu wystawiono do podpisów dwa teksty (w załączniku).

12. 09

O godzinie 0 - 0.10 rytualne walenie”.

19 września, niedziela

Jak się dowiaduję, w obozie nie wygasa problem „wyjeżdzać — nie wyjeżdzać”, oczywiście na zachód. Dostałem dwa listy na ten temat: pierwszy pisany z Kanady do obozu, dokąd dotarł poza cenzurą i drugi, stanowiący odpowiedź. W jakimś sensie ilustrują zagadnienie:

„Churchill, 18. 07. 1982 r.

Drogi Przyjacielu, historię mojego wyjazdu zapewne już znasz dlatego nie będę jej opisywał. W pewnym momencie straciłem wiarę w powodzenie tego wszystkiego, co się w Polsce zaczęło, a z racji wykształcenia, widząc wyraźny trend 'na dno' w gospodarce, zdecydowałem się na emigrację. Nie było to łatwe, gdyż miałem świetną pracę, dużo wolnego czasu i wszystko, co było dla mnie istotne było w Polsce — uznałem, że czas pracuje na moją niekorzyść, a w tym co przeczuwałem — co nadejdzie — nie widziałem dla siebie miejsca. Nie spodziewałem się tylko, że wszystko stanie się tak szybko i liczyłem, że proces rozkładu potrwa jeszcze trochę czasu. Przekreśliłem wszystko i ze 150 dolarami w kieszeni pojechałem za ocean. Byłem na tyle zdeterminowany, że naturalny lęk przed nowym i nieznanym był prawie całkowicie stłumiony. Początek — jak zwykle bywa — nie był najwesołszy: fizyczna praca, no i zima. Ciągle jeszcze jestem na statusie robotnika niekwalifikowanego, ale udało mi się dostać na studia doktoranckie z ekonomii. Prawdopodobnie zaczęły studia we wrześniu br., w najgorszym wypadku we wrześniu 1983 roku. Studia same przez się jeszcze niczego nie ułatwiają, trzeba potem gdzieś pracować ale na pewno otwierają możliwości, których bez nich bym nie miał. Sytuacja robotnika niewykwalifikowanego jest tutaj niewesoła — wobec recesji przemian strukturalnych

w gospodarce — trudno znaleźć pracę ponad minimalną płacę (obecnie 4 dolary na godzinę) i ten trend będzie się utrzymywał (...). Kraj jest mieszaniną emigrantów ze wszystkich stron świata i nie ma wrogości do nowych przybyszów. Stosunkowo łatwo więc stać się Kanadyjczykiem, gdyż tolerancja jest tu duża i nikt nie wymaga, by podkreślało się swoje pochodzenie, język, kulturę i zwyczaje.

Kulturowo Kanada stoi niżej niż Polska. Nie czyta się zbyt wiele, a elita kulturalna nie jest tak widoczna, nie nadaje stylu bycia, jak to bywało w Polsce. (...) Na Zachodzie ciągle krążą słuchy o bliskiej perspektywie zwolnienia osób internowanych — wymienia się datę 22 lipca. (—)".

### Odpowiedź:

„18. 09. 1982.

Drogi (—) Wielką radość sprawił mi Twój list — tak rzadki w tym miejscu ślad kogoś bliskiego. Listy i widzenia to najprzyjemniejsze tu chwile. Nie znałem szczegółów historii Twojego wyjazdu. Dowiedziałem się o tym dopiero tutaj i sądziłem, że decyzja o pozostaniu była emocjonalną reakcją na akt 13 grudnia. Myśląc często o Tobie i innych moich kolegach, którzy podjęli podobną decyzję, zadziwia mnie regularność tego zjawiska w polskiej historii. Od z górą 200 lat każde nowe pokolenie składa emigracji swoistego rodzaju haracz w postaci wielu tysięcy, najczęściej młodych ludzi. Sam zresztą tkwię w tym kręgu od dziecka. Wielu kolegów ojca pozostało po wojnie na zachodzie, piszą tutaj, niektórzy nawet przyjeżdżają. Teraz z kolei z moich kolegów tworzy się nowa fala emigracyjna. Jest na pewno coś fatalnego w tym, że tyłu musi wyjeżdżać z kraju, że tak wielu nie widzi dla siebie przyszłości tam, gdzie jest ich własna przeszłość. Rozmiar tego zjawiska, a zwłaszcza istotne czy potencjalne wartości, jakie tym samym stąd umykają, mają jasność obrazu. Gdzie jest w końcu ta prawdziwa Polska — czy tu, między Odrą a Bugiem, w miejscu, w miejscu, gdzie tyle spraw jest na niby, a pozory uchodzą często za rzeczywistość, czy też w tych wszystkich miejscach, gdzie są na świecie Polacy? Sądzę, że część istotnych wartości zawarta jest w relacjach między Wami a nami. W XIX wieku Polskę nazywano 'człowiekiem chorym', w chwili obecnej choroba posunięta jest daleko. To, że Twoja decyzja nie była emocjonalna, a racjonalna dowodzi nieuleczalności tej choroby. Najlepsi, najbardziej potrzebni ludzie, wykształceni, świetni fachowcy, pragmatycy życia społecznego, zdolni artyści, narybek nowożytnych technokratów i tylu innych zdecydowali się na pozostanie na Zachodzie i zerwanie instytucjonalnych więzi z krajem. Trudno to zjawisko poddać sądom wartościującym. Ważne musiały być przyczyny, skoro tak wiele osób zdecydowało się na emigrację. Socjologia zna takie zjawisko jak instynktowne działanie grup społecznych. Czy nie jest tak i w tej chwili, że społeczeństwo, by nie stawiać wszystkiego na jedną kartę (np. walka zbrojna), obstawia wiele możliwości, w tym i 'każąc' części niejako — emigrować. Przykłady Paderewskiego, Mickiewicza, Narutowicza, Mościckiego etc. ukazują, jakie korzyści mogą z tej strony w przyszłości dla społeczeństwa wyniknąć. Sama emigracja nie wpłynie oczywiście zasadniczo na przemiany w kraju, ale stanowiąc potężny w tej chwili rezerwar ludzki, a zwłaszcza myślowy, w tej istotnej części zabezpiecza ogólne interesy społeczeństwa (...).

Wielka niewykorzystana przez władze szansa, jaką stwarzał 22 lipca, eskalacja wzajemnej nienawiści wokół 31 sierpnia, brak programów działania jednej i drugiej strony — wszystko to powoduje, że życie zdaje się

być zawieszono w próżni i posuwać się jedynie z dnia na dzień itd. W tym tunelu ciągle nie widać światła... Ktoś powiedział, że nie pozna się Polski, jeśli nie zna się jej więzień. Sądzę, że to prawda, choć sam poznałem tylko wycinek i to stosunkowo łagodny. Trudno w tej chwili o tym pisać (...). 'Gdzie my, tam granice naszej ojczyzny'.

Twój (—)".

20 września, poniedziałek

Wśród części młodych robotników gdańskich obserwuję po demonstracjach 31 sierpnia i kolejnym rozpędzeniu ich przez ZOMO narastający bunt. Pojawiają się, na razie w planach, pomysły przygotowania jakiejś formy obrony fizycznej. „Obrony”, która przecież w przypadku jej zastosowania natychmiast będzie musiała, zgodnie z nieubłaganymi prawami gwałtu — stać się terrorem. Boję się tej spirali i tym, którzy ze mną mają kontakt odradzam realizowanie tego planu. Ludzie oczekują sprawiedliwości — ponieważ byli bici, oczekują odwetu. Stan wojenny nakręca swoją spiralę. Niebezpieczne jest to myślenie o konstruowaniu proc czy skręcanych metalowych dzid. Sądzę, że myślenie takie jest sporadyczne. Mojemu gorącemu sąsiadowi ze stoczni odradzam tę drogę. Przecież w gruncie rzeczy o to chodzi, o wepchnięcie w terroryzm, w działania podpadające pod kryminalne paragrafy. Potem droga rozprawy byłaby już krótka. Po paru dniach sąsiad przyznaje mi rację. Pyta, co robić?... W międzyczasie nadal działa na rzecz gromadzenia funduszy dla wyrzuconych ze stoczni, choć i innym jest teraz nielekkko. Znacznie zmniejszyły się zarobki, nie ma nadgodzin, ceny idą w górę, na ludzi pada strach o przyszłość.

26 września, niedziela

Z grypsów obozowych:

„20. 09

Stan obozu 133. Dzisiaj dotarła do nas wiadomość, że 15 hm. zbiegł ze szpitala w Wejherowie Wojciech Dobrzyński (Mazowsze). Jest to, po Krzyśku Wyszowski, który uciekł również ze szpitala 8 sierpnia, drugi tego typu przypadek w naszym obozie. Obydwa jednak znajdują się nadal w oficjalnej ewidencji obozu i jak na razie żadne konsekwencje nie dotknęły ani nas tutaj, ani kolegów w szpitalu. Wiadomo przecież, jak cenne to miejsce — szpital.

21. 09

Dzisiaj przywieziono Włodzimierza Przybyłko (Zielona Góra), internowanego 13 grudnia. Przeszedł przez 10 więzień, w tym ostatnio przez

Kwidzyn, gdzie brał udział w akcji protestacyjnej w dniu 14 sierpnia (słynna historia z pobiciem internowanych), oskarżony o czynną napaść na funkcjonariusza służby więziennej otrzymał sankcję prokuratorską i przewieziony został do Elbląga. Tam złożył zażalenie na decyzję prokuratora, co przyniosło mu cofnięcie sankcji. Po 6 dniach otrzymał ponownie nakaz internowania i przywieziono go do Strzebielinka. Sprawa jego oczywiście nadal się toczy. On sam twierdzi, że akt oskarżenia zawiera historię wyssaną z palca...

### 23. 09

Dary od MCK (duński i szwedzki) przywiezione przez dwie sympatyczne tym razem panie z PCK. Są to zestawy higieniczne, w tym 75 damskich. OK. Po podziale utworzyliśmy rezerwę z paczek dla nowych, którzy przyjdą. Tego też dnia kapelan szpitala w Wejherowie nadesłał trochę owoców. Wyszło po misce od zupy na celę.

### 24. 09

Przybyli dwaj nowi z Grudziądza, Waldemar Borowski i Henryk Bielewski. Od nich dowiedzieliśmy się, że nasz kolega Jurek Przybylski, zwolniony stąd 16 bm., po 4 dniach przebywania na wolności został ponownie internowany i osadzony tym razem w Kwidzynie. 'Przy okazji' zwolniono go prawdopodobnie również z pracy.

Ich własna historia z kolei wygląda następująco: w dniu, w którym Przybylski przyszedł do swojego zakładu ('WARMA') po powrocie z internowania, złożyli mu w imieniu załogi swoich oddziałów kwiaty i powitali go. Działo się to w stołówce podczas przerwy śniadaniowej i trwało nie więcej niż 5 minut, po czym wszyscy wrócili do jedzenia. Po paru dniach pojawiło się w zakładzie SB i zwinęło jednego, potem drugiego na komendę. Za każdym razem jechał z nimi dyrektor zakładu i kadrowiec. Tam następowało przesłuchanie w obecności w/w. Gdy ubek stwierdzał konieczność dalszego zatrzymania, kadrowiec wyciągał z teczki zwolnienie dyscyplinarne z pracy i wręczał zatrzymanemu.

Czy to wszystko nie wskazuje na nową metodę pacyfikacyjną? Raz — jest to opłacalne finansowo (nie muszą utrzymywać internowanego na liście płac), dwa — zastrasza wielu ludzi. Nie wiem też, czy na przykład tak wielu opierałoby się przed podpisaniem lojalki, gdybyśmy od 9 miesięcy zwolnieni byli z pracy, pozbawieni zarobków. Wyobrażam też sobie, jak takie zamknięcie dwóch ludzi, którzy tylko wręczali kwiaty i ponowne internowanie człowieka, którego odważono się publicznie przywitać — musiało wpłynąć na załogę tego zakładu, a chyba i nie tylko na nich.

### 25. 09

Odbyło się dzisiaj ogólne zebranie na temat propozycji zgłoszonych przez komendanta. Parę dni temu mjr Kaczmarek, po jednym z biegów spartakiadowych, poprosił do siebie parę osób spośród organizatorów i przedstawił im trzy sprawy: pierwsza — panie z PCK wychodząc zaproponowały ufundowanie z funduszu PCK nagród dla zwycięzców spartakiady, druga — zgadza się na przeniesienie stołu pingpongowego na czas rozgrywania turnieju debła do stołówki, trzecia — czy panowie nie zgodziliby się rozegrać z nami, funkcjonariuszami, meczu siatkówki w środę, 29 bm.? Zaproszeni zasłaniali się koniecznością skonsultowania tych propozycji, stąd też dzisiejsze zebranie. Dwie pierwsze sprawy rozstrzygnięto momentalnie: pierwsza — nie, druga — tak, ale trzecia sprawa wzbudziła szalone emocje. Grać z klawiszami? A dlaczego nie? To prowokacja obliczona na propagandowe

wykorzystanie. Major to fanatyk sportu i chce sobie zwyczajnie pograć itd., itd. Stało na tym, że przegłosowano wniosek o zamknięcie dyskusji, co oznacza, że mecz się odbędzie, jeżeli znajdą się chętni, ale będzie miał on zgoła prywatny charakter. Na kracie pawilonu zawiesiliśmy tablicę z płyty pilśniowej, na razie dla celów spartakiady, ale już przygotowujemy się do przekształcenia jej w gazetkę ścienną. Pokazały się pierwsze dowcipy rysunkowe i fragmenty wierszy wieszczów. Tylko trzy konkurencje pozostały do rozegrania w spartakiadzie strzebielińskiej. Gdańsk prowadzi zdecydowanie.

Minuty i godziny mijają jeszcze szybko, ale już dni i tygodnie dłużej się coraz bardziej i wytracają tempo. Życie tu, z dnia na dzień jest coraz bardziej uciążliwe. I jeszcze ta obmierzła rzeczywistość, uparcie jednoznaczna: podchodzę do okna i wyglądam. Patrzę — a tu więzienie”.

### Grypsy z obozu:

„30. 09

Stan obozu 131, z tego 15 w szpitalu.

Wizytacja Okręgowego Zarządu Więziennictwa z Bydgoszczy w obozie. Starszy pan w mundurze pułkownika chodził w towarzystwie majora po celach. Był cały czas uśmiechnięty, ale zaglądał do szafek i gdzie mu się zachciało. Do Bartczaka zwrócił się — „ty skubany”. Starszy pan bardzo lubi więźniów i chce być sympatyczny.

4. 10

Dzisiaj wysłaliśmy zbiorową petycję do sejmu w sprawie ustawy o związkach zawodowych. Oficjalną drogą nie dało rady, gdyż zakwestionowano nieregulaminowy, zbiorowy jej charakter. Poszło inaczej. Własne listy do sejmu wysłali też Marian Jurczyk i Gabriel Janowski — wszystko to Ci załączam.

5. 10

Dary od kurii gdańskiej przywiózł dr Konopka.

6. 10

Przybyli: Artur Balasz i Stanisław Wądołowski, który był już w Strzebielinku w grudniu. Kilkunastu ze szczecinian na rozmowach z kupcami. 'Rada obozu' powiększyła się do 9 osób. Staszek Wądołowski zastąpił Jacka Merkela w szefostwie. Obecny skład: Wądołowski, Merkel, Bartczak, Jurczyk, Kocjan, Korejwo, Kukuła, Perejczuk i Janowski.

7. 10

Wprowadzono ostre pogotowie klawiszy, to znaczy zwiększono obsadę spacerów i kogutów. Kilkudziesięciu, w tym dużo nowych, nocuje w budynku administracyjnym. Około 20 osób zdecydowało się podjąć wielodniową głodówkę protestacyjną w związku ze spodziewanym rozwiązaniem 'Solidarności'. Większość uznała ten pomysł za nierozsądny, część zrezygnowała po zapoznaniu się z dość szaleńczymi warunkami. Odnośne oświadczenia załączam.

8. 10 (piątek)

Delegalizacja związku. 300-setny dzień internowania”.



Znając nastrój sali sejmowej, nie mogłem mieć złudzeń, jaki będzie wynik głosowania nad ustawą będącą faktyczną delegacją „Solidarności”. Przeciwno głosowało 12 posłów i prawie cały naród. To nie wystarczyło. Resztką sił mobilizuję się do pisania dalszego ciągu pamiętnika. Jest smutno, beznadziejnie, jakby umarł ktoś bliski. Na peronie kolejki smutny pijak z dramatyczną twarzą chrypi „13 grudnia roku pamiętnego wyklęła się wrona z jaja czerwonego”...

*13 października, środa*

Przez dwa dni — 11 i 12 — mimo apeli podziemia, by akcję strajkową przesunąć o miesiąc później stocznia gdańska stanęła. W miejscu narodzin „Solidarności” ci, którzy ją powołali do życia mimo stanu wojennego wypowiedzieli swoje zdanie w sprawie ustawy sejmowej. Wrócił cień atmosfery Sierpnia. Ludzie zaczęli się do siebie uśmiechać, nawiązywali rozmowy. Milczący dotychczas, zdeintegrowany anonimowy tłum poczuł się przez moment gospodarzem. Wróciła nadzieja. W poniedziałek wieczorem wpadł do mnie sąsiad, stoczniowiec. Rozogniony, szczęśliwy — zapraszając do siebie na kielicha. Co chwila dzwonki do drzwi — o przebieg strajku w stoczni dopytywało się tego dnia wielu ludzi. Administracja i komisarz wojskowy dopytujący się ludzi jaki jest program ich strajku i o co im chodzi — nie uzyskali żadnej odpowiedzi. Przywódcy strajku postanowili się nie ujawniać. Na kolejne zapytania ktoś z tłumu krzyknął tylko: wszyscy wiedzą, o co nam chodzi. Rozmawiając wieczorem w kilkuosobowym gronie snuliśmy rozważania, czy strajkująca stocznia pociągnie za sobą następne zakłady. Mnie osobiście powodzenie pierwszego dnia strajku, który przeszedł praktycznie bez przeszkód ze strony władz — wydało się podejrzane. Powiedziałem to memu gospodarzowi. Niestety — miałem rację. We wtorek korzystając z przepisów stanu wojennego złamano opór załogi, militaryzując stocznię. Zamarła też w pół gestu znowu wolna od wczoraj ulica. Gdańsk jak zwykle dał sygnał, wysłał w Polskę znak świadczący, że trwa przy podjętych zobowiązaniach zawartych w porozumieniach sierpniowych.



*Grypsy z obozu:*

„11. 10

Zakończono głodówkę (5 dni). W związku z przypadkami żółtaczki wpro-



wadziłyśmy wewnętrzne ograniczenia w kontaktowaniu się między celami oraz inspekcję w przestrzeganiu czystości.

#### 15. 10

Kilkunastu ze Szczecina — u kupców. Odbyła się uroczystość zakończenia spartakiady, wręczono dyplomy zwycięzcom. U klawiszy zniesiono ostre pogotowie.

Stan obozu — 100, z tego 6 w szpitalu w Wejherowie, a 10 na przepustkach i urlopach.

#### 17. 10

Wyszedł pierwszy internowany dowieziony do Strzebielinka — Leszek Kaczyński. Leszkowi zrobiono dokładny kipsisz, znajdując wszystkie starannie ukryte pieczętki obozowe.

#### 19. 10

Na zebraniu przyjęto tekst 'Listu do społeczeństwa w sprawie nowych związków zawodowych' (główna konkluzja — bojkot). Wielu uważało że należy wysłać tylko rzeczową analizę ustawy, bez wtrętów emocjonalnych, ale przegłosowano to co jest (załącznik). Były też ostre dyskusje z kwestią jak podpisać i do dziś nie jest do końca ustalone. Z tego wszystkiego wyszło wiele kłótni i obraz.

#### 21. 10

Dostaliśmy jabłka z 'centrum', tj. z parafii ks. Jankowskiego, przy której mieści się komisja charytatywna zajmująca się internowanymi i uwięzionymi.

#### 27. 10

Od dzisiaj działa na terenie obozu komisja MCK. Wizyta potrwa dwa dni. Jest dwóch przedstawicieli MCK + ich lekarz (kobieta), przedstawiciel i zarazem tłumacz PCK oraz major z Ministerstwa Sprawiedliwości. Wygląda to jak zwykle. Dzisiaj odbyła się generalna rozmowa oraz wizytacja cel. Jutro rozpoczną się rozmowy indywidualne i badania lekarskie. Na rozmowie generalnej zgłosiliśmy następujące problemy: 1) umieszczenie w polu zainteresowań MCK aresztowanych i skazanych kolegów (odpowiedź: w czerwcu MCK wystąpił do władz polskich z oficjalną prośbą w tej sprawie, do dziś nie ma odpowiedzi, mają pozwolenie tylko na odwiedzanie internowanych); 2) brak ciepłej wody — często w dniach łaźni, zawsze — w stołówce, gdzie myje się naczynia po obiedzie; 3) dojazdy do dentysty i szpitala — nieterminowe, powodujące przerwy w procesie leczenia; 4) do dziś nie jest naprawiona w celach podłoga, zgłaszana w pierwszych postulatach; 5) dieta nie będąca dietą; 6) uszczelnienie szpar na zimę; 7) dogodniejsza regulacja widzeń; 8) dopuszczenie w radiowęzle innych programów prócz I programu Polskiego Radia. Jak widać są to na ogół sprawy drugorzędne, bo też już wiele załatwiono.

— A. Stawikowski ponownie internowany (22. 10), tym razem pojechał do Kwidzyna.

— Kolega przygotowuje opracowanie spartakiady. Wraz z całą dokumentacją będzie to spora paczka, spróbuję ją przekazać przez...

— Mam trochę zamówionych materiałów dla ciebie, ale jeszcze to potrwa. — Kaczmarek jest na dłuższym urlopie. Zastępuje go Biegaj (też już major), co jak wiesz na jedno wychodzi.

— Zrobiono ankietę na temat perspektyw, dróg wyjścia, a szczególnie

nt. zasadności strajku 10 listopada. Na razie w opracowaniu. Wyniki prześlę.

— Prośba — jeśli możesz, postaraj się o stopery do uszu.

— Trzymaj się ciepło i myśl o nas przynajmniej w połowie tak często, jak my o tobie.

#### 4. 11

Przesyłam ci rzecz najciekawszą — ankietę. Zależało mi, byś tę ankietę miał przed 10 bm. Spróbujemy może podjąć tę robotę na szerszą skalę, tu zresztą nie obyłyby się bez waszej pomocy. Z innymi materiałami idzie jak po grudzie — dotkliwie kłopoty kadrowe, znowu zwolnili paru z obozu (zaangażowanych w pracę dla ciebie). W każdym razie kombinuję co mogę. Z ważniejszych spraw, które sygnalizuję, to — Bartczak w szpitalu, wyszedł Z. Dunowski, przyszedł kolejny Walentynowicz (internowany po strajku w Stoczni Gdańskiej) — tym razem szwagier pani Anny — Witold. Muszę już kończyć, bo mnie gonią — wszystko to było robione w superekspresie, przez noc i rano, więc wybacz niezborności listu. Cholera, już naprawdę nie mam czasu, siepacze nade mną.

Dwa dni temu wrócił ze szpitala w Wejherowie po... 7 miesiącach leczenia Zygmunta Błazek”.



Zygmunt Błazek, któremu gryps obozowy poświęca jedną linijkę był postacią — powiedzieć — barwną, to mało. Zanim został Wielkim Szpitalnikiem w Wejherowie, był szefem związkowej brygady plakatowej, tej samej, która powodowała, że Gdańsk z jego murami i chodnikami, a także kolejką i dworcami kolejowymi był w okresie „Solidarności” jedną wielką gazetą do czytania. To był właśnie nasz Błazek. Pod koniec działalności brygada dysponowała mikrobusem marki mercedes, koloru czerwonego, szykownymi kombinezonami, siecią *walkie-talkie*. Wyruszając na akcję w mieście wprawiała w popłoch tzw. władze polityczne i siły porządkowe. Z Błazkiem nie szło im łatwo. Plakatowanie i malowanie murów, także stoczniowych, traktował jako najwyższe powołanie i nie tylko powierzone mu zadania, ale także i te, które sam sobie powierzał wykonywał bezbłędnie i z niezwykłą precyzją oraz — trzeba też przyznać — z talentem. Brygada doszła do niesamowitej wprawy: wymalowanie hasła na przeciwu komitetu partii lub olbrzymich karykatur, czy hasła w rodzaju „telewizja kłamie” zajmowało im dosłownie minuty czasu. Błazek, jako szef i złota rączka „leciał konturem”, reszta młodzieży, dla której praca z nim była przygodą, wypełniała wskazane przez niego pola farbą. Próby zatrzymania brygady czy wciągnięcia jej w awanturę kończyły się zawsze dość nieprzyjemnie dla mundurowych czy cywilnych funkcjonariuszy. W dodatku mieli zwyczaj rejestrowania na taśmie magnetofonowej całego przebiegu

tego typu awantur. Wszystko to powodowało, że Błazek był nie do zdarcia. Stała za nimi, doceniając ich robotę, Stocznia Gdańska, która była gwarantem, że brygadzie nie spadnie włos z głowy. Próba zamachu na nich — jak zapowiedziano — skończy się strajkiem. Prawie cała też brygada wylądowała w obozie w Strzebielinie: Artur Pisarski (małolat), Andrzej Składowski („Chudy”) i inni. Cała Polska zazdrościła Gdańskowi sprawności działania propagandowego. Nawet na nadzwyczajnym zjeździe partii zmartwieni towarzysze interpelowali władze partyjne w sprawie powolnej, niecelnej społecznie propagandy, utyskując, że „Solidarność” bije ich na głowę inwencją i poziomem graficznym oraz rozwiązaniami plastycznymi. Nie mówiąc oczywiście — o czym nie wspominali — o merytorycznej treści. Zasługi Błazaka najlepiej doceniła ubecja, składając mu w czasie internowania propozycję zmiany firmy. Gdyby się zgodził — mógłby wyjść od ręki i kontynuować pracę na murach pod ich dyktando. Próbowali też szantażu. Ale Błazek wybrał szpital. Przesiedział tam 7 miesięcy, bijąc i w tej dziedzinie wszelkie rekordy. Z zawodu technik-elektronik, przestrajał nam w obozie odbiorniki radiowe tak, że z byle pudełka potrafił wydobyć radiostację, o którą właśnie chodziło. W szpitalu opracował kolorowy system informacyjny i był rozrywany przez tzw. średni żeński personel medyczny.



„10. 11

Z perspektywy dzisiejszego dnia ankieta, którą ci poprzednio wysłałem wypada ciekawie. O ile o tej porze można coś sądzić (jest godzina 22.00) dominujący w tej ankiecie pesymizm został potwierdzony. Wysyłam ci dziś, prócz regularnych porcji informacji, listę kwidzyńską, starą listę strzebielińską oraz aktualną. Z materiałami są kłopoty, ale następnym razem na pewno coś dostaniesz. Z Białołęki wyszli wszyscy, do których się zwracałem, nie widzę tam w tej chwili literalnie nikogo. Do ankiety dostaniesz uzupełnienie w postaci obliczeń. Mamy zamiar rozpisanie ankiety na wszystkie obozy, ewentualnie więzienia. Ankieta dotyczyłaby ogólnych postaw, wyboru dróg, widzenia przyszłości itp. Projekt taki jest tu opracowywany. Potrzebna byłaby pomoc zewnętrzna w postaci koordynacji akcji, kontaktów z obywatelami, zbierania wyników, a także — fachowa. Odpisz, na ile jest to organizacyjnie możliwe. Tekst byłby na tyle ujednoczony, by mógł go wypełnić każdy”.

10 listopada, środa

Apel podziemia o strajk ostrzegawczy, ośmiogodzinny. Miał potwierdzić zwartość Związku, gotowość społeczeństwa do poparcia działaczy podziemia... Tylko — dlaczego wybrano tę właś-

nie drogę wyartykułowania samopoczucia ludzi w sytuacji, gdy manifestując musieliby zetrzeć się z władzą przygotowaną od dawna tymi zapowiedziami do akcji i zdecydowaną do rozprawy, niczym wytrenowany bokser wagi ciężkiej, oczekujący przeciwnika, który stawia jeden z pierwszych ringowych kroków. Tak mniej więcej przedstawiają się nasze szanse na dzisiejsze starcie. I chyba nie trzeba być Gallupem, by przewidzieć co może się zdarzyć. Wczoraj jeszcze sytuacja wydawała się nieobliczalna, trudna do przewidzenia. Dzisiejszy ranek potwierdza, że dojrzewa w ludziach świadomość konieczności zmiany tej straconej taktyki, kosztującej tyle już ofiar najaktywniejszych i najwartościowszych ludzi. Ofiary nie idą na marne, ludzie w więzieniach, w aresztach, w obozach, na cmentarzach napełniają świadomość społeczną determinacją, jakąś siłą moralną, to wszystko, co wydarzyło się do tej pory — było potrzebne. Ale dzisiejszy ranek jest jakiś inny. Już teraz czuję, że chyba ten strajk się nie powiedzie...

Około południa wysiadam z kolejki przy stacji Gdańsk-Stocznia. Nad górującym na hali wydziału kałużowego napisem „Stocznia Gdańska im. Lenina”, na czarnym tle, doskonale widoczny wielki napis kredą SOLIDARNOŚĆ. Ale wydział słychać na ulicy, jeden z dźwigów pracuje, nie czuję strajkowego napięcia. Stocznia zmilitaryzowana, na przedłużeniu ulicy Łagiewniki, przy narożnym budynku I liceum stoi ZOMO-wska pięść pancerna — zestaw wozów bojowych, armatek, skotów, bud gęsto osiatkowanych. Czekają na pierwszy ruch ludzi. Podobnie jest na placu przy teatrze i w innych miejscach Gdańska. Mijają godziny, nie następuje oczekiwany ruch. Nastąpiło porozumienie społeczeństwa: dzisiaj — nie. Około 15.00 staje się jasne, że nie będzie również manifestacji ulicznych na większą skalę. Wozy bojowe jadące ulicą Grunwaldzką w stronę Wrzeszcza, wmieszane w tłum samochodów, autobusów wydają się zupełnie zneutralizowane, niegroźne. Groźne są wówczas, gdy natrafiają na zwarty, gotowy do walki tłum ludzi. Choć nie doszło do zapowiedzianego strajku i demonstracji, dziś mam wrażenie, że runda wypada na korzyść społeczeństwa. Ciężkoobrojni przeciwnik poszedł w liny...

Wracający z pracy stoczniovcy w kolejce komentują ranne manewry WRON-y, złości ich marnotrawstwo papieru: każdemu z wchodzących na teren zakładu wkładano do ręki wyciąg dekretu wojennego, zawierający zestaw kar na wypadek naruszenia regulaminu zmilitaryzowanego zakładu. Od kilku dni komisarze poprzez kierowników grozili natychmiastowymi zwolnieniami z pracy, procesami. Bardziej „podpadniętych” wysyłano na urlop okolicznościowy na kilka dni, bez prawa pokazywania się w stocz-

ni. Patrole ZOMO-wsko-wojskowe uzbrojone po zęby opływa tłum ludzi nie zwracających na nie najmniejszej uwagi. A więc wezwanie podziemia pozostało bez echa. Czy oznacza to zerwanie nici powodującej zrozumienie nastroju, wycucie tętna życia społeczeństwa, czy też zaczyna przemawiać geniusz wspólnoty poszukującej w miejsce klasycznych, zablokowanych przez władzę — innych sposobów realizacji naszych celów? Zaczynają się pytania, na które jeszcze nie mamy odpowiedzi.

Jak wynika z nasłuchu rozmów prowadzonych przez milicyjne radiostacje, dziś zatrzymano mimo wszystko 129 osób, z czego do godziny 21.05 zwolniono 50 osób.

### *11 listopada, czwartek*

Ranny telefon: czy już wiesz? Za chwilę następny. Spotykam w mieście znajomego księdza — czy pan słyszał... Jak można mówić o braku wycucia sytuacji geopolitycznej Polaków? Wszyscy uznają, że śmierć Leonida Breżniewa, podobnie jak za czasów naszych dziadów wieści o śmierci cara, będzie miała nie mały wpływ na decyzje rządu warszawskiego. Ten zmysł nie opuszcza nas przez wieki całe, cień moskiewskiego tronu kładzie się na polską rzeczywistość.

W Gdańsku kolejna, 64-ta rocznica odzyskania niepodległości. Niemałą zasługę we wprowadzeniu tej właśnie rocznicy do świadomości społecznej ma Ruch Młodej Polski. Począwszy od kilku lat wstecz młodzi ludzie z RMP organizowali 11 listopada manifestacje i wiece pod pomnikiem króla Jana III Sobieskiego, tego samego, który w nomenklaturze milicyjnych radiostacji w trakcie demonstracji nazywany jest „koniem”, lub „kobyłą”. Tak właśnie mówią: „wysyłam batalion naszych w rejon konia”. Kaplica Matki Boskiej Ostrobramskiej w bazylice Mariackiej w Gdańsku była miejscem, gdzie RMP-owcy organizowali modlitwy w intencji Ojczyzny, później zaś w intencji uwolnienia więzionych kolegów, którzy szli do więzień za uczestniczenie w manifestacjach patriotycznych. Dlatego też i dziś Bazylika Mariacka będzie miejscem odprawienia uroczystej mszy św. Bazylika nosi milicyjny kryptonim 120. Od popołudnia w eterze ciągle pojawia się ta cyfra, wokół kościoła, na starym mieście trwają manewry ZOMO-wskich patroli pieszych i zmotoryzowanych. Czy dziś wszyscy uczestnicy rocznicowego nabożeństwa wrócą do domu?

W pewnym sensie jest nowe społeczeństwo i jest nowy układ: władza rozwiązała „Solidarność” i rozbudowała w to miejsce

ZOMO. Zaproponowała nową filozofię — siły, sprawności fizycznej, pogardy. Słownictwo ZOMO-wskie rodem z radiostacji milicyjnych ujawnia zupełnie niechcący ten nowy rys pogardy. Zatrzymani demonstranci są tylko numerem 244, jak w gdańskich kryptonimach. O konieczności zneutralizowania głosu społeczeństwa mówi się jak o jakiejś konkretnej robocie do wykonania przez ZOMO. Spracowane, coraz lepiej wyposażone i wyszkolone ZOMO regularnie odpiera falowe ataki społeczeństwa.

Do domu dotarłem późnym wieczorem, omijając patrole legitymujące przechodniów. W czasie nabożeństwa w Bazylice, w której było mniej ludzi, niż można się było spodziewać, bo około 5 tysięcy osób, od ołtarza ks. kan. Stanisław Bogdanowicz, proboszcz Bazyliki Mariackiej, ogłosił wiadomość o uwolnieniu Lecha, przyjętą długotrwałą owacją. To jakaś zupełnie niezwykła sekwencja wydarzeń, począwszy od porannej wiadomości z Moskwy, a skończywszy na komunikacie WRON o zwołaniu sejmu na 13 grudnia. Zapewne w celu zawieszenia stanu wojennego. Równocześnie z tą informacją telewizja pokazuje odręczny list Wałęsy do generała Jaruzelskiego z podpisem „kapral Lech Wałęsa”. Czy ton, który Lechu odnalazł okaże się trafny? W tej chwili myślę, że był jedyny — nieco z dystansem i do siebie i do całej sprawy stanu wojennego, równocześnie jakoś akceptujący realia i zarazem stawiający nad nimi znak zapytania. A więc nastąpiło pewne otwarcie...

List datowany jest 8 listopada, na dwa dni przed mającym nastąpić strajkiem 8-godzinnym. Wynikałoby z tego, że Wałęsa wiedział, że na strajk nie ma szans. Uprzedzając rozwój wydarzeń zdecydował się na list. Tylko — co z działaczami podziemia? Czy w ten sposób dystansuje się od ich ustaleń, czy też wyczuwając porażkę ich koncepcji — w ten sposób ratuje całą sprawę? Ale wchodzi w grę, w której WRON-a gra swoją kartę, całe sztaby wysilają mózgi jak zdyskontować jego posunięcie w nowej sytuacji. Czy Lechu uchroni się przed wielką manipulacją, czy nie zawiedzie go instynkt...?

*15 listopada, poniedziałek*

Przyjechał wczoraj w nocy, po trzech dniach oczekiwania go w Gdańsku na Zaspie. Przed blokiem witał go kilkudziesięcny tłum, do którego już z okna mieszkania musiał przemawiać tej nocy 19 razy, aż do ochrypnięcia. Zebrani wyrazili swoją wstępną ocenę jego gestu hasłem: „Naród mianuje cię generałem”,

w nawiązaniu do podpisu pod listem do Jaruzelskiego. Ludzie nie chcą akceptacji wojskowego porządku rzeczy narzuconego przez WRON, a jeśli tak, to przeciwstawić mu pragną własnego generała. Tak widzą jego rolę, a jak widzi ją on sam?

Co się stanie z Wałęsą, jeśli WRON-a realizując zapowiedzi konsekwentnie dążyć będzie do zignorowania go jako ewentualnego partnera jakiegoś nowego porozumienia? Przecież zapowiedzieli wcześniej koniec takich „porozumień”, tego stylu, który narodził się w Sierpniu, nawiązując do tak polskich tradycji historycznych. Już wtedy przewrotni propagandyści wskazywali, że owe porozumienia, owe „pakta” władzy z narodem stały się źródłem słabości Rzeczypospolitej. Te wątki eksponowano w propagandowej robocie chyba z jakimś zamysłem. Więc czy uda się powtórzyć w jakiejś nowej postaci sierpniowy schemat...? A jeśli Wałęsa zostanie istotnie potraktowany jako osoba „prywatna”, były przewodniczący byłego związku zawodowego „Solidarność”? Przecież jego siła brała się z tego, że do Wałęsy przyjeżdżał rząd, że jeśli było trzeba, Lechu zasiadał do stołu z władzą. To była część jego siły. Rozmawiał jak równy z równym w naszym imieniu. Czy teraz, sponiewierany internowaniem, potrafi dalej być wielki? Pokazali, że mogą go tknąć, choć był narodową chorągwią, a my, trzcina — musieliśmy się ugiąć przed narzuconą nam siłą. Przewrotną, bo nie do końca obcą. Rozmaite zmontowane pospiesznie fronty propagandowe w postaci pisarzy katolickich w rodzaju Jana Dobraczyńskiego, deklaracje posłusznym WRON-ie ugrupowań pseudokatolickich i ich nowych liderów czasu wojennego narobiły niemałego zamieszania w głowach ludzi. WRON, realizując całą serię ustaw, równocześnie daje do zrozumienia, że dla posłusznym potrafi stworzyć enklawy swobody, otworzyć granice i zablokowane konta pewexowskie. Wszystkie obietnice i groźby równocześnie rzuca na szalę, na której po przeciwnej stronie pozostały ideały Sierpnia i jedna realna postać — Wałęsa. Wyszedł w momencie, gdy ci, co krzyczeli na ulicach „uwolnić Lecha” w większości poszli do więzień. Więc jakie ma prawo, by teraz do nas przemawiać? Nie mogą słuchać go wszyscy ci, którzy byli z nim razem, którzy obronę Związku potraktowali jako swój obowiązek, który powinien zostać wypełniony do końca. Czy on to rozumie, poza poczuciem historyczności własnej postaci? Nie przejdzie do historii, jeśli sprzeniewierzy się tym ludziom. Był mocny, bo mówił naszym językiem prawdę, o której mówią, że ma moc porażającą, jeśli jest całą prawdą. Czy teraz, w stanie wojennym, zawieszony w próżni, wypuszczony z łaski komendanta milicji, kiedy nikt nie ma prawa powiedzenia całej

prawdy — nadal znajdzie sposób, partnera i audytorium, by prowadzić ten swój dialog? A może w Polsce 1982 i 1983 roku jest to w ogóle niemożliwe? Przynajmniej na kilka — kilkanaście lat...

Jeszcze nie wiemy, kim jest Lechu dziś, po wyjściu z Arłamowa. Po przyjeździe, w trakcie pierwszych rozmów wydawał się nie zdawać sobie sprawy, że Związek jako potężna struktura przestał istnieć, że gesty swe kieruje do ludzi, którzy reagują, ale „Solidarność” straciła moc egzekucji tego, czego wymagałby jej program. Zastąpione to zostało mechanizmem „dobrej woli” generała Kiszczaka, jakiejś frakcji komandorów, z którymi w kularowych rozmowach można niekiedy załatwić to czy owo. Ale nie perspektywę dla milionów ludzi, nie głębokie zreformowanie polskiej rzeczywistości, nie nowy układ polityczny w kraju, gdzie tak przejadł się wszystkim nadużywany do granic wytrzymałości monopol partyjny. To wszystko spada na człowieka, który po raz kolejny podchodzi do okna, na którego z troską i z obawą spogląda żona, przez cały rok pozostająca w układzie działania stanu wojny, znająca realia, rewidowana i upokarzana publicznie. Lechu mówi do nas, jak dawniej: „zwycięzimy”. Patrzymy na niego z troską, nie mogąc opędzić się gorzkim myśłom...



### *Gryps z obozu:*

„Strzebieliniek, 14. 11. 1982

Najdroższy Ojcie Świąty!

Znając wielkie przywiązanie i troskę o naszą wspólną Ojczyznę oraz stosunek Ojca Świątego do naszego Związku 'Solidarność', naszej nadziei, pozwalamy sobie przekazać Ojcu Świątemu i prosić Go o przyjęcie tych kilku słów i naszych ręcznie wykonanych, w warunkach więziennych, obrazków.

Drogi Ojcie Świąty!

W naszym obozie dla internowanych w Strzebieliniku znajduje się 105 osób z kilku województw (głównie gdańskiego, szczecińskiego, warszawskiego, toruńskiego i bydgoskiego), prawie połowa z nas pozbawiona jest wolności od 13 grudnia ubiegłego roku. Dzięki pomocy Kościoła, MCK oraz wielu życzliwych ludzi z całego świata odosobnienie staje się łatwiejsze do zniesienia. Martwimy się głównie tym, co będzie dalej. W Polsce zatwierdzono ostatnio wiele ustaw paraliżujących swobody obywatelskie. Być może, że my, jako przywódcy 'Solidarność', nie potrafiliśmy rozwiązać w sposób pozytywny wielu spraw, ale Ojciec Świąty wie, jak trudno coś załatwić w Polsce. Nie dało się rozłożyć problemów w czasie i rozwiązywać je po kolei, a my, Polacy, jesteśmy bardzo niecierpliwi i chcieliśmy od razu zbyt dużo.

Myślę, że idea 'Solidarność' nawet obecnie nie została zaprzepaszczone. Ona żyje i żyć będzie w ludziach, nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie, tak jak żyje we mnie pamięć o spotkaniu z Ojcem Świątym w Rzymie.



Kończąc zasylam Ojcu Świętemu najszczerze pozdrowienia od wszystkich internowanych, z gorącą prośbą o rychły przyjazd do Polski.

(—) Stanisław WĄDOŁOWSKI”

Wraz z tym grypsem w przesyłce do Ojca Świętego znajdowała się kolekcja najnowszej obozowej produkcji ikonograficznej.

18 listopada, czwartek

Jeszcze zwlekam z naciśnięciem przycisku włączającego odtwarzanie taśmy magnetofonowej — powstrzymuje mnie obawa, co usłyszę. Czy w swojej pierwszej konferencji prasowej (15. XI) Wałęsa będzie ten sam, co dawniej? Jak to jest możliwe w sytuacji, w której za każde nierozważne słowo, za każdy zbędny gest czeka go dekret, perfidna pułapka, skonstruowana przewrotnie, działająca automatycznie z chwilą wypuszczenia go na wolność, która szczególnie dla niego nie jest żadną wolnością. Z drugiej strony — ludzie, prasa, korespondenci — czekający na to pierwsze spotkanie. Wiele od niego zależy, wiele zależy od tego, jaki będzie początek.

Słyszę słowa: wyszedłem jako człowiek całkowicie wolny. Niczego nie podpisywałem, do niczego się nie zobowiązałem, do niczego nie przystąpiłem. Wyjaśnia sprawę listu do generała, radzi korespondentom czytać tekst powoli, podkreśla, że każde użyte słowo ma swoje znaczenie. Łącznie z podpisem. Wałęsa sprawia wrażenie opanowanego, konsekwentnego, bardziej niż kiedykolwiek przedtem. To dobrze. Do tej gry potrzebne będą nowe predyspozycje. Miał czas popracować nad sobą...

W sprawach najważniejszych, programowych — podkreśla, na wielokrotne pytania dziennikarzy, że pozostaje wierny ideałom Sierpnia. Nie rozwija tej tezy, ale jest jasne, że to najważniejszy, zasadniczy punkt jego „nowego” programu. Instynktownie, lub może za czyjąś poradą — przyjął wyraźnie, że jest to płaszczyzna, na której może się poruszać. Że wyjście poza nią — zapoczątkuje atak na niego. Zresztą już następnego dnia komendant wojewódzki milicji w Gdańsku generał Jerzy Andrzejewski (awans z pułkownika nastąpił w stanie wojennym) ostrzegł go w rozmowie telefonicznej, że jest osobą prywatną i jako taka podlega wszelkim restrykcjom stanu wojennego. Ten sam wątek podjął Jerzy Urban na ostatniej konferencji prasowej dla dziennikarzy zagranicznych.

A więc pozostawiają mu klatkę schodową jako pole ewentualnej aktywności związkowej, licząc zapewne, że albo nie zmieści się w zakreślonych ramach popadając w konflikt z tzw. prawem, albo też obniży znacznie swoje notowania w społeczeństwie, nie zadowolając nikogo enigmatycznymi z konieczności elementami programu. Konferencja i jej przebieg wskazuje jednak, moim zdaniem, że Lechu rozumiejąc tę pułapkę zwarł się wewnętrznie i szykuje się do nowej rundy. Z pierwszych reakcji na jego konferencję, której treść rozeszła się w formie nagrań kasetowych wynika, że jest dobrze odbierany, łącznie z intencją, którą zdołał przekazać w tym pierwszym spotkaniu.

*21 listopada, niedziela*

Dziś w kościele parafialnym Stoczni Gdańskiej pod wezwaniem św. Brygidy odbyła się niezwykle uroczystość. Na mszy św. o godzinie 12.30 miało miejsce poświęcenie sztandaru chóru męskiego stoczni, imienia „Solidarność”. Chór powstał w pamiętnym 1980 roku i jest jasne, jakiej wagi stał się dziś symbolem. Zrozumeli to wszyscy. W kościele zgromadziło się około 10 tysięcy ludzi, tworząc wokół przyległego placu gęsty tłum. Poszła wiadomość, że na poświęceniu sztandaru ma być obecny Lech Wałęsa. Wydawała się pewna, gdyż miała pochodzić od samego proboszcza księdza Henryka Jankowskiego. Byłoby to więc pierwsze publiczne pokazanie się Wałęsy poza domem. W kościele zainstalowały się ekipy telewizji zachodnich, korespondenci prasowi, fotoreporterzy. Tuż przed samym rozpoczęciem ktoś przyniósł wiadomość, że Lecha nie będzie. Potraktowaliśmy tę wersję z rezerwą, uważając, że nie będzie chciał zawieść oczekujących, tym bardziej, że uroczystość wiązała się z jego macierzystym zakładem pracy.

Mszę św. poprowadził biskup Kazimierz Kluz, sufragan gdański wraz z dwoma towarzyszącymi mu przy ołtarzu księżmi: dominikaninem o. Sławomirem Słomą z Gdańska i ks. dr Janem Górnym z Olsztyna. We wprowadzeniu do liturgii najpierw ksiądz Jankowski, później biskup Kluz nawiązali do oczekiwania wszystkich zgromadzonych. Słowa witające Wałęsę — nieobecne go fizycznie, a jednak będącego tu z nami — tysiące ludzi powitało gorącą owacją, bardzo rzadko spotykaną w polskich kościołach. Z plotek powtarzanych po cichu wśród korespondentów wynikało, że Wałęsa poszedł na mszę św. do będącego w budowie punktu katechetycznego na Zaspie, w swojej parafii. Mimo

tego przebieg nabożeństw w Brygidzie miał charakter podniosłej uroczystości patriotyczno-religijnej. Po prezentacji sztandaru z emblematami Stoczni Gdańskiej, orłem w koronie i złoto haftowanym napisem „Solidarność” pod koniec mszy zebrani odśpiewali pieśń „Boże coś Polskę”; 10 tysięcy rąk uniosło się ku górze z palcami w kształcie litery „V”. Wzruszenie ogarnęło wszystkich. Wzruszenie i nadzieja. Ktoś koło mnie powiedział głośno: tego narodu nie złamią. Słowa: „Ojczyznę wolną raz nam zwrócić Panie” zabrzmiały z całą siłą, zastępując w szalonym skrócie całą myśl, cały program tej „Solidarności”, której władza sprawiła oficjalny pogrzeb. Nic nie zginęło, nic nie dało się pogrzebać. Po pieśni rozległy się oklaski. Rozwinął się ogromny transparent z napisem „Solidarność”, rozległ się okrzyk: „Niech żyje generał Wałęsa”, podchwycony przez tysiące gardeł i długie, niemilknące oklaski. Proboszcz Jankowski przypomniał liturgiczny charakter zgromadzenia i wezwał do rozejścia się w spokoju.

Ludzie nie chcieli się rozejść. Rozpromienieni od wewnątrz, podniesieni na duchu, czekający na coś... W sąsiedniej parafii, u Dominikanów, w kościele św. Mikołaja, o dwie ulice dalej, trwały konferencje o innym charakterze. Znany publicysta katolicki ojciec Jacek Salij mówił o odwadze cywilnej w ujęciu historycznym, w kategoriach pewnej moralnej powinności, tak szczególnie potrzebnej dziś, w dobie programowego łamania charakterów. Niedziela z przypadającym na nią liturgicznym świętem Chrystusa Króla pozostanie na długo w mojej pamięci.

A teraz już spokojniej, bez emocji — co oznacza nieprzybycie Lecha do Brygidy? Już pod wieczór byłem pewien, że postąpił słusznie. To nie przypadek, a wyraźna, konsekwentna linia postępowania w nowej sytuacji. Linia bez niepotrzebnych zadrażnień i teatralnych gestów z budowaniem wewnętrznej siły na czas właściwej próby, która na pewno nadejdzie. Świadczy w każdym razie o dobrej kondycji psychicznej i odporności. Bo niełatwo było nie przybyć do Brygidy. To już drugi punkt dla Lecha od czasu konferencji prasowej, która mimo wielkich oczekiwań na wielkie słowa z jego strony — przeszła spokojnie, pod jego dyktando.

*27 listopada, sobota*

Lech Wałęsa. W pewnym sensie jest człowiekiem, który „buduje się” od nowa, dając dowód jakiegoś wielkiego wyczucia

nowej sytuacji i elastyczności, o której brak wielu z nas martwiło się w obozie. Długie jego milczenie interpretowaliśmy opacznie, sądząc, że jedynym jego programem jest twarde żądanie powrotu do sytuacji sprzed grudnia 1981. Żądanie pewnie słuszne, w jakimś sensie, ale przecież — przyznaję w duchu — nierealne. Buduje także od nowa zespół ludzi, z którymi, na razie w warunkach kameralnych, szuka elementów do odtworzenia na swój użytek obrazu aktualnej sytuacji i rysujących się tendencji politycznych w kraju i za granicą.

Pojawiły się nowe twarze. Ogólna tendencja wydaje się być taka: Lechu szuka do współpracy ludzi spoza kręgu tzw. opozycji. Z pewnością jest to nowa jakość, bazowanie na ludziach, którzy wyszli ze środowisk, które otworzyły się na ideę Sierpnia i dojrzały właściwie w okresie istnienia „Solidarności”. Jest to wyraźnie nowy, „porewolucyjny” etap działania, o którym wspominał już pod koniec Sierpnia, że nadejdzie czas innych ludzi i że trzeba będzie się z tym pogodzić. On sam przeżył tę ewolucję, ale wielu działaczy usztywniło się w dawnych stereotypach postaw, mających swą genezę w działaniach dawnej opozycji. Taka „opozycyjna” postawa Związku — wobec władzy — powodowała ciągle wielkie wstrząsy całej struktury społecznej. Realizacja tak ostrego kursu stawiała się coraz bardziej niebezpieczna, wymagając od ludzi postaw wręcz heroicznych, rzucania ciągle na szalę wszystkiego, stałej gry *va banque*. Wałęsa wyraźnie ocenił, że większość zmęczyła tak ostra gra. Szuka sztabu, który, dojrzały w trakcie trwania Związku i sprawdzony w czasie stanu wojennego — będzie umiał poprowadzić sprawy realniejszym kursem, omijając niebezpieczeństwo bezpośredniej konfrontacji z władzą.

Czy będzie miał szanse powrotu na scenę wydarzeń pierwszoplanowych? Różnie się o tym mówi. Robotnicy z wielkich zakładów w zasadzie nie artykułują jakichś zasadniczych pretensji pod jego adresem, nadal uważają Wałęsę za swojego. Ale czuje się pewne niesformułowane wyraźnie „fluidy” nieufności... Jest faktem, że rozwój wydarzeń jakoś oddzielił Wałęsę, jego los od losu przeciętnej rodziny stoczniowej. „Ich człowiek” został w międzyczasie obwołany „człowiekiem roku” przez wiele zachodnich pism, zyskał doktoraty *honoris causa*, zrobił błyskotliwą karierę, nie tylko polityczną, został międzynarodowym gwiazdorem mass mediów. Niektórzy liczą przyznane mu nagrody, choć wiadomo, że prawie wszystkie przekazał na konto Związku. Władza wykorzystuje teraz ten rys nieufności. Pojawiają się wredne sugestie, że pod względem standardu życia Wałęsa nie różni się niczym od krytykowanych publicznie „prominentów” epoki gier-

kowskiej. Wymieniają go chętnie jednym tchem w tym towarzystwie. W wielu miastach pojawiają się dwuznaczne i niedwuznaczne ulotki szkalujące Wałęsę, bazujące właśnie na tych najprymitywniejszych instynktach, rozbudzonych postępującą pauperyzacją społeczeństwa. Wczoraj rozrzucono w trójmiejskiej kolejce elektrycznej ulotki o takiej właśnie treści: że przywódca robotniczy otrzymał mieszkanie od państwa, meble od ludzi, a w dodatku dysponuje kontem dolarowym. W czasach, w których wszyscy wszystkim czegoś zazdroszczą i bacznie kontrolują, czy sąsiad nie ma czegoś więcej — takie sformułowania robią pewne wrażenie. Kilka dni temu na ulicy Piwnej w Gdańsku, w pobliżu staromiejskiego komisariatu milicji znaleziono „zgubioną” paczkę zawierającą plakaty z wizerunkiem świni z twarzą Wałęsy. Jest jasne, że w tym kierunku, w kierunku zdyskredytowania przewodniczącego, po rozwiązaniu Związku, idzie cała propagandowa nagonka. Niby dyskretna, nie są znani jej autorzy, ale robota wykonywana jest systematycznie i trafia w czułe miejsca.

Ciągle nie ma frontального ataku na program, brak merytorycznej polemiki. Warszawska kawiarnia kolportująca plotki z tzw. sfer upowszechnia szeptankę, że „Wałęsa myli się srodze, jeśli sądzi, że ktoś będzie chciał z nim przystąpić do rozmów i że odegra jeszcze jakąś rolę”. Takie same sformułowania upowszechnia rzecznik prasowy rządu, podkreślający, że zwolniony z internowania Wałęsa jest człowiekiem prywatnym.

Co dotychczas powiedział Wałęsa? Z rozmaitych przecieków z jego kręgu rysuje się z wolna nowa sylwetka, wyjaśniają się również pewne nieznane wcześniej fakty, rzucające wyraźniejsze światło na ostatnie tygodnie i dni sprzed 13 grudnia 1981.

Podobno w drugim dniu trwania obrad Komisji Krajowej „Solidarności” (12 grudnia 1981), przewidując rozwój wydarzeń i odczytując intencję propagandową władzy — niejako uprzedzając atak — sam zwrócił się do ówczesnego wojewody Jerzego Kołodziejskiego z kilkoma propozycjami wprowadzenia unormowań prawnych w kwestiach szczególnie drażliwych dla władzy, a dotyczących funkcjonowania „Solidarności”. Chodziło między innymi o sprecyzowanie zakresu kompetencji doradców Związku, na których skupiały się propagandowe ataki władzy zarzucającej im, że sterują „Solidarnością” w stronę „antysocjalistycznej kontrrewolucji”. Wałęsa proponował wyraźne określenie ich ról, ograniczenie wpływów doradców na kształt polityki Związku oraz pozbawienie ich prawa reprezentowania „Solidarności” w rozmaitych wystąpieniach na zewnątrz, w tym także za granicą. Jeśli by to czynili — mieli to odtąd robić na prywatny rachunek.

Wyjaśnia się jego zachowanie z nocy z 12 na 13 grudnia 1981. Już wtedy, przeczuwając rozwój wydarzeń, w momencie uderzenia na Związek Wałęsa uznał, że należy dążyć do ograniczenia ofiar, zneutralizowania w miarę możliwości siły ataku, przyjęcia koncepcji biernego oporu, odejścia od nastroju bezpośredniej walki. Przebywając w Konstancinie koło Warszawy, po zabranii go z Gdańska — zaproponował władzom zorganizowanie w warunkach więziennych dodatkowego, nadzwyczajnego posiedzenia Komisji Krajowej w celu odwołania formalnie obowiązującej 10 milionów ludzi uchwały związkowej nakazującej, w przypadku ataku na Związek — przystąpienie do strajku generalnego i zorganizowanie oporu.

W tym momencie — jest jasne — ocenił właściwie rozmiar uderzenia i zdecydowanie władzy, dążącej do rozprawienia się ze Związkiem nawet za cenę krwi.

Co mówi o Związku dziś, z perspektywy kończącego się stanu wojennego? Sam nie widział możliwości utrzymania struktury „Solidarności” — tak, jak ukształtowała się ona w końcówce. Zbyt wiele rozmaitych tendencji, zbyt wiele interesów różnych środowisk, wszystkiego okazało się w niej jakby za dużo. Okręt — jak mówił o „Solidarności” — tracił sterowność, choć siła idei pchała go naprzód. Dziś widzi wyraźnie, że nadszedł czas odcedzenia i rozpisania na poszczególne środowiska całego zadania przemiany, które miał zrealizować w Polsce ten jeden Związek. Uważa, że posiew idei powinien być realizowany przez grupy społeczne samodzielnie. Tam — w „Solidarności” — poznały swe przeznaczenie, odczytały kierunek, nauczyły się działania, stworzyły kadre, ludzie poznali swą siłę i nabyli umiejętności samodzielnego myślenia. Z tym dorobkiem cały ruch wchodzi w nowy etap. Z tego punktu widzenia cały dramat okresu stanu wojennego nie jest pozbawiony elementów nadziei. Następuje oddzielenie plew od ziarna, które posłużą do nowego zasiewu. Brzmi to ewangelicznie, ale chyba tak właśnie jest. Nie pierwszy raz Wałęsa wybiega w przyszłość, projektując coś nie całkiem klarownie, ale w zasadzie trafnie odczytując te potrzeby społeczne, które składają się na wizję z elementami koniecznej w ogóle do życia — nadziei.

Sam ma wyraźną wizję siebie, jako postaci funkcjonującej nie tylko w tym momencie, kiedy trwa związkowe podziemie, a utrwalone w okresie poprzednim struktury jeszcze walczą o stare hasła — ale postaci mogącej odegrać pewną rolę w przyszłości. Element ten wystąpił wyraźnie w jego rozmowie z ministrem

spraw wewnętrznych generałem Czesławem Kiszczakiem, który przybył do Arłamowa w reakcji na list „kaprala Wałęsy do generała Jaruzelskiego”.

W rozmowie, która miała „męski” przebieg, obie strony licytowały się, która z nich reprezentuje rzeczywiste interesy świata pracy, która jest rzeczywistym nośnikiem idei socjalizmu. Wałęsa miał powiedzieć, że on sam jest sto razy bardziej „socjalistyczny” — i z rodowodu i z przekonań — niż reprezentujący socjalistyczną biurokrację generał. Miał się również wyrazić, że pełny sukces koncepcji społeczno-politycznych WRON, wraz z towarzyszącymi jej realizacji ubocznymi skutkami będzie dopiero prawdziwą klęską idei socjalizmu. Powstrzymanie pewnej oryginalnej, polskiej próby powiedzenia nowego słowa, stworzenia nowej perspektywy temu kierunkowi rozwoju społecznego w świecie — skończy się kataklizmem, którego żadna siła nie będzie w stanie skontrolować. Generał Kiszczak z kolei miał powiedzieć, że jest to zmartwienie tak odległe, że on osobiście nie czuje się za to odpowiedzialny. Pozostaje jednak sprawa młodego pokolenia, przyszłości, za którą Polacy dziś ponoszą odpowiedzialność historyczną. W tym kontekście, kontynuując wymianę zdań — Wałęsa dał do zrozumienia, że chce podjąć tę odpowiedzialność — za ukształtowanie układu sił w przyszłości. Przyznał, że dysponując siłą — łatwo go zniszczyć, ale równocześnie przestrzegając, że zniszczenie człowieka uznanego przez świat pracy za swojego lidera spowoduje dla władzy w obliczu zrewoltowanego społeczeństwa sytuację nie do opanowania. Kolejny wybuch społeczny w tej sytuacji postawi przeciwko władzy prezentującej własną wersję „realnego socjalizmu”, budzącego niezadowolone społeczeństwa — siłę, która może zmieść wszystko, co znajdzie się na jej drodze.

Trzeba przyznać, że nie jest to skromna wizja własnej roli. Jednak — co jest faktem — po tej właśnie rozmowie nastąpiło zwolnienie z internowania. Są dwie możliwości: władza albo uznała, że przywódca związkowy nie odbuduje swojego wpływu na masy, albo też postanowiła zachować go na wszelki wypadek. Należy wątpić, by traktowała Wałęsę tak podmiotowo, jak on to sobie przedstawia. Czas przyniesie odpowiedź...

Co robić? Jakie elementy programu na dziś? Wałęsa nie ma, jak dawniej, do dyspozycji wiecowej publiczności. Tylko z rzadka w jego otoczenie przenikają kurierzy ze środowisk robotniczych, naukowych czy intelektualnych. Z urywków udzielonych już wywiadów, z odprysków rozmów, jeszcze nie całkiem klarownie,

powstaje zarys programu na dziś i jutro. Zastanawiające, że równie ważne wydaje się, jak ukształtuje się program i — równocześnie — jak ukształtuje się sylwetka i rola Wałęsy. Są to dwie niewiadome. On sam pytany o nowe związki zaproponowane przez władzę odpowiada dziś — „nie”. Dlaczego? Bo nie funkcjonuje cały towarzyszący demokratycznym wymogom życia społecznego układ: brak wolnej prasy, zawieszono nadal rozmaite organizacje, społeczeństwo nadal pozostaje zakneblowane. W tych warunkach, w warunkach fałszu, nie może powstać coś prawdziwego. Tak można by sformułować jego tok rozumowania. Przy czym charakterystyczna jest wiara Wałęsy w to, że nawet ukształtowane pod dyktando władz nowe związki należy potraktować jako ogniwo, które zasilane nieformalnie ideami i konkretnymi rozwiązaniami wyrastającymi z potrzeb świata pracy — może w okresie przejściowym spełnić pewną rolę. Gwarancją — jego zdaniem — jest naturalne u ludzi dążenie do prawdy, więc, jak sądzi, jeśli związkowiec otrzyma dwa stanowiska, jedno podyktowane przez władze, a drugie podsunęte przez nie rezygnujące z nieformalnej aktywności środowisko (w domyśle — przez nieistniejącą formalnie „Solidarność”) — to z czasem zacznie dokonywać właściwych wyborów. Brzmi to na dzisiaj dość idealistycznie i mgliście, ale takie działanie nie mnoży przynajmniej okazji do poważnych konfliktów. Byłyby to więc wyrażnie jakieś elementy taktyki na okres przejściowy, wskazanie kierunku wszystkim tym, którzy nie chcą zrezygnować z aktywności, ale nie chcą wejść w nowe struktury związkowe.

Natomiast zupełnie realną sprawą, dotyczącą samego Wałęsy jest zbliżająca się ważna rocznica 16 grudnia. Zgodnie ze wszystkimi swoimi wcześniejszymi zapowiedziami, w ten dzień ma być pod Pomnikiem Poległych Stoczniovców. Ten dzień, który nastąpi prawdopodobnie już po zawieszeniu stanu wojennego, odsłoni proscenium wydarzeń najbliższych miesięcy. Jak zostanie przyjęty Wałęsa przez świat ludzi pracy? Przez władzę? Nie brak takich, którzy przestrzegają go przed wejściem w nieprawdziwą rolę, którą szykują mu manipulacje propagandy. Mówią: kim jest Wałęsa zwolniony z internowania i nie opuszczający swojego mieszkania na Zaspie? Przywódcą Związku? Nie do końca. Związek formalnie nie istnieje, wiele jego struktur uległo rozpadowi. Czy jest politykiem? W jaką autentyczną rolę mógłby wejść teraz? Rolę, która nie budziłaby wątpliwości, ataków, pretekstów do zaczepki? Sporo ludzi oczekiwałoby od Wałęsy, by po wykorzystaniu przysługującego mu urlopu przystąpił do pracy w Stoczni Gdańskiej, skąd formalnie został przecież oddele-



gowany do pracy związkowej. Radzą mu więc, by cały przejściowy okres spędził wśród towarzyszy pracy. To otoczenie było jego siłą, stamtąd czerpał autorytet, wiedzę oraz intuicję. Tam też, w tym środowisku, byłby poza zasięgiem ataków władzy. Inni radzą: okres pobytu w domu winien być okresem „internowania się”, szukania koncepcji, czekania na powrót internowanych w obozach, skazanych, ukrywających się. Mówią też — nie ma powrotu do Stoczni, skąd w czasie stanu wojennego wyrzucono wielu członków „Solidarności”. Wałęsa czeka. Uważa, że nadchodzący grudzień wiele wyjaśni i podpowie następne kroki.

29 listopada, poniedziałek

Grypsy z obozu:

(List do Lecha Wałęsy)

„Strzebielinek, 28. 11. 1982 r.

Drogi Lechu. Ogromnie się cieszę, że jesteś w domu. Strasznie martwiłem się, że siedzisz samotnie. Nie wyobrażam sobie, jak można tak długo wytrzymać. Ja miałem znacznie lepiej. Najpierw trafiłem do Strzebielinka, gdzie obecnie przebywam, skąd 5 stycznia zostałem przewieziony pod Szczecin do Goleniowa, gdzie byli zamknięci koledzy ze Szczecina. Było to straszne więzienie. Następnie trafiłem do Wierchowa, gdzie było najgorzej, straszni klawisze i ich przełożeni. Ponadto chorowałem i byłem operowany na przetokę w szpitalu odległym 40 km od Szczecina. Najtrudniej było się dostać do szpitala. W tym pomogły mi władze Kościoła, MCK i PCK, nie mówiąc o staraniu rodziny. Dziś jestem zdrowy i przebywam w towarzystwie około 90 kolegów, chociaż obecnie liczba ta maleje, z czego bardzo się cieszę.

Leszku, Twój list narobił tutaj wiele nadziei, później one spadły, ale większość z nas tego nie neguje. W tak ważnych sprawach bardzo trudno podejmować każde decyzje. Zresztą tak było również i przed 13 grudnia, wielu nas krytykowało, było dużo mocnych, a ilu ich dzisiaj zostało. Ja również miałem kilka propozycji rozmów, zgodziłem się, ale pod warunkiem, że w rozmowach będziesz uczestniczył Ty, członkowie prezydium, doradcy świeccy i duchowni. Nie skorzystali z tego.

Leszku, martwię się bardzo o podziemie, aresztowanych i więzionych, chociaż obecnie widać cień nadziei. Załatwia to fasadowa instytucja — PRON. Ważne, żeby załatwiła. Inne sprawy i zadania z wielkim nakładem sił na pewno będą dalej kontynuowane, a włożona przez nas praca nie pójdzie na marne. Nieważne w tym wszystkim są jednostki, ważne jest społeczeństwo. Ono było naszą siłą i naszą słabością. Leszku, nie wiem, co zechcą jeszcze ze mną zrobić, ale jak wyjdę z obozu, to wpadnę do Ciebie. Miała wpaść do Was w sobotę moja żona, ale pociąg się spóźnił i przyjechała prosto do mnie. W każdym razie trzymaj się mocno, jak dotychczas, zawsze wierzyłem w Ciebie i nadal wierzę, a jeżeli masz więcej lepszych lub gorszych wiadomości, to przeslij odwrotną drogą.

Kończąc, przesyłam Tobie oraz Twojej rodzinie najserdeczniejsze pozdro-

wienia. Pozdrów ode mnie również naszych wspólnych znajomych. I jeszcze raz proszę Cię, nie przejmuj się — na pewno przyjdą lepsze dni. Do zobaczenia — Stasiak.

Pozdrowienia od pozostałych kolegów ze Strzebielinka”.

(List do...)

„27. 11. 1982

Serdeczne dzięki za wiadomości. (...) Wydrukowaliśmy i rozesłaliśmy 44 oficjalne podziękowania (lista w załączeniu) firmowane przez tzw. radę obozu (obecnie: Wądołowski, Merkel, Kocjan, Kukuła, Korejwo, Perejczuk, Starzyński). Powoli zbieramy się do likwidacji dobytku, choć wieści o tym, czy ktoś zostanie po 13 grudnia zmieniają się jak w kalejdoskopie i zmuszają do ubezpieczenia się na każdą ewentualność. Klawisze więcej uwagi poświęcają teraz wynoszonym niż przynoszonym rzeczom, a nas ponagla zwykła tu nieznamość dnia ni godziny. Istnieje też uzasadniona obawa, że mogą w tych ostatnich (?) tygodniach poszukiwać pretekstu do zostawienia kogoś na dłużej. Słowem — nerwowa, jakich tu już kilka przeżyliśmy. Zapewne wiesz już, jak tu wyglądał 11 bm. ('jeszcze jeden, jeszcze jeden' na wieść o śmierci B. i ostre rozbiecie opinii po liście Lecha). Jeden facet założył się ze mną twierdząc, że oto władza wycofuje się ze swoich pozycji, prosząc nas na kolanach o przebaczenie. Ja twierdziłem, że o tym nie może być mowy oraz że to społeczeństwo szuka honorowych warunków kapitulacji. Rozstrzygnięcie ma zapasć do końca roku, ale jestem, niestety, spokojny o wygraną. Bardzo wiele wymiarów posiada sprawa Wałęsy. Nie będę tu ci opisywał swoich poglądów, bo sądzę, że jesteśmy zgodni (jest dla mnie oczywiste, że tego atutu nie możemy stracić). Większość w obozie uciechyło zwolnienie L., choć nie brakło zarzutów kolaboracji i dowcipów z kaprała. Teraz — trudno powiedzieć — wraz z rozwojem (czy raczej brakiem rozwoju) wydarzeń nadzieja na przejęcie inicjatywy przez społeczeństwo gaśnie. Ludzie są rozbieci, oklapnięci i najczęściej nie wiedzą po prostu, co o tym wszystkim sądzić. Nasza porażka czy pyrrusowe zwycięstwo? Ustały już gorączkowe dyskusje o Wałęsie, ale wielu z pewnością trawi żal, może nawet złość. Jestem przekonany, że jeśli L. powinie się mocniej noga, obwinia go o wszystko i poniża tak, jak dotąd wynosili go wysoko... Piszę Ci o tym wszystkim, byś był przygotowany na różne ewentualności. Wszystko to są nerwy (...). Widzę jeszcze tak dużo do zrobienia, że aż się cieszę, bo jest to bądź co bądź optymistyczne, gdy można jeszcze pracować. Myślę że z tych wspólnych wysiłków musi coś pożytecznego wyrosnąć. (...) (—).

P.S. Stan obozu na dzisiaj: 71 w obozie, 9 w szpitalu w Wejherowie i 7 na przepustce, razem 87 internowanych”.

3 grudnia, piątek

Wczoraj zaczął się „ruch” w obozie: wyszli tacy znani działacze jak: Stanisław Wądołowski, wiceprzewodniczący Związku, Stanisław Kocjan, członek Komisji Krajowej i wreszcie Andrzej Zarębski, szef biuletynu Biura Informacji Prasowej „Solidarność

ci” — BIPS, który tuż przed wojną pełnił też obowiązki rzecznika prasowego Związku.

Z kręgów kościelnych wiadomo, że na koniec listopada przebywało w obozach 740 internowanych. Ilu z nich wyjdzie? Szykuje się nowy scenariusz na okres po zawieszeniu stanu wojennego. Pewne rozjaśnienie zamierzeń władz zawierają tezy wystąpienia Kazimierza Barcikowskiego, sekretarza KC oraz gen. Floriana Siwickiego i gen. Józefa Baryły na naradzie aktywu kierowniczego Wojska Polskiego w dniu 16 listopada. Tezy te pokrywają się ze scenariuszami wydarzeń opracowanymi przez Komitet Polska 2000. W poniedziałek referował je na spotkaniach u Dominikanów red. Ryszard Kapuściński, wiceprzewodniczący tego Komitetu. Zniesienie stanu wojennego przewidziane na 13 grudnia ma być jedynie symboliczne. Nadal ma obowiązywać prawo do internowania, cenzura wojenna, mają istnieć zmilitaryzowane zakłady i funkcjonować sądy doraźne. Pewnymi sygnałami świadczącymi o zmianach nazw używanych w słownictwie wojennym na bardziej pokojowe są obecnie stosowane formuły „internowania”. Najczęściej jest to powoływanie na ćwiczenia wojskowe. Ten manewr zastosowano na szeroką skalę przed 10 i 11 listopada. Ocenia się, że w wojsku i w zmilitaryzowanej milicji znajduje się obecnie około 700 tys. mężczyzn. Ostatnie zaś powołania do wojska, zwłaszcza z Trójmiasta, świadczą o ich represyjności. Wywozi się ludzi do ośrodków oddalonych od jakichkolwiek większych skupisk ludności, pozbawia ich możliwości opuszczenia koszar, korespondencji. Dopiero niedawno — po pierwszych wizytach rodzin — dotarły informacje o funkcjonowaniu tych „ośrodków”. Przykładem jest Jednostka Wojskowa 3466 „Z 2” w Wygodzie koło Czerwonego Boru w województwie łomżyńskim, w której znajduje się 460 osób w wieku od 24 do 46 lat. Przeważnie są to mężczyźni, którzy nie odbyli zasadniczej służby wojskowej, często posiadający — ze względu na stan zdrowia — tzw. kategorię wojskową zwalniającą ich od wszelkich ćwiczeń na poligonach. Jak dotychczas — podobno — jest już 9 takich „ośrodków”. Jak tu nie wierzyć scenariuszowi przedstawionemu kadrze wojskowej. Do tego dochodzi rozwiązanie w dniu 1 grudnia Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru, Estrady, Radia, Telewizji i Filmu ZASP. Tak więc po rozwiązaniu Niezależnego Zrzeszenia Studentów, Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich teraz poszło uderzenie w kolejną organizację społeczną, która była oporna wobec WRON-y. Następny atak sięgnie — chyba — Związku Literatów Polskich, dotąd jeszcze nie odwieszono.

5 grudnia, niedziela

Grypsy z obozu:

„4. 12. 1982 r.

Drogi...

Nasza sytuacja ciągle jest niepewna. Nie dokładnie nie wiadomo, kiedy nas puszczą, kto zostanie i gdzie, a lawiny spekulacji nie ma co powtarzać. Ciągle jest nas dużo, stan na dziś: 61 + 6 (na przepustkach) + 5 (w szpitalu), czyli w sumie 72 osoby. Wiemy, że największy obecnie obóz to Białoleka — około 130 osób, a najmniejszy, porównywalny w warunkach do naszego, pod Lublinem, gdzie jest tylko 9 osób. Łącznie obozów jest 12, a stan ogólny obliczany na 600-700. 10 listopada złapano w Warszawie Wojciecha Dobrzyńskiego, który w sierpniu zbiegł ze szpitala w Wejherowie. Podobno podłączono go pod sprawę 'kierownictwa RKS w Warszawie'. Mamy numer *Playboy'a* z lutego br. z wywiadem Wałęsy (jeśli zdążę do jutra przepisać, to dołączyć). Sam pamiętam, jak na pierwszej po zjeździe krajówce odmówił wywiadu tym dwóm pięknym dziewczynom. Wywiad raczej kiepski.

Przez 'brata' wysyłam ci eksponaty do przyszłego muzeum. Są wśród nich: sztandar 'Solidarności', godło 3-majowe, 'podkoszulek patriotyczny', przejoza patriotyczne, mapa terenu, obrazki z wystawy itp. Znajdziesz tam afisze salonu literackiego, które pozwolą ci zorientować się w ilości, terminach i tematyce posiedzeń. Na marginesie — na najbliższe posiedzenie (we wtorek) przygotowana jest poezja Hughesa. Załączam materiał do archiwum o kole młodych internowanych — stowarzyszeniu nieformalnym raczej, luźnym i głównie towarzyskim, ale ciekawym”.

9 grudnia, czwartek

Gryps z obozu:

„8. 12

Drogi...

Przesyłam błyskawicą najnowsze notowania na strzebielińskiej liście rankingowej. Podaję dane do dnia 9 bm., gdyż już dziś powiadomiono osoby z Gdańska o mającym nastąpić jutro wypuszczeniu. Wprowadzono mianowicie nowość — kartę obiegową. Każdy wychodzący ma obowiązek otrzymania podpisów 'zaliczających' — od lekarki, bibliotekarza i magazyniera. Takie właśnie karty wydają ostatnio na dzień przed wyjściem. Myśmy już dokładnie polikwidowali wszystkie „nieczystości”. To jest ostatnia partia. Prosimy o informacje o drugim liście Lecha i o współpracy Lecha ze Staszkiem. Koniecznie chcielibyśmy wiedzieć, czy zwolnienie całej Bydgoszczy dotyczy także Rulewskiego i Tokarczuka. Ściskamy Cię wszyscy (...).

17 grudnia, piątek

Pamiętam dobrze dwa kadry: jeden z wieczornego wydania

dziennika telewizyjnego, kierowanego jeszcze przez redaktora Stanisława Celichowskiego — jest to ogólny plan pustego placu pod Stoczną Gdańską, z Pomnikiem Trzech Krzyży i cieniutką strużką stoczniovców, którzy prosto z drugiej bramy kierują się wzdłuż ulicy Doki w stronę miasta. Z rzadka ktoś dociera na moment pod Pomnik. Głos komentarza zza kadru chwali rozsądek robotników, podkreślając, że nie usłuchali żadnych wezwań, „że w spokoju i powadze udają się do domów”. Rejestrująca to kamera musi być umieszczona bardzo wysoko, prawdopodobnie na górnym piętrze wysokiego wieżowca sąsiadującego z Placem Solidarności. Tak zarejestrował ten moment dziennik telewizyjny.

Kadr drugi, którego nie pokazano, a który zostanie w mojej pamięci — to żelazny kordon ZOMO, z niespotykaną dotychczas liczbą działek wodnych, transporterów pancernych, zmotoryzowanych patroli z miotaczami gazów zmontowanymi na dachach gazików i tysiące pałek, hełmów, tarcz. Miasto sprawia wrażenie metodycznie podzielonego na kwartały i obsadzonego policją. Na zapleczu spodziewanego centrum wydarzeń, w rejonie budynku zwanego „zieleniak”, przy wylocie ulicy Doki, na placu Zebrań Ludowych, na placu pod teatrem „Wybrzeże” i w dziesiątkach innych miejsc — zgrupowania sprzętu pancernego. Mimo to przed godziną 15.00 zbiera się kilkutyśieczny tłum wystający na rogach ulic, patrzący w stronę Pomnika, ciągle blokowany i spychany w stronę miasta przez ZOMO. W jednym tylko momencie spora grupa stoczniovców z nagłą otwiera bramę i setka ludzi biegiem kieruje się pod monument. ZOMO-wcy uciekają w popłochu, myśląc, że to szturm. Tak zresztą byli szkoleni na zgrupowaniu w Złotej Karczynie, gdzie dzień w dzień, metodycznie urządzano im szkoleniowe szturmowanie i rozpraszenie tłumów pod zmontowaną dużą makietą Pomnika Stoczniovców, wśród sznurów i drutów pozorujących układ ulic w tym rejonie miasta. W tym czasie w mieście coraz większa grupa ludzi spychana jest w rejon dworca kolejki elektrycznej. Nad grupą potężny okrzyk „Solidarność”, „Solidarność”... Ruszają armaty wodne, zawracają gaziki, tłum cofa się na perony. Kolejki wywożą setki ludzi w stronę Wrzeszcza.

Elementy tego kadru, który znamy — to blokada osiedla Zaspą, gdzie mieszka Wałęsa. Obstawione milicją wszystkie drogi wjazdowe. Drugi dzień trwa legitymowanie wszystkich pragnących się dostać w obręb osiedla; 16 grudnia przed południem z okolicznych bram ZOMO wygarnia dziennikarzy, korespondentów zagranicznych, fotoreporterów. Dopiero w tak oczyszczony teren wpada kilkudziesięcioosobowy oddział ZOMO, szturmuje

drzwi mieszkania Wałęsy, wywleka go do czekającego samochodu. Z okna pierwszego piętra pani Danuta krzyczy za nimi: „zbiry”. Widzi to kilkanaście osób. W czasie gdy ZOMO pacyfikuje miasto, pomiędzy Gdańskiem i Gdynią, po dwupasmowej obwodnicy poruszają się tam i z powrotem, zupełnie bez sensu dwa mercedesy. W jednym z nich, pomiędzy dwoma ubekami, siedzi Lech Wałęsa. W drugim kilkuosobowa obstawa. Będą tak jeździć w kółko do wieczora, dopóki nie nadejdzie dyspozycja, że niebezpieczeństwo wystąpień robotniczych minęło. Wtedy, około godz. 18.00 odstawią go pod drzwi mieszkania. Z półpiętra zjedzie z posterunku dwumetrowy ubek z ZOMO-wską obstawą. Zostanie tylko zwykła siatka, obserwująca bez przerwy mieszkanie Wałęsy, pracująca na zakresie fal UKF i podająca non stop do centrum informacje o każdym, kto odwiedza Lecha. Tekst wystąpienia Lecha Wałęsy przygotowany na 16 grudnia podają w wieczornych audycjach rozgłośnię zachodnie. Jest ład i porządek. PZPR-owskie gadzinówki, takie jak gdański *Kontakt* — piśmko wydawane przez niedowarzonych politruków z KW — wkrótce odtrąbi: „Ulica powiedziała nie”.

### 23 grudnia, czwartek

Dzisiejsze gazety podają informacje o zwolnieniu wszystkich internowanych. Jednak nie wszystkich — Andrzej Gwiazda (Gdańsk) Seweryn Jaworski (Warszawa), Marian Jurczyk (Szczecin), Karol Modzelewski (Wrocław), Grzegorz Palka (Łódź), Andrzej Rozpłochowski (Katowice) i Jan Rulewski (Bydgoszcz) — zostają aresztowani.

### 24 grudnia, Wigilia

„... aż strach, żebyś przysłała, gwiazdo betlejemska. Jak zaświecisz, co będzie, co to będzie...”.

Zaświeciła... z dalekich Uherc wyszedł do domu Michał Mąsior. W tym roku zdążył na Wigilię do Rybnika. Do Warszawy z Darłówka wrócili Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Geremek. Z domu zabrano do aresztu w Gdyni Teresę Remiszewską — sławną żeglarzkę. Sierpniowa para — Mariusz Wilk z Bernadetą Stankiewicz — szykują się do wieczerzy w więzieniu na Kurkowej w Gdańsku. Gdzieś obok, w celi (ciekawe, czy będą mogli

podzielić się opłatkiem...) Maciek Łopiński, sekretarz redakcji dawnego tygodnika *Czas*.

Wszyscy razem zasiadamy do Wigilii...



*Z relacji opuszczających obóz w Strzebielinku:*

W środę, 22, wyszedł Bartczak z Lublina. Po drodze wstąpił do szpitala w Wejherowie, by zobaczyć, co jest z Jurczykiem. Powiedziano mu, że został pod eskortą wywieziony przed dwiema godzinami do więzienia w Białogórze. Z tą wiadomością przyjechał do Gdańska, do Lecha. Potem pojechał do rodziców. Następnego dnia od rana zwalniano następnych, według regionów. Z Gdańska — Jacek Merkel — członek Prezydium Komisji Krajowej, Ryszard Grabowski z „Bipsu”, Roman Pieńkowski ze Stoczni Gdańskiej, Henryk Tarasiewicz z Zarządu Portu w Gdyni (ze szpitala). Wszyscy siedzieli od początku. Pozostali trzej (z późniejszej branki) — to Janusz Walentynowicz, Stefan Maciejewski i Józef Hołownia. Ze Szczecina — Jerzy Zimowski, Mirosław Witkowski (siedzący w obozach od początku) oraz Zdzisław Konury z majowego zaciągu. Z Mazowsza — Wincenty Kazańczuk, Józef Taran — najstarsi stażem — oraz Eugeniusz Madej — „lipcowy”. Ostatni obóz opuścił Józef Taran, student Politechniki Warszawskiej, szef sekcji zagranicznej Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

W opustoszałym pawilonie trzecim, na końcu, po prawej stronie, w celi-kaplicy ciemny masyw krzyża. Z miejsca, gdzie spajają się poprzeczna belka z podłużną spływa w dół coraz bardziej szara, udrapowana w kształt ludzki tkanina. Z boku tkwi rdzewiejący grot jakby włóczni. Z tyłu, na okorowanej w tym miejscu belce krzyża parę setek podpisów tych, którzy tu byli, nas.

A C H E V E D ' I M P R I M E R  
L E 2 9 M A R S 1 9 8 5  
S U R L E S P R E S S E S D E  
L ' I M P R I M E R I E R I C H A R D  
2 4 , R U E S T E P H E N S O N ,  
P A R I S ( X V I I I <sup>e</sup> ).

Dépôt légal : 1<sup>er</sup> trim. 1985.

N° d'imprimeur 6933.



Dar  
Instytut Polski  
w Sztokholmie

